

PHILIP K. DICK
NASI
PRZYWACIELE
Z FROLIXA 8



SCIENCE FICTION

DICK PHILIP K.

Nasi przyjaciele z Frolixa 8

PHILIP K. DICK

Przełożył: WIESŁAW LIPOWSKI

Wydawnictwo ALFA

Warszawa 1993

tytuł oryginału: Our Friends from Frolix 8

Copyright ę 1970 by

Wydanie I i podstawa przekładu Ace Books, New York 1970

Ilustracja na okładce: RESTRADA

Opracowanie typograficzne: JANUSZ OBŁUCKI

Redaktor serii: MAREK S. NOWOWIEJSKI

Redaktor tomu: ANNA SOBIEPANEK

Redaktor techniczny: ELŻBIETA SUCHOCKA

For the Polish edition Copyright ę 1993 by Wydawnictwa ALFA For the Polish translation Copyright ę 1993 by Wiesław Lipowski ISBN 83-7001-664-2

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Bobby powiedział:

–Nie chce przechodzić testu.

A jednak musisz, myślał jego ojciec. Jeśli ma być jakaś nadzieja na przedłużenie naszej rodziny w przyszłość. W czasy, które nadejdą długo po mojej śmierci, mojej oraz Kleo. – Wyjaśnię ci to w ten sposób – rzekł na głos w tłoku ruchomego chodnika, którym jechali w kierunku Federalnego Biura Standardów Osobowych. – Różni ludzie mają różne zdolności. – Jak dobrze o tym wiedział. – Moje na przykład są bardzo ograniczone; nie nadaję się nawet na kategorię rządową R-jeden, najniższą ze wszystkich. – Przyznanie się do tego sprawiło ból, ale było konieczne; musiał uzmysłwić chłopcu wagę sprawy. – No i nie zaliczam się w ogóle do żadnej kategorii. Mam skromną posadę w instytucji pozarządowej... nic specjalnego, wierz

mi. Chcesz być taki jak ja, kiedy dorośniesz? – Ty jesteś w porządku – stwierdził Bobby z majestatyczną pewnością swych dwunastu lat. – To nieprawda – odparł Nick. – Dla mnie jesteś. Poczul się zbity z tropu. I jak zwykle ostatnio, bliski rozpaczy. 6 – Posłuchaj faktów – powiedział – o tym, jak wygląda rządzenie Terra. Manewrują wokół siebie dwie odmiany ludzi, najpierw rządzą jedni, potem drudzy. Są to... – Nie należę ani do jednych, ani do drugich – przerwał mu syn. – Jestem Stary i Typowy, i nie chcę przechodzić testu; wiem, czym jestem. Wiem, czym ty jesteś, i ja jestem taki sam. Nick poczuł suchość w gardle i skurcze żołądka, objawy ostrego głodu. Rozejrzał się dookoła i w chwilę później spostrzegł narkobar po drugiej stronie ulicy, za gęstym sznurem szmermeli i większych, obłych pojazdów komunikacji miejskiej. Poprowadził Bob-by'ego w górę do rampy dla pieszych i po dziesięciu minutach byli na przeciwległym chodniku. – Idę do baru na parę minut – powiedział Nick. – Nie czuję się w formie, by cię zaprowadzić do Budynku Federalnego właśnie teraz. – Poprowadził syna obok judasza w drzwiach do ciemnego wnętrza Narkobaru Donovana, knajpy, której nigdy dotąd nie odwiedzał, a która spodobała mu się od pierwszej chwili. – Nie może pan tu wchodzić z tym chłopcem – zwrócił mu uwagę barman. Pokazał wywieszkę na ścianie. – Nie ma jeszcze osiemnastu lat. Chce pan, aby ludzie myśleli, że sprzedają prochy małodatom? – W mojej stałej knajpie... – zaczął Nick, ale barman przerwał mu obcesowo. – To nie jest pańska stała knajpa – warknął i poczłapał na drugi koniec pogrążonego w mroku lokalu, aby tam czekać na kolejnego klienta.

–Pooglądaj sobie okoliczne wystawy – powiedział Nick, trącając syna łokciem i wskazując na drzwi, którymi dopiero co weszli. – Spotkamy się za trzy lub cztery minuty. – Zawsze tak mówisz – zachnął się Bobby, ale zawrócił niemrawo w stronę chodnika z jego falującymi tłumami ludzi w połowie dnia... przystanął na moment, spojrzawszy za siebie, po czym ruszył dalej już niewidoczny. Nick usadowił się na stołku przy barze i powiedział: – Chciałbym pięćdziesiąt miligramów chlorowodoru fenmetrazyny i trzydzieści stelladryny oraz acetylosalicylan sodu do popicia. – Stelladryna zatopi pana w marzeniach o wielu dalekich słońcach – zauważył barman. Położył przed Nickiem mały talerzyk, przyniósł tabletki i acetylosalicylan sodu w plastikowym kubku; podawszy to wszystko Nickowi cofnął się i podrapał w zadumie za uchem. – Liczę na to – mruknął Nick.. Łyknął tylko trzy skromne pastylki, nie było go stać na więcej pod koniec miesiąca, i popił słonawym roztworem. – Prowadzi pan syna na test federalny? Skinął mu głową i wyciągnął portfel. – Nie sądzi pan, że je fałszują? – pytał kelner. – Czy ja wiem – bąknął Nick. Barman oparł się łokciami o lśniący kontuar, pochylił nad Nickiem i powiedział: – A ja sądzę, że tak. – Wziął pieniądze i odwrócił się do kasy, żeby wybić kwotę. – Widzę, jak ludzie podchodzą po czternaście, piętnaście razy. Nie chcą się pogodzić z faktem, że obleją, czy jak w pańskim wypadku, pana chłopak. Próbują i próbują, a skutek jest taki sam, zawsze. A ci Nowi po prostu nie dopuszczają nikogo do Służby. Oni by chcieli... – Rozejrzał się dookoła i zniżył głos. – Nie mają zamiaru dzielić się funkcjami z kimkolwiek spoza kręgu swoich. Do diabła, w przemówieniach rządowych właściwie sami to przyznają.

Oni... – Potrzebują świeżej krwi – z zaciętością wpadł mu w słowo Nick; tyle razy powtarzał to już samemu sobie. – Mają własne dzieci – odparł barman. – Za mało. – Nick dopił utrwalacza. Czuł już, że fenmetrazyna zaczyna działać, wzmacniając poczucie jego własnej wartości, jego optymizm; miał uczucie, że narasta w nim potężny żar. – Gdyby się wydało, że testy do Służby są fałszowane – powiedział – to ten rząd upadłby przed upływem dwudziestu czterech godzin i do władzy doszliby Niezwykli, na ich miejsce. Czy pańskim zdaniem Nowym właśnie na tym zależy? Mój Boże! – Sądzę, że współdziałają ze sobą – powiedział barman. I oddalił się, by poczekać na następnego klienta. Ileż to razy sam o tym myślałem, westchnął Nick wychodząc z baru. Niezwykli i Nowi rządzą na przemian... jeśli naprawdę dogadali się w najdrobniejszych szczegółach i kontrolowali biurokrację testującą personel, to mogli, o czym wspomniał barman, 8 9 ustanowić samonapędzającą się strukturę władzy; a przecież cały nasz system polityczny opiera się na fakcie wzajemnej animozji tych dwu grup... to jest podstawowy czynnik naszego życia; to, jak również przyznanie, że dzięki swej wyższości zasługują na władzę i potrafią ją mądrze pełnić. Rozdzielił przesuwającą się masę pieszych, zobaczył syna, który z zachwytem wpatrywał się w wystawę. – Chodźmy – powiedział Nick, opierając ciężko dłoń, sprawiły to narkotyki, na ramieniu chłopca. Bobby odparł nie drgnąwszy: – Mają tutaj noże do zadawania bólu na odległość. Chciałbym mieć taki. Dodałby mi pewności siebie, gdybym go nosił w czasie testu. – To jest zabawka – powiedział Nick. – Nie szkodzi. Proszę. Naprawdę poczuję się o wiele lepiej. Pewnego dnia, pomyślał Nick, nie będziesz musiał rządzić przez zadawanie bólu – rządzić równymi tobie, służyć swym panom. Ty będziesz panem, wtedy z radością pogodzę się ze wszystkim, co będę widział dookoła siebie. – Nie – odparł i wciągnął syna z powrotem do gęstego strumienia ludzi na ruchomym chodniku. – Nie myśl o rzeczach konkretnych – powiedział szorstko. – Myśl o pojęciach oderwanych; o procesach neurologicznych. O to cię zahaczą. – Chłopiec zwlekał. – Ruszaj! – warknął Nick, siłą zmuszając go do pośpiechu. I odczuwając fizycznie opór syna, doświadczył przejmującej świadomości klęski. 10 To już trwało pięćdziesiąt lat, od roku 2085, kiedy wybrano pierwszego z Nowych... osiem lat wcześniej, nim tego wysokiego urzędu podjął się pierwszy Niezwykły. Wtedy to była sensacja: wszystkich ciekawiło, jak świeżo wykreowane w procesie ewolucji rasy nietypowe będą funkcjonowały w praktyce. Radziły sobie dobrze – zbyt dobrze, aby którykolwiek ze Starych mógł im dorównać. Podczas gdy one potrafiły zneutralizować całą wiązkę promieni światła o dużym natężeniu, Starzy dawali sobie radę zaledwie z jednym. Pewne funkcje oparte na procesach myślowych, których żaden Stary nawet nie pojmował, nie znajdowały w ogóle analogii we wcześniejszej różnorodności ludzkich ras. – Spójrz na nagłówki. – Bobby zatrzymał się przed stojakiem z gazetami. „DONIESIENIA O RYCHŁYM UJĘCIU PROYONIEGO” Nick przeczytał je bez zainteresowania, nie wierząc im, a zresztą nie obchodziło go to w istocie. Dla niego Thors Provoni już nie istniał, schwytany czy nie. Za to Bobby wydawał się przejęty informacją. Przejęty i zde gustowany. – Nigdy nie złapią Provoniego – powiedział. – Mówisz za głośno – powiedział Nick, zbliżając usta do uchasyna. Poczł głęboki niepokój. – Co mnie to obchodzi, czy ktoś słyszy?

– zachnął się Bobby. Pokazał ręką tłumy mężczyzn i kobiet, sunących obok nich. – Przecież oni wszyscy przyznają mi rację. – Patrzył na ojca z wściekłością. 11 – Opuszczając Terrę i kierując się poza Układ Słoneczny – powiedział Nick – Provoni zdradził cały rodzaj ludzki, tych „Lepszych” oraz... wszystkich innych. – Mocno w to wierzył. Klócili się o to wiele razy, ale nigdy nie umieli pogodzić swych sprzecznych zapatrywań na człowieka, który przyrzekł znaleźć inną planetę, inny świat, gdzie mogliby mieszkać Starzy... i rządzić się sami. – Provoni okazał się tchórzem – ciągnął Nick – a umysłowo, poniżej przeciętnej. Myślę, że nie był nawet wart pościgu. Tak czy owak, najwyraźniej go wytropili. – Ciągłe to mówią – odparł Bobby. – Dwa miesiące temu powiedzieli, że za dwadzieścia cztery godziny... – Był poniżej przeciętnej – przerwał mu obceso-wo ojciec. – A więc się nie liczy. – My też jesteśmy poniżej. – Ja, tak. Ale ty – nie. Jechali dalej w milczeniu; żaden nie miał ochoty na rozmowę. Urzędnik Służby Publicznej Norbert Weiss wyjął z komputera za swoim biurkiem zieloną kartkę i z uwagą przeczytał zawarte na niej informacje. Appleton. Robert. Przypominam go sobie, pomyślał. Lat dwanaście, ambitny ojciec... jak chłopak wypadł na wstępnym teście? Mocny współczynnik E, znacznie powyżej średniej. Ale... Podniósł słuchawkę wewnętrznego systemu łączności i wybrał numer swego szefa. 12 Pojawiła się ospowata, pociągnęła twarz Jerome'a Pikemana, na której widoczne były ślady przepracowania. – Tak? – Za chwilę tu będzie chłopak Appletonów – powiedział Weiss. – Podjął już pan decyzję? Puszczamy go czy nie? – Przytrzymał zielony świstek przed monitorem, by odświeżyć pamięć zwierzchnika. – Ludziom z mojej sekcji nie podoba się służalcza postawa jego ojca – odparł Pikeman. – Jest tak krańcowa w stosunku do władzy, że naszym zdaniem mogła łatwo wytworzyć swoje przeciwieństwo w rozwoju emocjonalnym syna. Zetnij go pan. – Kompletnie? – spytał Weiss. – Czy tymczasowo? – Zetnij go pan kompletnie. Raz na zawsze. Wyświadczymy dzieciakowi przysługę; on chyba nie chce zdać. – Małemu poszło bardzo dobrze. – Ale nie bezbłędnie. Niczego nie musimy. – Jednak przez uczciwość wobec chłopca... – zaprotestował Weiss. – Przez uczciwość wobec chłopca odrzucamy go. Kategoria rządowa to nie żaden przywilej ani zaszczyt, to ciężar. Odpowiedzialność. Pan tak nie uważa, panie Weiss? Nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Myślał: owszem, jestem przeciążony pracą, a płacę mam niską i, jak to powiedział Pikeman, to nie zaszczyt, to r 8 13

rodzaj obowiązku. Ale musieliby mnie zabić, bym ją rzucił. Zadawał sobie pytanie, dlaczego tak to odczuwa. Status urzędnika Służby Publicznej uzyskał we wrześniu 2120 i od tego czasu pracował dla rządu, najpierw pod Przewodniczącym Rady Niezwykłych, a później Nowym... obojętnie która grupa sprawowała całkowitą władzę, on – podobnie jak inni urzędnicy Służby – pozostawał nadal i pełnił swą wymagającą kwalifikacji funkcję. Kwalifikacji oraz zdolności. On, we własnej osobie: od dzieciństwa uznawał siebie prawnie za Nowego. Jego kora mózgowa zdradzała wyraźne Węzły Rogersa i w czasie testu na inteligencję przejawiał właściwe uzdolnienia. W wieku dziewięciu lat zdystansował pod względem umysłowym dorosłego Starego; mając lat dwadzieścia potrafił ułożyć w myślach stucyfrowe

tablice matematyczne... jak również wiele innych rzeczy. Na przykład umiał bez komputera wytyczyć kurs i pozycję statku poddanego siłom grawitacyjnym trzech ciał; dzięki wrodzonym procesom myślowym mógł określić jego położenie w dowolnej chwili. Potrafił wyprowadzić wiele korelatów z danego twierdzenia, zarówno teoretycznego, jak i rzeczywistego. A kiedy miał trzydzieści dwa... W szeroko rozpowszechnionym artykule wysunął zarzuty wobec klasycznej teorii ograniczeń, ukazując we właściwy dla siebie, błyskotliwy sposób możliwość powrotu – przynajmniej w teorii – do koncepcji 14 Zeno na temat ruchu postępowo malejącego do połowy, wykorzystawszy jako odskocznię teorię czasu cyklicznego Dunne'a.. W rezultacie zajmował mało ważne stanowisko w mało ważnym dziale Federalnego Biura Standardów Osobowych. Ponieważ jego prace, choć oryginalne, nie były niczym wielkim. W porównaniu z postępem dokonany przez innych Nowych. Przez pięćdziesiąt krótkich lat... odmienili mapę ludzkiej myśli. Zamienili ją w coś, czego Starzy, ludzie przeszłości, nie mogli poznać ani zrozumieć. Na przykład teoria aprzyczynowości Bernhada. W roku 2103 Bernhad, pracownik Politechniki Zurychskiej, dowiódł, że Hume głosząc swój ogromny sceptycyzm w zasadzie miał słuszność: tylko siła nawyku, nic więcej, łączy ze sobą zjawiska traktowane przez Starych jako ogniwa łańcucha przyczynowo-skutkowego. To on doprowadził teorię monad Leibniza do aktualnego stanu – z fatalnymi skutkami. Pierwszy raz w historii człowieka stało się możliwe przepowiadanie fizycznych następstw na podstawie zmiennych przewidywalnych, z których każda jest równie prawdziwa, równie przypadkowa jak następna. Wskutek tego nauki stosowane przyjęły nową formę, wobec której Starzy byli bezradni; dla nich zasada aprzyczynowości oznaczała chaos: niczego nie potrafili przewidzieć. I na tym nie koniec. W 2130 roku Blaise Black, Nowy z potwierdzoną kategorią R-szesnaście, obalił zasadę synchroniczności 8 15 ci Wolfganga Pauliego. Wykazał, że tak zwana pionowa linia spójności potraktowana jako czynnik odtwarzalny, przy zastosowaniu nowych metod przypadkowej selekcji dawała się wyliczyć równie łatwo jak sekwencja pozioma. Tak więc różnica między sekwencjami została faktycznie zatarta. – uwalniając fizykę abstrakcyjną od brzemienia podejścia dualistycznego, co nadzwyczajnie ułatwiło wszelkie rachunki, łącznie z obliczeniami pochodzącymi od astrofizyki. System Blacka, gdyż tak został nazwany, skończył na zawsze wraz z zaufaniem do teorii i praktyki Starych. Udział Niezwykłych był bardziej konkretny; zajmowali się oni działaniami, które dotyczyły rzeczy realnie istniejących. W ten sposób – przynajmniej tak to widział on, Nowy – zasługą jego rasy było nakreślenie zasadniczego szkieletu przekształconej mapy Wszechświata, zadanie Niezwykłych polegało zaś na praktycznym zastosowaniu tych ogólnych struktur. Wiedział, że Niezwykli nie zgodziliby się z taką opinią. Ale nie przejmował się tym. Mam kategorię R-trzy, powiedział do siebie. I zdziałalem coś niecoś; wniosłem odrobinę do naszej zbiorowej wiedzy. Żaden ze Starych, obojętnie jak utalentowany, nie byłby w stanie tego dokonać. Może poza Thorsem Provonim. Tyle że Thorsa Provoniego od lat nie ma; nie zakłóca snu ani Niezwykłym, ani Nowym. Provoni szaleje na obrzeżach Galaktyki, uganiając się w gniewie za czymś nieuchwytnym, czymś zgoła metafizycznym. Za od-

16 powiedzią, zdaje się. Za rozwiązaniem. Thors Provo-ni krzyczy w próżnię, wszczyna hałas z nadzieją na odpowiedź. Niech nas Bóg ma w swej opiece, myślał Weiss, jeśli ten człowiek kiedykolwiek ją usłyszy. Ale on się nie bał Provoniego, równi jemu – także nie. Kilku nerwowych Niezwykłych szemrało między sobą, kiedy miesiące przechodziły w lata, a Provoni wciąż żył i wciąż wymykał się pogoni. Thors Provoni był anachronizmem: pozostał ostatnim ze Starych, którzy nie potrafili zaakceptować historii, którym roilo się klasyczne, bezmyślne działanie... tkwił w wydumanej po większej części przeszłości, mrocznej, beznadziejnej i martwej, której nie można było już wskrzesić nawet przy udziale tak zdolnego, tak wykształconego i tak aktywnego człowieka jak Pro-voni. To pirat, powiedział do siebie Weiss, postać na pół romantyczna, otoczona nimbem bohatera. W pewnym sensie będzie mi go brakowało, kiedy zginie. Ostatecznie wszyscy pochodzimy od Starych; jesteśmy jego krewniakami. Dalekimi. Do swego szefa, Pikemana, powiedział: – To wielkie brzemię. Ma pan rację. Brzemię, pomyślał, ta robota, ta kwalifikacja do Służby. Nie umiem wznieść się do gwiazd; nie potrafię gonić za czymś, co nie istnieje w odległych zakątkach Wszechświata. Jak się będę czuł, zastanawiał się, kiedy zabijemy Thorsa Provoniego? Moja praca, odpowiadał sobie, stanie się tym bardziej monotonna. A mimo to ją lubię. Nie rzuciłbym jej. Być Nowym, to znaczy być kimś. 8 17 Może jestem ofiarą naszej własnej propagandy, doszedł do wniosku. – Kiedy przyjdzie Appleton ze swoim synem – odparł Pikeman – zrobi pan małemu Robertowi pełny test... potem im pan oświadczy, że wyniki będą dopiero za jakiś tydzień. W ten sposób cios stanie się lżejszy do zniesienia. – Uśmiechnął się sztywno i dodał: – A pan nie będzie musiał przekazywać tej informacji osobiście: nadejdzie w formie pisemnego zawiadomienia. – Mogę im powiedzieć – odparł Weiss. Ale nie chciał. Ponieważ, jak sądził, to nie będzie prawda. Prawda, pomyślał. To my jesteśmy prawdą; my ją tworzymy: należy do nas. Razem sporządziliśmy nową mapę. W miarę naszego wzrostu ona rośnie razem z nami; my się zmieniamy. Gdzie będziemy za rok? zadawał sobie pytanie. Nie ma sposobu, aby się tego dowiedzieć... nie licząc jasnowidzów wśród Niezwykłych, a oni, jak słyszał, widzieli wiele przyszłości w postaci rzędów skrzyń. Z interkomu dobiegł głos sekretarki. – Panie Weiss, jest tutaj Nicholas Appleton ze swoim synem. – Proszę ich przysłać – odpowiedział. W oczekiwaniu na nich rozparł się w swym wielkim fotelu ze sztucznej skóry. Na biurku leżał formularz testu; bawił się nim w zamyśleniu i obserwował kątem oka, jak przyjmuje rozmaite kształty. Zmrużył powieki, niemal zaciskając je na chwilę... i stworzył w myśli dokładnie taką formę, jaką jego zdaniem powinien mieć.

W ich maleńkim mieszkanku Kleo Appleton spojrzała na zegarek i drgnęła. Już tak późno, pomyślała. I po co to wszystko, po co? Może już nigdy nie wróca; może powiedzą coś nie tak i trafią do któregoś z tych obozów odosobnienia, o jakich się słyszy. – Dureń z niego – powiedziała do telewizora. A z głośnika dobiegły zbiorowe oklaski, jakby nierzeczywista publiczność biła brawo. – Pani Kleo Appleton z North Piąte w Idaho twierdzi, że jej mąż jest durniem – powiedział spiker. – Co pan o tym sądzi, panie Garley? Kiedy gwiazdor telewizyjny Ed Garley obmyślał dowcipną odpowiedź, na ekranie pojawiła się okrągła, tłusta twarz. – Czy pańskim zdaniem nie jest całkowitym nonsensem, by dorosły człowiek przez chwilę wyobrażał sobie, że... Wyłączyła telewizor gestem dłoni. Z pieca w przeciwległej ścianie salonu unosił się zapach surogatu szarlotki. Poświęciła na nią połowę swojej tygodniowej płacy w kuponach oraz trzy żółte kartki żywnościowe. A ich wciąż nie ma, mówiła do siebie. Lecz to chyba nie jest takie ważne. W porów- 819 naniu z całą resztą. To był może najważniejszy dzień w życiu jej syna. Musiała z kimś porozmawiać. Kiedy tak czekała. Tym razem telewizor nie nadawał się do tego. Wyszła z mieszkania, przecięła korytarz i zapukała do drzwi pani Arlen. Otworzyły się. Wyjrzała z nich, niczym spod skorupy żółwia, rozczochrana kobieta w średnim wieku, pani Rosę Arlen. – O, pani Appleton? – Ma pani jeszcze Pana Czyściocha? – spytała Kleo. – Będzie mi potrzebny. Chcę wszystko sprzątnąć, żeby ładnie wyglądało, kiedy Nick i Bobby wróca. Widzi pani, dzisiaj Bobby przechodzi test. Czy to nie cudowne? – Testy są manipulowane – odparła pani Arlen. – Wszyscy, którzy tak mówią – stwierdziła Kleo – albo sami zawalili test, albo mają kogoś takiego w rodzinie. Codziennie zdaje mnóstwo ludzi, przeważnie dzieci takie jak Bobby. – Mogę się założyć. – Jest u pani Pan Czyścioch? – spytała lodowato Kleo. – Mam prawo do trzech godzin tygodniowo, a w tym tygodniu jeszcze z niego nie korzystałam. Pani Arlen niechętnie cofnęła się za drzwi, zniknęła na kilka chwil, po czym wróciła, pchając przed sobą wysokiego, okazałego pana Czyściocha, zajmującego się porządkami w budynku. – Dobry wieczór, pani Appleton – jęknął piskliwie Pan Czyścioch, ujrawszy Kleo. – Niech mnie 20 pani włączy, miło znowu panią widzieć. Dzień dobry, pani Appleton. Niech mnie pani włączy, miło... Kleo przeciągnęła go przez korytarz do swojego mieszkania. – Skąd u pani taka wrogość wobec mnie? Czy ja coś pani zrobiłam? – spytała panią Arlen. – To nie wrogość – odparła Rosę Arlen. – Ja tylko staram się otworzyć pani oczy na prawdę. Gdyby testy były na poziomie, to nasza Carol by zdała. Czyta w myślach, przynajmniej trochę. Ona jest autentyczną Niezwykłą w tym samym stopniu, co wszyscy zakwalifikowani do Służby. Wielu zaliczonych do Niezwykłych traci zdolności, bo... – Przepraszam, muszę posprzątać. – Kleo zamknęła mocno drzwi za sobą i odwróciła się, by poszukać kontaktu do włączenia Pana Czyściocha... Przystanęła. I znieruchomiła. Stał przed nią niski, niechlujny mężczyzna z haczykowatym nosem, o wąskiej, wyrazistej twarzy, ubrany w zniszczoną marynarkę i niedoprasowane spodnie. Wszedł do mieszkania, kiedy

rozmawiała z panią Arlen. – Kim pan jest? – spytała i serce jej zabiło ze strachu. W tym człowieku było coś ukradkowego, jakby próbował się ukryć przed jej wzrokiem... Jego wąskie i ciemne oczy nerwowo biegały tu i tam, jak gdyby upewniał się, czy zna wszystkie drogi do wyjścia z mieszkania. – Nazywam się Darby Shire – przemówił chrapliwym głosem. Wpatrywał się uporczywie w Kleo, jego twarz nabierała wyrazu zaszczucia. – Jestem starym przyjacielem pani męża – dodał. – Kiedy 8 21 przyjdzie do domu? Czy mógłbym poczekać, aż wróci?

–Mogą nadejść w każdej chwili – odparła. Nadal się nie poruszała; starała się trzymać jak najdalej od osobnika, który przedstawił się jako Darby Shire. – Muszę posprzątać mieszkanie, zanim wrócą – powiedziała. Ale nie podłączyła Pana Czyściocha. Nie spuszczała oka ze swojego gościa, uważnie go obserwując. Czego on się boi? pomyślała. Czy jest poszukiwany przez agentów Służby Bezpieczeństwa Publicznego? A jeśli tak, to za co? – Proszę o filiżankę kawy – powiedział Shire. Spuścił głowę, jakby wstydząc się błagalnego tonu w swoim głosie. Jakby nie pochwałał siebie za to, że ją o cokolwiek prosi, choć bardzo tego potrzebuje i musi to dostać tak czy owak. – Mogę zobaczyć pański identyfikator? – spytała. – Proszę bardzo. – Shire pogrzebał w wypchanych kieszeniach marynarki, wyjął garść plastikowych kart i rzucił je na krzesło obok Kleo. – Proszę wziąć, ile pani chce. – Trzy identyfikatory? – zdziwiła się. – Ależ nie wolno mieć więcej niż jeden. To wbrew prawu. – Gdzie jest Nick? – spytał Shire. – Z Bobbym. W Federalnym Biurze Standardów Osobowych. – O, macie państwo syna. – Uśmiechnął się krzywo. – Sama pani widzi, od jak dawna nie miałem kontaktu z Nickiem. Chłopiec jest Nowy? Niezwykły? 22 – Nowy – odpowiedziała. Podeszła do wideofonu po drugiej stronie salonu. Podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer. – Gdzie pani dzwoni? – spytał Shire. – Do Biura. Dowiedzieć się, czy Nick z Bobbym już wyszli. Shire podszedł szybko do aparatu. – Nie będą pamiętali, nawet nie będą wiedzieli, o kogo pani pyta. Czy pani nie rozumie, jacy oni są? – Wyciągnął rękę i przerwał połączenie. – Proszę przeczytać tę książkę. – Grzebał w swoich licznych kieszeniach, wreszcie wyciągnął książkę w miękkiej oprawie, pogiętą, ze zmiętoszonymi stronami i pełną brudnych plam; okładkę miała w strzępach. Podał książkę Kleo. – Boże, ja jej nie chcę – rzekła z obrzydzeniem. – Niech pani weźmie. Niech pani przeczyta i zrozumie, co trzeba zrobić, by uwolnić się od tyranii Nowych i Niezwykłych, która niszczy nasze życie i sztydzi ze wszystkiego, czego człowiek usiłuje dokonać. – Przerzucił kartki zatłuszczonej, podartej książki, szukając konkretnej strony. – Czy teraz mógłbym dostać filiżankę kawy? – spytał żałośnie. – Nie mogę znaleźć właściwego fragmentu, to potrwa trochę. Wahała się przez chwilę, po czym ruszyła szybko do wnęki kuchennej, by zagrzać wodę na surogat kawy instant. – Może pan zostać pięć minut – powiedziała do Shire'a. – Ale jeśli Nick do tego czasu nie wróci, będzie pan musiał odejść. 8 23 – Boi się pani, że przyłapią nas razem? – spytał Shire.

–Ja się po prostu... niepokoję – odparła. Bo wiem, kim jesteś, pomyślała. I widziałam już takie pogięte, okaleczone książki, przygnębiające swym wyglądem,

noszone tu i ówdzie w brudnych kieszeniach, wertowane po kryjomu, w tajemnicy. – Pan należy do RID – stwierdziła na głos. Shire uśmiechnął się kwaśno. – RID jest zbyt bierna. Oni chcą działać poprzez urnę wyborczą. – Znalazł fragment, którego szukał, ale teraz wydawał się zbyt znużony, by go pokazać. Stał tak tylko z książką w rękę. – Spędziłem dwa lata w rządowym więzieniu – oświadczył. – Proszę poczęstować mnie kawą i zaraz sobie pójdę, nie będę czekać na Nicka. On i tak chyba nic nie może dla mnie zrobić. – A co mógłby, pańskim zdaniem? Nick nie pracuje dla rządu, nie ma żadnych... – Nie o to chodzi. Jestem na wolności legalnie, odsiedziałem swój wyrok. Czy mógłbym zostać u państwa? Jestem bez pieniędzy i nie mam dokąd iść. Myślałem o wszystkich, których pamiętam i którzy mogliby mi pomóc, i drogą eliminacji wybrałem Nicka. – Wziął od Kleo filiżankę kawy i zrewanżował się jej książką. – Dziękuję – powiedział pijąc łąpczywie. – Czy pani wie – ciągnął wytarłszy usta – że cała struktura władzy na tej planecie rozleci się z powodu przegnicia? Wewnętrznego przegnicia... któregoś dnia przewrócimy ją jednym palcem. Kilku ludzi, spośród Starych, ulokowanych tu i tam na 24 kluczowych stanowiskach, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz aparatu Służby Publicznej oraz... – Zrobił gwałtowny, szeroki gest ręką. – To wszystko jest w mojej książce. Niech ją pani zatrzyma i przeczyta. Proszę sobie poczytać o tym, jak Nowi i Niezwykli nami manipulują za pomocą środków masowego przekazu oraz o... – Pan jest szalony – powiedziała Kleo. – Już nie. – Shire potrząsnął głową, a jego szczurza twarz wykrzywiła się w odruchowym, emocjonalnym zaprzeczeniu słowom Kleo. – Kiedy mnie aresztowali przed trzema laty, zostałem uznany za szalonego przez sąd i lekarzy, paranoja, orzekli, ale przed zwolnieniem musiałem przejść dodatkowe testy i teraz mogę udowodnić moje zdrowie psychiczne. – Znowu począł grzebać w swoich licznych kieszeniach. – Mam nawet przy sobie oficjalne zaświadczenie. Wszędzie je noszę. – Powinni byli pana drugi raz sprawdzić – odparła Kleo. Boże, pomyślała, czy Nick nigdy nie wróci? – Rząd opracowuje program sterylizacji wszystkich Starych płci męskiej – powiedział Shire. – Wiedziała pani o tym? – Nie wierzę. – Słyszała mnóstwo takich głupich plotek, ale żadna się nie sprawdziła... w każdym razie większość. – Pan to mówi, żeby usprawiedliwić gwałt i przemoc, waszą własną bezprawną działalność. – Mamy odbitkę projektu zarządzenia', podpisało go już siedemnastu członków Rady na ogólną... 8 25 Telewizor włączył się z trzaskiem i oznajmił:

–Komunikat. Wysunięte jednostki Trzeciej Floty donoszą, że Szary Dinozaur, statek którym obywatel Thors Provoni opuścił Układ Słoneczny, został zlokalizowany na orbicie wokół Proximy. Nie wykryto na nim oznak życia. Obecnie holowniki Trzeciej Floty przystępują do ściągania tego najwyraźniej opuszczonego statku kosmicznego i sądzi się, że ciało Pro-voniego zostanie odnalezione w ciągu godziny. Pozostańcie przy odbiornikach. – Telewizor wyłączył się, wiadomość została przekazana. Dziwny, niemal konwulsyjny dreszcz wstrząsnął Darbym Shire'em. Wykrzywił się, szarpnął prawą ręką... dyszał jak oszalały, następnie odwrócił się z błyszczącymi oczami do Kleo. – Nigdy go nie dostaną – wycedził przez zaciśnięte zęby. – I powiem pani

dłaczego. Thors Provo-ni jest Starym, najlepszym spośród nas, i przewyższa wszystkich Nowych i Niezwykłych. Wróci do naszego Układu z pomocą. Tak jak obiecał. Gdzieś w Kosmosie istnieje dla nas ratunek, i Provoni go znajdzie, nawet gdyby miało to potrwać osiemdziesiąt lat. On nie szuka planety do kolonizacji. On szuka Ich. – Zmierzył Kleo wzrokiem. – Pani o tym nie wiedziała, co? Nikt o tym nie wie, bo nasi władcy kontrolują całą informację, nawet na temat Provoniego. Ale właśnie o to chodzi; dzięki niemu przestaniemy być samotni, nie będziemy już we władzy pozbawionych wszelkich zasad mutantów, wykorzystujących swoje tak zwane zdolności jako pretekst do zagarnięcia władzy na Terrze i sprawowania jej bez końca.

26 Głośno sapał, twarz mu się wykrzywiła z wysiłku, oczy błyszczały mu z podniecenia własnymi słowami. – Już rozumiem – powiedziała i odwróciła się z niesmakiem. – Wierzy pani? – spytał Shire. – Wierzę, że jest pan fanatycznym stronnikiem Provoniego; owszem, w to wierzę – odparła Kleo. I sądzę też, pomyślała, że wobec prawa i medycyny znowu jesteś szalony tak jak kilka lat temu. – Cześć. – Do mieszkania weszli Nick i człapiący za nim Bobby. Nick spojrzał na Shire'a. – Kto to? – spytał. – Czy Bobby zdał? – zainteresowała się Kleo. – Myślę, że tak – odparł Nick. – Dadzą nam znać listownie w przyszłym tygodniu. Gdybyśmy odpadli, od razu by nam powiedzieli. – Oblałem – powiedział nieśmiało Bobby. – Pamiętasz mnie? – zagadnął Shire. – Po takim długim czasie? – Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie. – Ja cię poznaję – dodał Darby głosem pełnym nadziei, jakby zapraszając Nicka do przypomnienia sobie również i jego. – Piętnaście lat temu. W Los Angeles. Budynek archiwum okręgowego; byliśmy obaj księgowymi u Brunnella Końskiego Pyska. – Darby Shire – powiedział Nick. Wyciągnął rękę, uścisnęli sobie dłonie. Ten człowiek to wrak, pomyślał Nick Appleton. Jaka przerażająca zmiana... chociaż piętnaście lat to szmat czasu. – Wyglądasz zupełnie tak samo – stwierdził Darby Shire. Wyciągnął w kierunku Nicka swoją po- 8 27 strzępioną książkę. – Werbuję. Na przykład przed chwilą próbowałem zwerbować twoją żonę. Bobby rzucił okiem na książkę i powiedział: – To Podczłowiek. – W jego głosie wyczuwało się ekscytację. – Mogę ją zobaczyć? – spytał wyciągając rękę. – Wynoś się, Shire – powiedział Nick. – Nie mógłbyś chyba... – zaczął Shire, ale Nick przerwał mu brutalnie. – Wiem, kim jesteś. – Chwycił Shire'a za kołnierz podartej marynarki i popchnął z całej siły w stronę drzwi. – Wiem, że się ukrywasz przed agentami SBP. Wynoś się. – On nie ma gdzie iść – powiedziała Kleo. – Chciał się u nas zatrzymać przez jakiś czas. – Nie! – zaprotestował Nick. – Nigdy. – Boisz się? – spytał Shire. – Tak. – Nick skinął głową. Każdemu, kogo przyłapano na szerzeniu propagandy Podludzi oraz wszystkim powiązanym z nim w jakikolwiek sposób automatycznie odbierano prawo poddania się w przyszłości testom do Służby Publicznej. Gdyby SBP znalazła tutaj Darby'ego Shire'a, przyszłość Bobby'ego zostałaby zniszczona. A ponadto wszyscy mogliby zostać ukarani grzywną. I trafić na czas nieokreślony do któregoś z obozów dla zesłańców. Bez prawa do uczciwego procesu apelacyjnego. – Nie bój się. Nie trać nadziei – powiedział cicho Darby Shire i wyprostował się. Jaki on niski, pomyślał Nick. I brzydki. – Nie zapominaj o obietnicy Thorsa Provoniego – mówił dalej Shire. – I pamięć-28 taj też o tym, że twojemu chłopakowi i tak nie uda się uzyskać kategorii do

Służby Publicznej. Więc nic nie macie do stracenia. – Mamy do stracenia naszą wolność – odparł Nick. Ale się wahał. Nie wyrzucił Darby'ego Shire'a z mieszkania na wspólny korytarz. Założmy, że Pro-voni jednak wróci, powiedział do siebie. Ta myśl przychodziła mu już niejednokrotnie do głowy. Nie, nie wierzę. Provoni właśnie został schwytany. – Nie – powiedział. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Rujnuj własne życie i na tym poprzestań. A teraz znikaj. Tym razem wypchnął drobnego człowieka na korytarz. Trzasnęły zamki kilku drzwi i niektórzy mieszkańcy bloku – z których jednych znał, a innych nie – wyjrżeli z ciekawością. Darby Shire zmierzył Nicka wzrokiem, po czym spokojnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni wyświechtanej marynarki. Teraz wydawał się wyższy i bardziej panujący nad sobą... oraz nad całą sytuacją. – Cieszę się, obywatelu Appleton – powiedział, wyjmując wąskie, płaskie, czarne etui i otwierając je z trzaskiem – że zachował się pan właśnie w taki sposób. Przeprowadzam wrywkową kontrolę w tym budynku, dobór losowy, że tak powiem. – Pokazał Nickowi oficjalny identyfikator; zasilany sztucznym ogniem połyskiwał matowo. – Agent SBP Darby Shire. Nick poczuł w środku paraliżujący chłód, który odebrał mu głos. Nie miał pojęcia co powiedzieć. – O Boże – szepnęła z przerażeniem Kleo i po- 8 29

deszła do Nicka, a po chwili to samo uczynił Bobby. – Ale mówiliśmy to co należy, prawda? – spytała. – Dokładnie to co należy – odparł. – Wasze odpowiedzi były jednakowo właściwe. Do widzenia! Schował płaski zestaw identyfikacyjny do wewnętrznej kieszeni marynarki, uśmiechnął się i ruszył przez tłum gapiów. Po chwili go nie było. Został tylko krąg zaniepokojonych sąsiadów. Oraz Nick z żoną i synem. Nick zamknął drzwi na korytarz i odwrócił się do Kleo. – Nie można nikomu ufać – powiedział ochryple. Tak niewiele brakowało. Jeszcze chwila, uświadomił sobie, a mogłem mu powiedzieć, żeby został. Przez wzgląd na starą znajomość. Ostatecznie naprawdę go znałem. Dawno temu. To chyba dlatego, myślał, wybrali go do przeprowadzenia wrywkowej kontroli lojalności mojej i mojej rodziny. Wielki Boże, westchnął. Ogarnęło go przerażenie i począł drżeć; niepewnym krokiem poszedł w stronę łazienki, do apteczki, w której trzymał swój zapas pigulek. – Trochę wodorochlorku flufenazyny – mruknął, sięgając po buteleczkę ze środkami uspokajającymi. – To już trzeci raz dzisiaj – powiedziała Kleo, jak na mądrą żonę przystało. – Za dużo. Zostaw. – Nic mi nie będzie – odparł. Nalał wody do szklanki i w milczeniu, pośpiesznie, zażył okrągłą pastylkę. I poczuł głuchy gniew. Doświadczył krótkotrwałe-30

go napadu złości, na system, na Nowych i Niezwykłych, na Służbę Publiczną – i wówczas zaczął działać wodorochlorek flufenazyny. Złość przeszła. Ale nie całkowicie. – Myślisz, że nasze mieszkanie jest zapluskwione? – spytał Kleo. – Zapluskwione? – Wzruszyła ramionami. – Na pewno nie. W przeciwnym razie dawno by już nas wezwali za te straszne rzeczy, jakie wygaduje Bobby. Nick westchnął. – Chyba już dłużej nie wytrzymam – poskarżył się. – O co ci chodzi?

Nie odpowiedział. Ale w głębi duszy wiedział dobrze, o kogo i o co mu chodzi. I jego

syn także wiedział. Teraz byli solidarni – ale jak długo będę to tak odczuwał, zadawał sobie pytanie. Zaczekam i przekonam się, czy Bobby zdał test do Służby Publicznej, pomyślał. A potem zadecyduję co robić. Niech Bóg broni, powiedział do siebie. O czym ja myślę? Co się ze mną dzieje? – Jest tu jeszcze ta książka – odezwał się Bobby; schylił się i wziął do ręki porwany, zmięty egzemplarz, który zostawił Darby Shire. – Mogę ją przeczytać? – spytał ojca. Przekartkowawszy ją stwierdził: – Wygląda na autentyczną. Gliny musiały ją zabrać któremuś z aresztowanych Podludzi. – Przeczytaj – powiedział ze złością Nick.

III

Dwa dni później w skrzynce pocztowej Appletonów pojawił się list od rządu. Nick otworzył go natychmiast, serce mu kołatało z niepokoju. To były faktycznie wyniki testu; przebiegł oczyma kilka kartek – była też kserokopia pracy Bobby'ego – i trafił wreszcie na decyzję. – Odpadł. – Wiedziałem, że obleje – powiedział Bobby. – Właśnie dlatego nie chciałem w ogóle zdawać. Kleo wybuchnęła płaczem. Nick nic nie mówił, nie myślał o niczym; stał odrętwiały, czując pustkę w głowie. Jakaś dłoń zimniej-sza od samej śmierci ścisnęła jego serce, zabijając wszelkie uczucia.

IV

Podniósłszy słuchawkę na linii numer jeden, Willis Gram, Przewodniczący Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, powiedział żartobliwie: – Jak idzie polowanie na Provoniego, szefie? Jest coś nowego? Zachichotał. Bóg wie gdzie jest Thors Provon. Pewnie od dawna martwy na jakiejś odległej, pozbawionej powietrza planetoidzie. – Ma pan na myśli komunikaty prasowe i telewizyjne, panie Przewodniczący? – odparł z kamienną twarzą szef policji, Lloyd Barnes. Willis Gram roześmiał się. – Powiedz mi pan, o czym głądzi dzisiaj telewizja i prasa. Mógł oczywiście włączyć telewizor, nie musiał nawet wstawać z łóżka. Ale kiedy szło o Thorsa Provo-niego, z przyjemnością dawał po nosie swojemu nadętemu szefowi policji. Zwykle wtedy kolor twarzy Barnes'a zmieniał się w interesująco chorobliwy sposób. A będąc Niezwykłym najwyższej kategorii, Gram mógł sobie pozwolić na rozkoszowanie się chaosem panującym w myślach tego człowieka, kiedy rozmowa zahaczała o sprawę zbiegłego zdrajcy. 8 33 Ostatecznie to sam Dyrektor Barnes dziesięć lat temu wypuścił Thorsa Provoniego z federalnego więzienia. Jako człowieka zrehabilitowanego. – Provonie znowu jakimś cudem prześlizgnie się nam między palcami – powiedział ze smutkiem Barnes. – Dlaczego nie powiecie, że nie żyje? To by miało ogromny wpływ psychologiczny na społeczeństwo – który to wpływ on chciałby w całej rozciągłości zobaczyć. – Gdyby się tu kiedyś zjawił ponownie, podstawy naszej sytuacji byłyby wystawione na szwank. Przez samo pojawienie się... – Gdzie moje śniadanie? – spytał Gram. – Każ mi je podać. – Tak jest – odparł Barnes dotknięty do żywego. – A co pan sobie życzył Jajka i grzanki? Smażoną szynkę? – To szynka jest faktycznie osiągalna? – zdziwił się Gram. – Niech będzie szynka i trzy kurze jajka. Tylko dopilnuj, żeby nie było jakiegoś erzacu. – Tak jest – odburknął niezbyt zadowolony z roli służącego Barnes i przerwał połączenie. Willis Gram opadł wygodnie na poduszki; natychmiast zjawił się jeden z jego ludzi i z wprawą ułożył je dokładnie tak jak trzeba. Gdzie się właściwie podziała ta przeklęta gazeta? zapytał siebie Gram i wyciągnął rękę, inny z członków jego osobistego sztabu spostrzegł ten gest i zręcznie podał trzy ostatnie wydania Times a. Przez jakiś czas kartkował pierwsze kolumny tej 3ŚNasi przyjaciele. 34

wspaniałej, starej gazety obecnie kontrolowanej przez rząd. – Eric Cordon – wyrzekł wreszcie, machając prawą dłonią na znak, że chce dyktować. W jednej chwili zbliżył się pisarz z przenośnym rejestratorem w ręku. – Do wszystkich członków Rady – powiedział Gram. – Nie możemy oznajmić o śmierci Provoniego z przyczyn, które wskazał Dyrektor Barnes, ale możemy dostarczyć Erica Cordona. To znaczy, możemy go stracić. I cóż to będzie za ulga. Niemal taka, pomyślał, jak po schwytaniu samego Thorsa Provoniego. Jak siatka długa i szeroka, Eric Cordon był jej najukochańszymi mówcą i organizatorem. I krążyło, rzecz jasna, mnóstwo jego książeczek. Cordon był prawdziwym, Starym intelektualistą, fizykiem teoretycznym, który mógł wywołać wielki zbiorowy odzew wśród innych rozczarowanych Starych, tęskniących za minionym czasem. Gdyby mógł, cofnąłby zegar historii o pięćdziesiąt lat. Jednak Cordon mimo swojego wyjątkowego daru przekonywania był myślicielem, a nie działaczem jak Provoni: Thors Provoni, człowiek czynu, który zanosi się od krzyku, by znaleźć pomoc, jak utrzymuje Cordon, jego były przyjaciel, w swoich nie kończących się przemówieniach, książkach i niechlujnych broszurach. Cordon był popularny, ale w przeciwieństwie do Provoniego nie stanowił powszechnego zagrożenia. Po swojej śmierci pozostawi pustkę, której w gruncie rzeczy nigdy należycie nie wypełniał. Pomimo swego wdzięku, który dał mu popularność, był drobną płotką. r 8 35

Jednak wielu ze Starych nie rozumiało tego. Erica Cordona otaczał nimb bohaterstwa. Provoni był abstrakcyjnym mitem; Cordon istniał, działał, pisał i przemawiał – tutaj, na Ziemi. Podniósłszy słuchawkę na linii numer dwa, powiedział: – Proszę mi rzucić Erica Cordona na duży ekran, panno Knight. – Rozłączył się i usadowił wygodnie na łóżku, ponownie wtykając nos w Timesa. – Będzie pan dyktować, panie Przewodniczący? – zagadnął po jakimś czasie pisarz. – Ach, tak. – Gram odłożył gazetę. – Na czym to ja skończyłem? – To znaczy, możemy go stracić. I cóż to będzie... – Jedziemy dalej – powiedział Gram i odchrząknął. – Chcę, żeby wszyscy szefowie departamentów, słyszysz, co mówię? objęli myślą i zrozumieli powody mojego życzenia, by wykończyć tego, jak mu tam... – Erica Cordona – podpowiedział pisarz. – Właśnie. – Gram skinął głową. – Dlaczego musimy zlikwidować Erica Cordona? Otóż Cordon jest łącznikiem między Starymi na Ziemi a Thorsem Provonim. Dopóki Cordon żyje, ludzie czują obecność Provoniego. Bez Cordona nie mają ani rzeczywistego, ani w ogóle jakiegokolwiek kontaktu z tym sukinsynem kosmicznym. Kiedy Provoniego nie ma, Cordon jest jakby jego tubą. Przyznaję, że mogłoby to spowodować przedwczesny wybuch. Kto wie, czy Starzy nie będą wszczynać zamieszek przez jakiś czas... ale z drugiej strony to mogłoby wywabić Pod-36 ludzi z ukrycia i udałoby się nam ich dopaść. W pewnym sensie zamierzam sprowokować przedwczesną demonstrację siły przez Podludzi; zaraz po ogłoszeniu śmierci Cordona rozpoczną się fale niepokoju, ale w końcu... Przerwał. Na wielkim ekranie, który zajmował przeciwległą ścianę jego przestronnej sypialni, zajaśniała twarz. Szczupła, estetyczna twarz o zapadniętych policzkach; słaba szczęka, pomyślał Gram przyjrząwszy się jej ruchom w trakcie mówienia. Okulary

bez oprawki, rzadkie włosy w postaci starannie zaczesanych pasemek w poprzek tysej poza tym głowy. – Fonia! – polecił widząc, że Cordon bezgłośnie porusza ustami. – ...przyjemnością! – zagrzmiało; dźwięk rozległ się zbyt głośno. – Wiem, jaki pan jest zajęty. Ale skoro chce pan ze mną porozmawiać... – Cordon skłonił się uprzejmie -...to jestem gotowy. – Gdzie on teraz przebywa, do diabła? – spytał Gram jednego z adiutantów stojących przy łóżku. – W więzieniu Brightforth. – Dobrze cię karmią? – zwrócił się do wizerunku na wielkim ekranie. – Tak, bardzo dobrze. – Cordon uśmiechnął się, pokazując tak równe zęby, że wydawały się i pewnie były sztuczne. – A możesz pisać swobodnie? – Mam przybory. – Powiedz mi, Cordon – zapytał energicznie Gram – dlaczego wypisujesz i wygadujesz te cholerne brednie? Przecież wiesz, że to stek kłamstw.

–Prawda jest w oku widzącego – zachichotał Cordon słabo i bez humoru. – Pamiętasz ten proces sprzed kilku miesięcy – spytał Gram – kiedy to dostałeś szesnaście lat więzienia za zdradę? No więc, cholera, sędziowie wrócili i zmienili ci kwalifikację wyroku. Tym razem zdecydowali się na karę śmierci. Ponura twarz Cordona nie uzewnętrzniała żadnych uczuć. – Czy on mnie słyszy? – spytał Gram adiutanta. – O, tak. Słyszy pana bardzo dobrze.

–Wykonamy na tobie wyrok śmierci, Cordon. Wiesz, że czytam w twoich myślach i wiem, jak bardzo się boisz – powiedział Gram. To była prawda. W duchu Cordon zdrzął. Chociaż ich kontakt był wyłącznie elektronicznej natury, a Cordon znajdował się w odległości trzech tysięcy kilometrów, takie zdolności psioniczne zawsze zbijały z tropu Starych, a często również i Nowych. Cordon nie odzywał się. Ale było jasne, iż pojął fakt, że Gram zaczął go sondować telepatycznie. – Na dnie duszy – powiedział Gram – myślisz tak: może powinienem się wycofać, Provoni nie żyje... – Ja nie myślę, że Provoni nie żyje – wtrącił Cordon, okazując urazę z powodu doznanej zniewagi; pierwszy szczery wyraz na jego twarzy. – Podświadomie – mówił dalej Gram. – Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. – Chociażby Thors nie żył... – Och, dość tego! – powiedział Gram. – Ty 38

wiesz i ja wiem, że gdyby Provoni zginął, dałbyś sobie spokój z robotą agitacyjną i propagandową, i wycofałbyś się z publicznego widoku na resztę swego przekłętego, zmarnowanego życia. Nagle brzęczyk w aparacie telekomunikacyjnym po prawej stronie Grama ożył i bzyknął. – Przepraszam – powiedział Przewodniczący i nacisnął klawisz. – Przyszedł adwokat pańskiej żony, panie Przewodniczący. Mam tu pańską wiadomość, żeby go wpuścić bez względu na to, co pan robi. Mam go przysłać, czy też... – Przyślij go – odpowiedział Gram i zwrócił się do Cordona: – Damy ci znać, konkretnie chyba Dyrektor Barnes, na godzinę przed terminem twojej śmierci. Żegnaj, jestem zajęty. – Machnął ręką i ekran wielkości ściany zaszedł mgłą. Otworzyły się środkowe drzwi sypialni i wkroczył szczupły, wysoki, dobrze ubrany mężczyzna z krótką bródką, trzymający w ręku dyplomatkę. Był to Ho-race Denfeld, który zawsze nosił się w ten sposób. – Wiesz, co odczytałem przed chwilą w umyśle Erica Cordona? – spytał Gram. – Podświadomie żałuje, że przyłączył się do Podludzi, no proszę, przywódca tego wszystkiego, doprowadził do tego, że mają przywódcę. Będę ich likwidował, poczynając od Cordona. Pochwalasz mój rozkaz egzekucji Cordona? Usadowiwszy się, Denfeld rozsunął zamek aktówki. – Stosownie do instrukcji Irmy i za moją fachową poradą zmieniliśmy kilka klauzuli, drugorzędnych, 8 39 w oddzielnej umowie dotyczącej alimentów. Tutaj. – Podał Gramowi folio, dokumenty. – Nie musi pan się spieszyć, panie Przewodniczący. – Co będzie, kiedy

zabraknie Cordona? – spytał Gram, rozkładając arkusze papieru formatu używanego przez prawników, po czym jął pobieżnie czytać. Szczególnie zainteresował się akapitami podkreślonymi na czerwono. – Nawet nie próbowałbym zgadnąć, proszę pana – powiedział bezceremonialnie Denfeld. – Drugorzędne klauzule – drwił szyderczo Gram czytając. – Wielkie nieba, utrzymanie dziecka podniosła z dwustu popsów miesięcznie na czterysta! – Przewracał stronicę, czując jak mu koniuszki uszu płoną ze złości, a także z głuchej trwogi. – I alimenty z trzech tysięcy na pięć. Oraz... – Doszedł do ostatniego arkusza; był usiany czerwonymi linijkami dopisków i obliczeń. – Połowę mojego funduszu na podróże... to też zabiera. I wszystko, co dostaję na płatnych odczytach. Szyja zrobiła mu się lepka i brudna od ciepłego, gryzącego potu. – Ale pozwala panu zatrzymać wszelkie dochody z tekstów, jakie... – Nie ma żadnych tekstów. Za kogo ty mnie masz, za Erica Cordona? – Obcesowo rzucił papiery na łóżko. Siedział jakiś czas i pienił się ze złości... częściowo wskutek tego, co przed chwilą przeczytał, a częściowo przez adwokata, Horacego Denfelda, który był Nowym, choć uplasowanym nisko w ich hierarchii. Denfeld uważał wszystkich Niezwykłych, 40 łącznie z Przewodniczącym, za jedynie pseudopostęp. Gram mógł to wyczytać w myślach Denfelda: to małostkowe, niezmiennie poczucie wyższości i lekceważenia. – Będę się musiał nad tym zastanowić – powiedział do niego. Pokażę to swoim prawnikom, pomyślał. A najlepszymi prawnikami rządowymi są ci z Departamentu Podatkowego. – Chciałbym, aby pan rozważył jedną sprawę – powiedział Denfeld. – W pewnym sensie może się to panu wydać nieuczciwe ze strony pani Gram, że żąda tak... – szukał właściwego słowa -...tak wielkiego udziału w pańskim majątku. – Dom – potwierdził Gram. – I cztery kamienice w Scranton, stan Pensylwania. Przedtem tamto, a teraz to. – Ale – zaznaczył przymilnie Denfeld, język mu śmigał między wargami jak tańcząca na wietrze serpentyna – jest rzeczą niezbędną, by pańską separację z małżonką utrzymać za wszelką cenę w tajemnicy... w pańskim interesie. Z uwagi na to, że Przewodniczący Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego nie może sobie pozwolić na cień... no dobrze, powiedzmy la calugna... – Co to takiego? – Skandal. Jak pan doskonale wie, żaden z wysokich rangą Nowych i Niezwykłych nie może być zamieszany w skandal. Taka zaś historia przy pańskiej pozycji... – Złożę rezygnację – zgrzytnął Gram – nim to podpiszę. Pięć tysięcy popsów miesięcznie samych 8 41 alimentów. Wariatka. – Podniósł głowę i zmierzył Denfelda wzrokiem. – Co się dzieje z kobietą, gdy otrzymuje separację bądź rozwód? Ona... one... chcą zagarnąć wszystko, czy to zgodnie z umową, czy wręcz przeciwnie. Dom, mieszkania, samochód, całą forszę świata... – Boże, myślał i tarł ze znużeniem czoło. – Przynieś mi kawę – powiedział do jednego ze służących. – Tak jest. – Adiutant zakrzętnął się koło ekspresu i podał mu mocną czarną kawę. – Co ja mogę zrobić? Trzyma mnie w garści – zwrócił się do adiutanta i do pozostałych obecnych, szukając u nich wsparcia. Włożył folio z dokumentami do szuflady biurka przy łóżku. – Nie ma już nad czym deliberować – powiedział do Denfelda. – Moi prawnicy zawiadomią cię o naszej decyzji. – Popatrzył groźnie na niego, nie lubił tego faceta ani trochę. – Mam teraz inne sprawy. Skinął głową na adiutanta, który położył swą ciężką rękę na ramieniu adwokata i

odprowadził go w stronę najbliższych drzwi wyjściowych z sypialni. Kiedy zamknęły się drzwi za Denfeldem, Gram wyciągnął się na łóżku rozmyślając i popijając kawę. Gdyby tylko Irma złamała prawo, powiedział do siebie. Choćby przepisy ruchu – cokolwiek, by trafiła do rejestrów policyjnych. Gdyby udało nam się ją przyłapać na nieostrożnym przechodzeniu przez ulicę, to moglibyśmy ją przymknąć; podczas aresztowania mogłaby stawiać opór, użyć nieprzyzwoitego i wulgarnego języka w publicznym miejscu, stać się 42 powszechnym zagrożeniem przez fakt, że z premedytacją lekceważy prawo... a gdyby tak ludziom Barne-sa, myślał, udało się ją przyłapać na jakimś przestępstwie; powiedzmy na kupnie albo picciu alkoholu. Wtedy, jak wyjaśnili to jego adwokaci, można by jej zarzucić, że nie nadaje się na matkę, odebrać dzieci, zgnoić na prawdziwej sprawie rozwodowej, którą w tej sytuacji moglibyśmy uczynić publiczną. Ale rzecz przedstawiała się tak, że Irma miała zbyt dużo na niego. Zaiste sporny rozwód postawiłby go w złym świetle, biorąc pod uwagę to, co Irma mogłaby wyciągnąć z rynsztoka. Podniósł słuchawkę na linii numer jeden i powiedział: – Barnes, niech pan złapie tę agentkę, tę Alice Noyes, i przyśle ją tu do mnie. Możesz też wpaść razem z nią. Agentka Noyes kierowała zespołem, który przez prawie trzy miesiące usiłował znaleźć coś na Irmę. Dwadzieścia cztery godziny na dobę jego żona była śledzona przez policyjne aparaty podsłuchowe i wideo... bez jej wiedzy, oczywiście. Prawdę mówiąc, jedna z kamer podglądała to, co się działo w łazience Irmy, ale niestety nic szczególnego nie zaszło. Cokolwiek Irma powiedziała, zrobiła, kogokolwiek spotkała, gdziekolwiek poszła – wszystko było na rolkach taśmy w centrali SBP w Denver. I w sumie dawało zero. Ma własną policję, uświadomił sobie z uczuciem przygnębienia. Byłych tajniaków SBP, tych durniów, którzy włóczyli się za nią, gdy szła po zakupy, na 8 43 przyjęcie czy do doktora Radcliffa, swojego dentysty. Muszę się jej pozbyć, powiedział do siebie. Nie powinienem żenić się z kobietą należącą do Starych. Co prawda to się stało dawno temu, gdy nie miał tak wysokiej pozycji, jaką osiągnął później. Niezwykli i Nowi po kryjomu kpili z niego, on zaś tego nie lubił; czytał w myślach, w mnóstwie myśli emanujących od wielu, wielu ludzi i odczuwał ukrytą gdzieś wśród nich pogardę. Wyjątkowo silnie odbierał ją u Nowych. Kiedy tak leżał i czekał na Dyrektora Barnes'a oraz agentkę Noyes, ponownie zajrzał do Timesa, otworzywszy go na chybił trafił na jednej z jego trzystu stron. Miał przed sobą artykuł na temat projektu Wielkiego Ucha... reportaż, który nosił w nagłówku nazwisko Amosa Uda, bardzo dobrze usytuowanego Nowego: kogoś nieosiągalnego dla Grama. No cóż, eksperyment nad Wielkim Uchem właśnie toczy się wesoło, pomyślał ironicznie, przystępując do czytania. Choć uważano to za niesłychanie mało prawdopodobne, praca nad pierwszym czysto elektronicznym urządzeniem do nasłuchu telepatycznego przebiega w obiecującym tempie, stwierdzili dziś na konferencji prasowej w obecności wielu sceptycznych obserwatorów przedstawiciele korporacji McMally'ego, projektanta i budowniczego Wielkiego Ucha, jak je nazwano. Munro Capp jest zdania, że kiedy Wielkie Ucho zacznie działać, będzie mogło odbierać fale telepatyczne 44 dziesiątków tysięcy osób, a mając możliwość, nie spotykana u Niezwykłych, porządkowania tych ogromnych fal... Odrzucił gazetę na bok; spadła z

głuchym stuknięciem w głęboki puch wysłanej dywanem podłogi. Te sukinsyny, Nowi, powiedział do siebie z wściekłością, zgrzytając bezsilnie zębami. Wyrzucą na to miliardy popsów, a po Wielkim Uchu wezmą się za budowę urządzenia, które zastąpi jasnowidzących Niezwykłych, a później całą resztę po kolei. Upiorne maszyny będą się toczyć ulicami i brzęczeć w powietrzu. My pójdziemy w odstawkę. I... w miejsce silnego, stabilnego, dwupartyjnego rządu, jaki mieli teraz, powstanie system jednopartyjny, monolityczny potwór z Nowymi pełniącymi wszystkie kluczowe funkcje, na wszystkich szczeblach. Koniec ze Służbą Publiczną – poza testami na aktywność kory mózgowej Nowych, tę dwubiegunową neutrologię o takich założeniach jak: rzeczy równają się swoim przeciwieństwom oraz im większa sprzeczność, tym większa zgodność. Chryste! Być może, zastanawiał się, cała struktura myśli Nowego to gigantyczne oszustwo. My tego nie rozumiemy; Starzy, tego nie rozumieją; wierzymy im na słowo, że to wielki krok naprzód w procesie ewolucji ludzkiego mózgu. Przyznać jednak trzeba, że istnieją te Węzły Rogersa czy jak im tam. Widać fizyczną, odmienną strukturę ich kory mózgowej. Ale... Zaterkotał jeden z interkomów. 8 45

–Dyrektor Barnes i jakaś policjantka...

–Wpuść ich – powiedział.

Wyciągnął się, przyjął wygodną pozycję, założył ręce i czekał. Cekał, aby podzielić się z nimi swoim nowym pomysłem.

V

O ósmej trzydzieści rano Nicholas Appleton zjawił się w pracy i szykował do rozpoczęcia dniówki. Słońce świeciło na jego warsztat, na jego mały dom. Wewnątrz Nick Appleton podwinął rękawy, założył okulary powiększające i włączył do kontaktu grzałkę. Szef Nicholasa, Earl Zeta, podszedł do niego sztywnym krokiem, z rękami w kieszeniach i włoskim cygarem zwisającym mu z nadmiernie wydatnych ust. – Co nowego, Nicku? – Dowiemy się za parę dni – odparł. – Przyślą nam wyniki pocztą. – Ach tak, twój syn. – Zeta położył na ramieniu Nicka wielką ciemną dłoń. – Nacinasz rowki za płytke – stwierdził. – Mają sięgać aż do metalu. Do tego przekłętego karkasu. – Ale jeśli zejdem choć trochę głębiej... – zaprotestował Nick. Opona im strzeli, kiedy siądą na rozgrzanej parze, dodał w myślach. To tak, jakby się ich zestrzeliło ze strzelby laserowej. – W porządku – powiedział, zanikł w nim duch walki; ostatecznie Earl Zeta był tu szefem. – Natnę głębiej i nóż przejdzie na drugą stronę. – Zrobisz tak i jesteś zwolniony – odparł Zeta. NASI PRZYJACIELE Z FROLIKA 8 47

–Twoja filozofia ogranicza się do tego, że gdy już kupią szmermel... – Kiedy tylko ich trzy kółka trafią na chodnik – powiedział Zeta – to nasza odpowiedzialność się kończy. Ich sprawa, co się potem z nimi stanie. Nick nie chciał zajmować się pogłębianiem rowków w starych oponach... być człowiekiem, który bierze łysą oponę

i rozpalonym do czerwoności żelazem żłobi w niej coraz głębsze rowki, żeby wyglądała jak trzeba. Że niby jest na niej cały wymagany bieżnik. Odziedziczył ów fach po ojcu, który wyuczył się go od swego ojca. I tak rok po roku, z ojca na syna. Nienawidząc tego zajęcia, Nick wiedział jedno: był znakomitym specjalistą i zawsze nim będzie. Zeta nie miał racji; naciął już wystarczająco głęboko. Jestem artystą, myślał, ja powinienem decydować, jak głęboko ma sięgać rowek. Zeta leniwym ruchem włączył swoje szyjne radio. Z siedmiu czy ośmiu zestawów głośnikowych umieszczonych na pękatym ciełe grubego mężczyzny zabrzmiała tandetna i hałaśliwa muzyka, a w każdym razie coś, co za nią uchodziło. Raptem umilkła. Cisza, a potem głos spikera mówiącego beznamiętnym głosem profesjonalisty: – Rzecznicy Służby Bezpieczeństwa Publicznego, reprezentujący Dyrektora Lloyda Barnesa, oświadczyli przed chwilą, że więzień policji Eric Cordon, odbywający długoletni wyrok za czyny wrogie wobec społeczeństwa, został przeniesiony z więzienia Bright-forth do Long Beach w Kalifornii, gdzie znajdują się urządzenia egzekucyjne. Na pytanie, czy to oznacza, że Cordon zostanie stracony, rzecznicy SBP oświadczyli, iż żadnej decyzji jeszcze nie podjęto. Z dobrze poinformowanych źródeł spoza SBP wiadomo nam, że jest to zapowiedź egzekucji Cordona, zważywszy, że z ostatnich dziewięciuset więźniów SBP przeniesionych w różnym czasie do urzędzeń w Long Beach prawie ośmiuset zostało ostatecznie straconych. Był to biuletyn z... Earl Zeta szarpnął się ostro, usiłując trącić przełącznik radia na swoim ciełe, chybił jednak i zacisnąwszy konwulsyjnie pięść kołysał się z zamkniętymi oczyma. – Te sukinsyny – wycedził przez zęby. – Mordują Erica. Otworzył oczy; usta miał wykrzywione, na twarzy malowała mu się wściekłość i głęboki ból... po czym stopniowo odzyskał panowanie nad sobą, udręka zdawała się zmniejszać. Ale nie zniknęła do końca. Kiedy popatrzył na Nicka, jego beczkowate ciało pozostawało w napięciu. – Jesteś Podczłowiekiem – odezwał się Nick. – Znasz mnie dziesięć lat – wycedził Zeta przez zęby. Wyjął czerwoną chusteczkę i starannie otarł czoło. Ręce mu się trzęsły. – Słuchaj, Appleton – powiedział, kiedy zdołał nadać swemu głosowi bardziej naturalne brzmienie. Dawniejsze. A jednak nadal przenikało go wewnętrzne, niedostrzegalne drżenie. Nick wyczuwał je, wiedział o jego istnieniu, chociaż było ukryte i zepchnięte na dno z przerażenia. – Wezmą również i mnie. Skoro zabijają Cordona, to już pójdą na całego i załatwią nas wszyst-NASI PRZYJACIELE Z FROLDCA 49 kich, łącznie z taką płótką jak ja. I trafimy do tych obozów, do tych cholernych, wszawych, ohydnych obozów na Lunie. Wiedziałaś o nich? To właśnie tam się nas wysyła. Nas, moich ludzi. Nie was. – Wiem o obozach – powiedział Nick. – Sypniesz mnie? – Nie.

–I tak mnie złapią – powiedział z goryczą Zeta. – Od lat przygotowują listy. Długie na kilometr, nawet te na mikroraśmach. Mają komputery, mają szpicli. Każdy może być szpiclem. Każdy, kogo znasz albo z kim choć raz rozmawiałeś. Słuchaj, Appleton, śmierć Cordona oznacza, że nie walczymy już jedynie o równość polityczną. Ta śmierć oznacza, że obecnie walczymy o nasze własne, biologiczne istnienie. Rozumiesz, Appleton? Być może nie lubisz mnie za bardzo, Bóg mi świadkiem, że nie najlepiej nam się współpracowało, ale czy chciałbyś patrzeć, jak będą mnie zabijali? –

Co ja mogę zrobić? – spytał Nick. – Nie powstrzymam SBP. Zeta wstał, jego przysadziste ciało było zesztyniałe z rozpacz. – Mógłbyś umrzeć razem z nami – powiedział. – Dobrze – odparł Nick. – Dobrze? – Zeta przyglądał mu się uważnie, usiłując go zrozumieć. – O czym ty mówisz? – Zrobię, co będę mógł – powiedział Nick. Czuł się sparaliżowany treścią własnych słów. Już po wszystkim: szansa dla Bobby'ego bezpowrotnie stracona. Nasi przyjaciele. 50

conna i ród odnawiaczy opon będzie się ciągnąć w nieskończoność. Trzeba było poczekać, mówił do siebie. Po prostu tak mi się wyrwało. Nie spodziewałem się tego i tak naprawdę tego nie pojmuję. To na pewno przez niepowodzenie Bobby'ego. Tak czy inaczej, jestem tutaj i wypowiadam te słowa, mówię je do Earla. Stało się. – Przejdźmy do biura – powiedział szorstko Ze-ta. – Napijemy się piwa. – Masz alkohol? – Nickowi nie chciało się wierzyć, kara była tak strasznie wysoka. – Wypijemy za Erica Cordona – odparł Zeta i poszedł przodem.

VI

–Nigdy jeszcze nie piłem alkoholu – powiedział Nick, kiedy usiedli naprzeciw siebie przy stole. Zaczynał się czuć okropnie staro. – Ciągłe czyta się w gazetach, że przez alkohol ludzie wpadają w szał, cierpią na kompletną zmianę osobowości, doznają uszkodzenia mózgu. Prawdę mówiąc... – Panikarskie bujdy – odparł Zeta. – Choć co prawda z początku musisz zachować ostrożność. Pij powoli; niech się wchłania. – Ile grozi za picie alkoholu? – spytał Nick. Przekonał się, że ma kłopoty z wypowiedaniem słów. – Rok. Nieodwołalnie, bez możliwości warunkowego zwolnienia. – Czy jest tego warty? – Pokój dookoła niego wydawał się nierzeczywisty; utracił swoją materialność, swą konkretność. – I czy nie powoduje uzależnienia? W gazetach piszą, że jak już zaczniesz, to nigdy... – Proszę cię, pij piwo – powiedział Zeta; sącył swoje, przełykając je bez widocznych trudności. – Wiesz – mówił dalej Nick – co powiedziałyby Kleo na to, że piję alkohol? – Żony są takie. – Nie sądzę. Może Kleo, ale są i inne. 52

–Mylisz się, wszystkie są takie.

–Dlaczego?

–Ponieważ mężowie stanowią jedyne źródło ich utrzymania – odpowiedział Zeta. Czknął, wykrzywił usta i odchylił się do tyłu na swoim obrotowym fotelu, ściskając w wielkiej dłoni butelkę z piwem. – Dla nich... no cóż, podejźmy do tego w ten sposób. Przypuśćmy, że miałbyś jakąś maszynę, bardzo skomplikowaną i delikatną maszynę, która, kiedy działa właściwie, wypompowuje, wyrzuca z siebie całe płachty popsow. No, a teraz załóżmy, że ta maszyna... – Żony naprawdę w ten sposób traktują swoich mężów? – Jasne. – Zecie ponownie się odbiło, skinął głową i podał Nickowi butelkę piwa. – To jest dehumanizacja – powiedział Nick. – No jasne. Załóż się o swój siny tyłek, że tak. – Myślę, że Kleo martwi się o mnie dlatego, że tak bardzo młodo straciła ojca. Boi się, że wszyscy mężczyźni to... – Szukał słowa, ale nie mógł go znaleźć; w tym momencie jego procesy myślowe były już niepewne, zamglone i osobliwe. Nigdy przedtem nie doświadczał czegoś podobnego i przeraziło go to. – Opanuj się – powiedział Zeta. – Myślę, że Kleo jest nijaka. – Nijaka? Co to znaczy nijaka?

–Pusta – odpowiedział Nick gestykulując. – Może chciałem powiedzieć bierna. – Kobiety powinny być bierne. – Ale to się kłóci... – Zająknął się i poczuł, że 8

się rumieni ze wstydu. – To jest wbrew ich dojrzewaniu.

Zeta pochylił się nad nim.

–Mówisz to wszystko, bo się boisz jej dezaprobaty. Powiadasz, że jest bierna, a jednak teraz właśnie tego chcesz. Chcesz, by się godziła na wszystko, czyli pochwałała to, co robisz. Ale po co jej w ogóle mówić? Dlaczego musi wiedzieć? – Zawsze wszystko jej mówię – odparł Nick. – Czemu? – spytał głośno Zeta. – Bo tak należy postępować.

–Kiedy wysuszymy piwo – powiedział Zeta – zabiorę cię gdzieś. Nie powiem dokąd... w pewne miejsce. Gdzie, jeśli nam się poszczęści, możemy zdobyć trochę bibuły. – Masz na myśli bibułę Podludzi? – spytał Nick i poczuł chłód ścinający mu krew w sercu; czuł, że kieruje się na niebezpieczne wody. – Mam już jedną broszurę, którą kumpel podający się za... – Urwał, nie mogąc zbudować zdania. – Nie będę ryzykować. – Już to uczyniłeś. – Lecz na tym koniec – odparł Nick. – Dość już. Siedzenia tutaj i picia piwa i rozmawiania o tym, o czym rozmawiamy. – Jest tylko jeden człowiek, który ma coś ważnego do powiedzenia – powiedział Zeta. – Tym człowiekiem jest Eric Cordon. Ważnego i prawdziwego; nie to, co piszą w fałszywkach, które puszcza się w obieg na mieście, ale to, co mówi on sam, całą prawdę. Niczego ci nie zdradzę. Chcę, by ci sam powiedział. W jednej ze swoich broszur. Wiem, gdzie 54 możemy ją zdobyć. – Podniósł się z krzesła. – Nie mówię o słowach Erica Cordona. Mówię o słowach prawdy Erica Cordona, o jego przestrogach, przypowieściach, planach, znanych wyłącznie tym, co żyją faktycznie w świecie wolnego człowieka. Do Podludzi w najprawdziwszym sensie: realnym. – Nie chcę robić niczego bez zgody Kleo – powiedział Nick. – Mąż i żona muszą być uczciwi wobec siebie. Gdybym poszedł na to... – Jeśli odmówi, poszukaj sobie innej żony, takiej, która się zgodzi. – Mówisz serio? – zdziwił się Nick; był już tak zamroczony, że nie miał pojęcia, czy Zeta mówi poważnie. A jeśli nie żartował, to czy miał rację. – Chodzi ci o to, że to by nas rozdzieliło? – To już rozdzieliło wiele małżeństw. Właściwie czy ty jesteś z nią szczęśliwy? Powiedziałeś: ona jest nijaka. To twoje własne słowa. Ty je wypowiedziałeś, nie ja. – To przez alkohol – odparł Nick. – Oczywiście, że przez alkohol. In vino veritas – powiedział Zeta i uśmiechnął się szeroko, ukazując poźółkłe zęby. – Po łacinie to znaczy... – Wiem, co to znaczy – odparł Nick. Odczuwał złość, ale nie wiedział jeszcze do kogo. Czy do Zety? Nie, pomyślał, do Kleo. Wiem, jak by na to zareagowała. Nie powinniśmy szukać kłopotów. Skończymy w kopule więziennej na Lunie, w jednym z tych strasznych obozów pracy. – Co się liczy najbardziej? – spytał Zetę. – Ty też jesteś żonaty, masz żonę i dwoje dzieci. Czy twoja 8 55 odpowiedział... – Znowu język odmówił mu posłuszeństwa. – Wobec kogo jesteś przed wszystkim lojalny? W stosunku do rodziny? Czy działalności politycznej? – W stosunku do ludzi, mówiąc ogólnie –

odparł. Uniósł głowę, przytrzymał butelkę przy ustach i dopiwszy piwo, rzucił ją z hukiem na stół. – Ruszajmy – powiedział do Nicka. – Jak stoi w Biblii: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.” – Wyzwoli? – zdziwił się Nick również wstając, nie bez trudności. – To ostatnia rzecz, którą zrobi dla nas bibuła Cordona. Jakiś tajniak sprawdzi nasze nazwiska, wywęszy, że kupujemy literaturę Cordo-nowską, a potem... – Wszędzie dookoła widzisz szpicli? – spytał kpiąco Zeta. – Jak można żyć w ten sposób? Ja spotykam setki ludzi kupujących i sprzedających bibułę, nieraz wartą w sumie tysiąc popsów i... – zamilkł na chwilę -...i czasami faktycznie wkręcą się szpicle. Albo przyuważy cię patrol, gdy podajesz sprzedawcy kilka popsów. A wówczas, tak jak mówisz, trafia się do więzienia na Lunie. Musisz jednak podjąć ryzyko. Samo życie jest ryzykiem. Pytasz siebie: Czy warto? I odpowiadasz: Tak, warto. Do ciężkiej cholery, tak, warto. Włożył marynarkę, otworzył drzwi biura i wyszedł w blask słońca. Po dłuższej przerwie, widząc, że Zeta nie ogląda się za siebie, Nick powoli ruszył za nim. Dogonił go przy zaparkowanym szmermelu Zety. – Sądzę, że powinieneś zacząć szukać nowej żony 56 – powiedział Zeta; otworzył drzwiczki pojazdu i wcisnął się za drążek sterowniczy. Nick również wsiadł i zatrzasnął drzwiczki po swojej stronie. Kiedy pojazd wzbił się pod poranne niebo, Zeta uśmiechnął się szeroko. – To naprawdę nie twój interes – mruknął Nick. Zeta nie odpowiedział; koncentrował się na prowadzeniu szmermela. Wreszcie odwrócił głowę w stronę Nicka. – Teraz mogę prowadzić trochę gorzej, bo jesteśmy czysti. Ale w drodze powrotnej będziemy mieli bibułę, więc nie każmy agentowi SBP zatrzymać nas za przekroczenie szybkości czy nieprawidłowy zwrot. Dobra? – Tak – powiedział Nick. Czuł, że coraz bardziej ogarnia go paraliżujący strach. Uczucie to było nieuniknione, ze ścieżki, po której szli, nie mógł się już wycofać. Dlaczego nie mogę? zadawał sobie pytanie. Wiem, że muszę dobrnąć do końca, ale dlaczego? By pokazać, że się nie boję, iż jakiś szpicel nas zwinie? By pokazać, że nie jestem zdominowany przez żonę? Dla samych głupich przyczyn, myślał... a głównie dlatego, że piłem alkohol, najniebezpieczniejszą substancję poza kwasem pruskim, jaką może wchłonąć człowiek. No trudno, powiedział do siebie, niech i tak będzie. – Ładny dzień – powiedział Zeta. – Niebo błękitne, żadnych chmur do czajenia się za nimi. Szybował wysoko, dobrze się bawiąc. Odrętwiały Nick bezradnie skulił się w głębi fotela, kiedy szmer-mel gnał przed siebie. T 8 57

W budce telefonicznej Zeta przeprowadził rozmowę, która składała się z kilku na wpół artykułowanych słów. – Trzyma? – spytał. – Jest tam? Dobra. Tak, zgodna. Dzięki, Cześć. – Odwiesił słuchawkę. – Tego właśnie nie lubię – powiedział. – Kiedy trzeba zadzwonić. Możesz liczyć tylko na to, że codziennie toczą się miliony rozmów i oni nie mogą podsłuchać wszystkich. – A prawo Murphy'ego – spytał Nick, starając się żartami przykryć strach. – Jeśli coś się może zdarzyć... Wsiadłszy z powrotem do szmermela, Zeta odparł: – Na razie się nie zdarzyło. – Ale prędzej czy później.

–Prędzej czy później – stwierdził Zeta – śmierć zabierze nas wszystkich. – Zapуścił silnik i ponownie wystartowali. Wkrótce byli nad rozległą willową dzielnicą miasta.

Zeta patrzył na dół krzywiąc się. – Te wszystkie pieprzone domy wyglądają jednakowo – wymamrotał. – Diabelnie ciężko zorientować się z powietrza. Ale to dobrze; on tkwi w samym środku dziesięciu milionów lojalnych wyznawców Willisa Grama, Niezwykłych, Nowych i całej reszty tego śmiecia. – Nagle szmermel przeszedł w lot nurkowy. – No i jesteśmy – oznajmił Zeta. – Wiesz, to piwo na mnie podziałało, naprawdę podziałało. – Wyszczrzył zęby do Nicka i parsknął śmiechem. – A ty wyglądasz jak wypchana sowa; jakbyś mógł przekręcić głowę o 180 stopni. Usiedli na lądowisku dachowym. 58

Zeta wygramolił się pomrukując, Nick również wysiadł i poszli w kierunku windy. Zeta rzekł do niego półgłosem: – Gdyby nas zatrzymały gliny i spytały, co tutaj robimy, to mówimy, że odnosimy facetowi kluczyki do szmermela, których zapomnieliśmy mu oddać po naprawie. – To nie ma sensu – odpowiedział Nick. – Dlaczego nie ma sensu? – Dlatego, że skoro mamy jego kluczyki, to nie mogłyby przylecieć do domu. – Zgoda, powiemy, że to drugi komplet kluczyków, który kazał nam zamówić dla siebie, a właściwie dla swojej żony. Na pięćdziesiątym piętrze Zeta wysiadł z windy; poszli w głąb pokrytego dywanem korytarza, nie napotykając nikogo. Nagle Zeta przystanął, szybko rozejrzał się dookoła i zastukał do drzwi. Drzwi się otworzyły. Mieli przed sobą dziewczynę, drobną czarnowłosą dziewczynę, ładną w dziwny, zuchwały sposób. Miała nos jak mops, zmysłowe usta, sztywnie ukształtowane kości policzkowe. Bił od niej blask kobiecego czaru; Nick dostrzegł to natychmiast. Jej uśmiech, pomyślał, rozpromienia, rozświetla całą jej twarz, budząc ją do życia. Zeta wydawał się niezadowolony z widoku dziewczyny. – Gdzie Denny? – spytał cicho, choć stanowczo. – Wchodźcie, proszę. – Dziewczyna otworzyła szerzej drzwi. – Jest w drodze. Zeta wszedł do mieszkania, rozglądając się niespo-

8 59

kojnie i dając znak Nickowi, by uczynił to samo. Nie przedstawił ich sobie; pomaszerował za to przez salon do klitki sypialnej, a później do wnęki kuchennej w salonie, niczym szukający zdobyczy drapieżnik. – Jesteście tutaj czyści? – spytał raptem. – Tak – odparła dziewczyna. Spojrzała do góry w twarz Nicka, wyższego o ponad ćwierć metra. – Ja pana nigdy przedtem nie widziałam. – Nie jesteście czyści – powiedział Zeta. Stał przy otworze zsypowym, sięgając w głąb rury; wyciągnął nagle jakąś paczkę, która była tam przymocowana taśmą klejącą. – Wyście powariowali, dzieciaki! – Nie miałam pojęcia, że tam coś jest – odpowiedziała dziewczyna ostrym, twardym głosem. – Ale to przecież było tak ukryte, że gdyby nawet jakiś gliniarz wyłamał drzwi, zdążylibyśmy jednym ruchem spuścić to w głąb rury i nie byłoby śladu. – Zatykają rurę – powiedział Zeta. – Łapią to w okolicach pierwszego piętra, nim dotknie pieców. – Mam na imię Charley – przedstawiła się Nickowi. – Dziewczyna o imieniu Charley? – zdziwił się. – Charlotte. – Wyciągnęła rękę; uścisnęli sobie dłonie. – Wie pan, chyba się domyślam, kim pan jest. Oponiarzem u Earla. – Tak – odpowiedział. – I chciałby pan autentyczną książeczkę? Sam pan za nią płaci czy Zeta? Bo Denny nie zamierza już dawać nic na kredyt, będzie żądał popsów. 60 – Ja zapłacę – odpowiedział Zeta. – Przynajmniej tym razem. – Oni tak zawsze robią –

powiedziała Charley. – Pierwsza broszura jest za darmo; następna kosztuje pięć popsów; kolejna dziesięć; czwar... Drzwi do mieszkania otworzyły się. Wszyscy znieruchomieli, wstrzymali oddechy. W progu stał przystojny chłopak, tęgi, dobrze ubrany, o splątanych blond włosach i wielkich oczach, z twarzą ściągniętą napięciem, co mimo urody nadawało jej brzydki, okrutny wyraz. Popatrzył krótko na Zetę, a potem przez kilka chwil w milczeniu przyglądał się Nickowi. Wreszcie zamknął za sobą drzwi. Zablokował zamek typu ferok, przeszedł przez pokój do okna, wyjrzał na zewnątrz, a potem stał i ssał kciuk, emanując wokół siebie złowrogie wibracje, jakby zaraz miało stać się coś strasznego, coś, co wszystko zniszczy... jakby osobiście zamierzał to zrobić, myślał Nick. Rzuci się na nas. Chłopak emanował siłą, ale była to siła chora; zbyt dojrzała, tak samo jak jego powiększone ciemne oczy i splątane włosy. Dionizos z rynsztoków miasta, powiedział do siebie Nick. A więc to jest dostawca. Oto człowiek, od którego otrzymamy autentyczną bibułę. – Widziałem na dachu twój szmermel – powiedział chłopak do Zety, jakby zawiadamiając o odkryciu jakiegoś złego uczynku. – Kto to? – spytał kiwnąwszy głową w stronę Nicka. – Ktoś... kogo znam... kto chce kupić – odparł Zeta. – Ach, czyżby? 8

Chłopak, Denny, podszedł do Nicka i przyjrzał mu się z bliska. Jakby badał jego ubranie, jego twarz. Ocenia mnie, wywnioskował Nick. Jakby w grę wchodził jakiś tajemniczy pojedynek, którego natura była dla Nicka całkowicie nie znana. Naraz ogromne, wylupiate oczy Denny'ego poruszyły się gwałtownie; wpatrywał się w małą kanapę, w leżącą na niej paczkę z bibułą. – Znalazłem to w zsybie – odezwał się Zeta. – Ty głupia kurwo – powiedział Denny do dziewczyny. – Mówiłem ci, że ma tu być czysto. Zrozumiano? – Spojrzał na nią z góry. Uniósł wzrok, wargi miała nerwowo rozchylone, oczy znieruchomiałe ze strachu. Raptem Denny odwrócił się, chwycił broszurę i zerwawszy z niej opakowanie przyjrzał jej się dokładnie. – Masz ją od Freda – powiedział. – Ile za nią dałaś? Dziesięć popsów? Dwanaście? – Dwanaście – odparła Charley. – Dostałeś paranoi. Nie zachowuj się tak, jakbyś uważał, że wśród nas jest szpicel. Zawsze każdego uważasz za szpicla, jeśli go osobiście nie... – Jak się pan nazywa? – spytał Nicka Denny. – Niech mu pan nie mówi – rzuciła Charley. Denny obrócił się do niej i podniósł rękę, zamierzył się; popatrzyła mu w oczy spokojnie, twarz miała obojętną, surową. – Nie krępuj się – powiedziała. – Uderz mnie, a kopnę cię w takie miejsce, że będziesz wył do śmierci. – To mój pracownik – odezwał się Zeta. 62

–Czyżby – odparł szyderczo Denny. – I znasz go od urodzenia. Czemu nie powiesz od razu, że jesteście braćmi? – Powiedziałem prawdę. – Czym się pan zajmuje? – zwrócił się Denny do Nicka. – Pogłębiam rowki w oponach. Denny uśmiechnął się; jego całe zachowanie uległo zmianie, jakby problem się wyjaśnił. – Ach tak? – spytał i parsknął śmiechem. – Cóż za praca. Cóż za powołanie. W spadku po tatusiu? – Tak – odparł Nick i poczuł ukłucie nienawiści. Wszystko, co mógł uczynić, to nie okazać jej, a on nie chciał jej okazywać. Bał się Denny'ego, chyba dlatego, że wszyscy obecni się go bali i jemu też udzielił się ten strach. Denny wyciągnął do Nicka rękę. – W porządku, oponiarzu, kupujesz pan książeczkę za piąta czy dziesiąta? Mam i taką, i taką. – Sięgnął w zanadrze swojej skórzanej kurtki i wyjął plik papierów. – To dobra bibuła – powiedział. – Same autentyki; znam gościa, który je drukuje. Widziałem u niego w pracowni oryginalne rękopisy Cordona. – Skoro płacę – powiedział Zeta – to niech będzie za piąta. – Proponuję Moralność porządnego człowieka – odezwała się Charley. – Ty proponujesz? – powiedział z ironią Denny i popatrzył groźnie na dziewczynę. Zamieniła z nim spojrzenie i tak jak uprzednio nie 8 63

mrugnęła okiem, zauważył Nick. Jest równie twarda jak on. Potrafi stawić mu czoło. Ale po co? Czy to warto, zastanawiał się, być blisko z tak gwałtownym człowiekiem? Tak, pomyślał; czuję tę gwałtowność i zmienność nastrojów. On jest zdolny do wszystkiego, w każdej chwili. Ma osobowość zatrutą amfetaminą, na pewno bierze silne dawki którejs z amfetamin, doustnie albo w zastrzykach. A może on musi być taki, by wykonywać swój zawód. – Wezmę ją – powiedział Nick. – Tę, którą ona

proponuje. – Podpuściła pana – oznajmił Denny. – Tak jak podpuszcza wszystkich, przynajmniej wszystkich facetów. To idiotka. Mała głupia kurwa. – Ty pedale – odparła Charley. – I to mówi lesba – powiedział Denny. Zeta wyjął banknot pięciopopsowy i podał Den-ny'emu; najwyraźniej chciał już zakończyć transakcję i wyjść. – Denerwuję pana? – szorstko zapytał Nicka Denny. – Nie. – Nick zaprzeczył ostrożnie. – Niektórych denerwuję.

–No pewnie, że denerwujesz – powiedziała Charley.

Wyciągnęła rękę, wzięła od Denny'ego paczkę z traktatami, odszukała właściwy i podała Nickowi, uśmiechając się tym swoim promiennym uśmiechem. Szesnaście lat, pomyślał, nie więcej. Dzieciaki igrające z życiem i śmiercią, walczące ze sobą i nienawidzące się nawzajem, ale... trzymające się chyba razem 64 w razie kłopotów. Doszedł do wniosku, że konflikt między Denny'm a dziewczyną maskował ich głębszą wzajemną zażyłość. W swoisty sposób funkcjonowali w tandemie. W symbiozie może przykrej do oglądania, niemniej autentycznej. Dionizos z rynsztoka, myślał, i mała, ładna, twarda dziewczyna, która potrafi – bądź stara się – radzić sobie z nim. Prawdopodobnie go nienawidzi, ale nie potrafi odejść. Być może dlatego, że ją pociąga fizycznie i w jej oczach jest prawdziwym mężczyzną. Ponieważ jest twardszy niż ona, a to budzi w niej respekt. Ponieważ sama jest twarda i wie, co to znaczy. Tylko przy takiej osobie się mięknie. Denny zmiękł jak kleisty owoc w zbyt ciepłym klimacie; twarz miał miękka i roztopioną i tylko blask oczu nadawał rysom twarzy jakąś spoistość. Sądziłem, myślał dalej Nick, że ludzie, którzy zajmują się kolportażem i sprzedawaniem pism Cordo-na, są szlachetnymi idealistami. Ale najwyraźniej nie są. Praca Denny'ego jest nielegalna; przyciąga tych, którzy z natury zajmują się zakazanymi interesami, oni zaś stanowią swoistą kategorię. Rzeczy, którymi handlują, same w sobie nie mają znaczenia, liczy się tylko fakt, że są nielegalne i ludzie zapłacą za nie wysoką, bardzo wysoką cenę. – Masz pewność, że lokal jest już czysty? – spytał Denny dziewczynę. – Przecież wiesz, że mieszkam tutaj. Przebywam tu dziesięć godzin dziennie. Gdyby coś znaleźli... Kręcił się po mieszkaniu nieufny jak zwierzę, podejrzliwe i przesycone nienawiścią. Nagle podniósł 8 65 z podłogi lampę. Obejrzał ją, a potem wyjął z kieszeni monetę; odkręcił trzy śrubki i denko lampy pozostało mu w ręku. Z wydrążonego trzonka wystawały trzy zwinięte książeczki. Denny odwrócił się w stronę stojącej nieruchomo Charley. Twarz miała spokojną – przynajmniej pozornie. Nick spostrzegł, że mocno zaciskała usta, jakby się do czegoś przygotowywała. Denny podniósł prawą rękę i uderzył dziewczynę, celował pod oko, lecz chybił. Dziewczyna schyliła się, zrobiła to jednak zbyt późno i cios trafił ją w miejsce nad uchem. Wtedy ze zdumiewającą szybkością chwyciła wyciągniętą rękę Denny'ego i ugryzła chłopaka, wpijając mu się zębami głęboko w ciało. – Pomóżcie mi! – zawył Denny do Nicka i Zety. Nie wiedząc co robić Nick podszedł do dziewczyny. Słyszał swoje własne mamrotanie, kiedy kazał jej go puścić, tłumacząc, że może mu przegryźć nerw i będzie miał sparaliżowaną rękę. Natomiast Zeta złapał dziewczynę za podbródek, wsadził swoje wielkie, czarne od

brudu palce między jej szczęki i rozwarł je. Denny błyskawicznie wyciągnął rękę i przyjrzał się ranie; wydawało się, że jest oszołomiony, ale natychmiast potem jego twarz wykrzywiła się z wściekłości. A teraz była to wściekłość mordercza; oczy wyszły mu na wierzch, jakby za chwilę miały dosłownie wystrzelić z głowy. Schylił się, wziął do ręki lampę podłogową i uniósł nad głowę. Zeta chwycił go dysząc; przytrzymał chłopaka w potężnym uścisku i wysapał do Nicka: – Zabierz ją stąd. Wyprowadź gdzieś, gdzie jej 5 – Nasi przyjaciele. 66

nie znajdzie. Nie rozumiesz? To alkoholik. Oni są zdolni do wszystkiego. Idź już! Nick w jakimś transie złapał dziewczynę za rękę i szybko wyprowadził z mieszkania. – Możecie wziąć mój szmermel – krzyknął za nimi Zeta dysząc ciężko. – Dobrze – odparł Nick ciągnąc za sobą dziewczynę. Szła chętnie, drobna i lekka. Dotarł do windy i nacisnął guzik. – Lepiej biegnijmy szybko na dach – powiedziała Charley. Wydawała się rozluźniona; w gruncie rzeczy śmiała się do niego tym swoim promiennym uśmiechem, który tak rozkosznie zdobił jej twarz. – Boisz się go? – spytał, kiedy weszli na ruchome schody i zaczęli biec pod górę, skacząc po dwa stopnie naraz. Wciąż trzymał ją za rękę i wciąż potrafiła dotrzymać mu kroku. Zwinna niczym duszek, łączyła zwierzęcą zdolność chyżego poruszania się z niemal nadprzyrodzoną umiejętnością szybowania. Jak sarenka, pomyślał. Daleko pod nimi pojawił się na schodach Denny. – Wracajcie! – ryknął drżącym z podniecenia głosem. – Muszę iść do szpitala z tą pogryzioną ręką. Zabierzcie mnie do szpitala. – On zawsze tak mówi – powiedziała spokojnie Charley, nie poruszona żalnym skamlaniem chłopaka. – Niech pan nie zwraca na niego uwagi i oby tylko nie biegł szybciej niż my. 8 67 – Często tak robi? – zapytał Nick, z trudem łapiąc powietrze, kiedy wyszli na lądowisko i rzucili się biegiem w stronę zaparkowanego szmermela Zety. – Denny wie, jak zareaguję – odparła Charley. – Widział pan, co zrobiłam, ugryzłam go, a on nie znosi, jak ktoś go gryzie. Czy ugryzł kiedy pana dorosły człowiek? Myślał pan kiedy o tym, co się wtedy czuje? Umiem też zrobić coś innego, stoję pod ścianą z rękami w bok, tak że jestem o coś mocno oparta, i nagle daję kopniaka, dwiema nogami. Muszę panu kiedyś to pokazać. Niech pan pamięta: nie wolno mnie dotknąć, skoro tego nie chcę. Żadnemu mężczyźnie to się nie uda. Nick wepchnął ją do szmermela, pobiegł dookoła na stronę pilota i wślizgnął się za drążek. Kiedy zapuścił silnik, u wylotu ruchomych schodów pojawił się Denny; charczał. Ujrzawszy go Charley roześmiała się radośnie, jak mała dziewczynka; położyła dłonie na ustach i kołysała się z boku na bok, oczy jej błyszczały. – O Boże – powiedziała. – Ale się wścieka. I nic nie może zrobić. Lecimy. Nick przycisnął klawisz mocy i wystartował. Mimo, że szmermel był stary i poobijany, miał dobrze podrasowany silnik, który Zeta sam zbudował modyfikując wszystkie ruchome części. A więc swoim statkiem Denny nie mógł ich złapać. Chyba że, oczywiście, podrasował własny szmermel. – Co wiesz o jego szmermelu? – spytał dziewczynę. Przygładzała sobie włosy, doprowadzając się do porządku. – Czy on go... 68 – Denny nie umie niczego, co wymaga zdolności manualnych. Nie lubi brudzić sobie rąk smarem. Ma za to shellingberga 8 z silnikiem B-3. Więc może lecieć bardzo szybko. Czasem, gdy nie

ma takiego ruchu, na przykład późną nocą, zwiększa mu obroty do oporu i wyciąga do osiemdziesięciu. – Nie ma sprawy – powiedział Nick. – Ten stary gruchot wyciąga sto, a nawet sto dziesięć. Jeśli wierzyć słowom Zety. – Szmermel leciał już bardzo szybko, klucząc i manewrując w przedpołudniowym tłoku. – Zgubię go – dodał. Zobaczył za sobą shellingberga barwy jaskrawopurpurowej. – Czy to on? – zapytał. Odwróciwszy się do tyłu, żeby spojrzeć, Charley odparła: – Tak, on. Denny ma jedyne purpurowego shellingberga 8 w Stanach Zjednoczonych. – Włączę się do ruchu na zatłoczonej arterii miejskiej – powiedział Nick i zaczął się opuszczać na poziom zajmowany przez szmermele krótkodystansowe. Kiedy usiadł na ogonie statku lecącego przed nim, prawie natychmiast wskoczyły na niego dwa inne, niegroźne stateczki. – A tutaj zakręcę – powiedział, widząc z prawej strony balon z napisem Al. HAS-TINGS. Skręcił i, jak na to liczył, znalazł się wśród strumieni wolnych pojazdów szukających miejsca do parkowania... w większości prowadzonych przez kobiety lecące po zakupy. Ani śladu purpurowego shellingberga 8. Nick rozglądał się na wszystkie strony, starając się go wypatrzyć. – Zgubił go pan – powiedziała rzeczowo Char- 8 69

ley. – Denny polega na szybkości, wie pan, na niekontrolowanej szybkości wysoko nad ruchem miejskim, ale tutaj, na dole... – Roześmiała się, oczy jej lśniły, jak mu się wydawało, z zadowolenia. – Jest zbyt niecierpliwy – ciągnęła – nigdy nie schodzi tak nisko. – Wobec tego, jak myślisz, co zrobi? – spytał Nick. – Skapituluje. Za parę dni i tak szal mu przejdzie. Ale przez czterdzieści osiem godzin będzie zdolny do zbrodni. Głupio zrobiłam, że schowałam te książeczki w lampie; on ma rację. Ale i tak nie lubię, żeby ktoś mnie bił – powiedziała. W zadumie rozcierała głowę nad uchem, gdzie ją uderzył. – Ma mocny cios. Ale nie znosi, gdy mu się odda; w gruncie rzeczy nie potrafię walnąć go tak, żeby upadł, jestem za słaba, ale widział pan, jak gryzę. – Owszem. Najwspanialsze ugryzienie stulecia – przyznał. Nie chciał dyskutować na ten temat. – To bardzo ładnie z pańskiej strony – mówiła dalej Charley – że jako zupełnie obcy człowiek tak mi pan pomaga, nawet mnie nie znając. Pan nawet nie wie, jak się nazywam. – Poprzestanę na imieniu Charley – odpowiedział. Pasowało do niej. – Nie usłyszałam pańskiego nazwiska. – Nick Appleton. Zaniósł się tym swoim radosnym śmiechem spomiędzy palców dłoni. – Takie nazwisko mógłby nosić bohater jakiejś książki; Nick Appleton, prywatny detektyw, na 70 przykład. Czy któregoś z tych seriali telewizyjnych.

– To nazwisko, które świadczy o kompetencji – powiedział Nick. – Pan jest kompetentny – przyznała. – To znaczy, wyciągnął pan nas... mnie... stamtąd. Dziękuję. – Gdzie zamierzasz spędzić najbliższe czterdzieści osiem godzin? – spytał Nick. – Zanim ochłonie? – Mam drugie mieszkanie, z którego również korzystamy. Przerzucamy towar z jednego do drugiego na wypadek, gdyby dopadł nas jakiś zet-i-zet z SBP. Złap i zrewiduj, wie pan. Ale nas nie podejrzewają. Rodzina Denny'ego ma dużo pieniędzy i wpływów. Kiedyś przyczepił się do nas jeden tajniak i wysoki funkcjonariusz SBP, przyjaciel taty Denny'ego, kazał dać nam spokój. To jedyny raz,

kiedy mieliśmy kłopoty. – Wydaje mi się, że nie powinnaś iść do tego mieszkania. – Dlaczego? Tam są wszystkie moje rzeczy. Muszę do niego iść. – Idź gdzieś, gdzie cię nie znajdzie. Mógłby cię zabić. Czytał artykuły o zmianach osobowości, jakim ulegają nieraz nałogowi alkoholicy. Ile dzikiego okrucieństwa często ujawnia się w człowieku, prawdziwie psychopatyczna osobowość połączona z szybko rozwijającym się obłędem i manią prześladowczą. No cóż, właśnie zobaczył taki przypadek, widział nałogowego alkoholika. I nie spodobał mu się. Nic dziwnego, że władze zakazują – naprawdę zakazują: alkoholik, jeśli go przyłapano, zwykle trafiał na resz- 8 71 tę życia do psychoedukacyjnego obozu pracy. Chyba że miał pieniądze na znakomitego adwokata, który z kolei mógł opłacić kosztowne testy swego klienta wykazując, że n#łóg już minął. Ale oczywiście nigdy nie mijał. Pijak na zawsze pozostawał taki, jaki był, nawet po zoperowaniu metodą Platta podwzgórza, obszaru mózgu kontrolującego potrzeby podniebienia. – Jeśli on mnie zabije – powiedziała Charley – to i ja go zabiję. W zasadzie jest większym tchórzem ode mnie. Dręczy go mnóstwo lęków; większość tego, co robi, bierze się z lęku, panicznego lęku, powinnam powiedzieć. Żyje w stanie ciągłej, histerycznej paniki. – A gdyby nie pił? – Ciągłe się boi i właśnie dlatego pije... ale póki nie wypije, nie zachowuje się gwałtownie. Po prostu chce gdzieś uciec i schować się. Ale nie może tego zrobić... bo podejrzewa, że ludzie go obserwują i wiedzą, że sprzedaje bibułę, a więc pije; to się dzieje właśnie wtedy. – Lecz pić – zauważył Nick – zwraca na siebie uwagę, a przecież tego właśnie chce uniknąć. Tak? – Być może nie. Być może chce, żeby go złapali. Przed zajęciem się bibułą, książeczkami i mikrotaś-mami nie przepracował w życiu ani sekundy, zawsze utrzymywała go rodzina. A teraz wykorzystuje łat... jak to się mówi? – Łatwowierność – powiedział Nick. – To znaczy, kiedy chce się wierzyć? 72

–Tak. – To było dość dokładne.

–A więc wykorzystuje ich łatwowierność, bo ludzie, mnóstwo ludzi, wierzą przesądnie w Provonie-go, wie pan? W jego powrót! W te wszystkie bzdury, jakie się czyta w pismach Cordona! – Chcesz przez to powiedzieć, że wy, ludzie, którzy handlujecie pismami Cordona, wy, którzy je sprzedajecie... – spytał z niedowierzaniem Nick. – Nie musimy w to wierzyć. Czy człowiek, który sprzedaje komuś butelkę alkoholu, musi być nałogowym alkoholikiem? Logika tego wywodu, choć poprawna, zatrwożyła go. – To dla pieniędzy – powiedział. – Ty chyba nie czytasz tych broszur, znasz je tylko z nazwy. Jak sprzedawczyni z domu towarowego. – Kilka przeczytałam. – Obróciła się twarzą do niego, ciągle rozcierając skroń. – Boże, jak mnie boli głowa. Ma pan w domu trochę darwonu albo kodeiny?

VII

– Nie – odparł pełen nagłego, czujnego niepokoju. Chce zostać ze mną przez parę najbliższych dni, pomyślał. – Słuchaj – powiedział. – Zabiorę cię do motelu, pierwszego z brzegu; nigdy cię nie znajdzie, zapłacę za dwa dni z góry. – Niech to diabli – odparła Charley. – Mają ten zbiorczy aparat lokalizacyjny i ośrodek kontrolny, które rejestrują nazwisko każdego zameldowanego gościa we wszystkich motelach i hotelach Północnej Ameryki. Płacąc dwa popsy może skorzystać z nich za pośrednictwem telefonu. – Podamy fałszywe nazwisko – powiedział Nick. – Nie. – Potrząsnęła głową. – Dlaczego? – Jego niepokój nagle wzrósł; odniósł wrażenie, że dziewczyna klei się do niego jak do lepu na muchy, nie potrafił się od niej odczepić. – Nie chcę zostać sama – powiedziała Charley – bo jeśli faktycznie znajdzie mnie w jakimś pokoju hotelowym, to mnie strasznie zbije; nie tak, jak pan widział, ale naprawdę. Muszę być z kimś; muszę mieć kogoś, kto... – Ja cię nie obronię – powiedział szczerze Nick. Nawet Zeta, mimo całej swojej siły, nie mógłby powstrzymać Denny'ego dłużej niż przez kilka minut. 74 – On by się nie bił z panem. Po prostu nie chce, żeby inny człowiek, ktoś trzeci, widział, jak ze mną postępuje. Ale... – zawahała się... – nie powinnam pana w to wciągać. To nieuczciwe. Przypuśćmy, że u pana wybuchnie bójka i wszyscy wpadniemy w łapy SBP, i znajdą przy panu tę bibułę, którą pan u nas kupił... wie pan, jaka jest kara. – Wyrzucę ją – powiedział. – Zaraz. Opuścił okno szermela i sięgnął za szeroki pas po książeczkę. – Więc Eric Cordon jest na drugim miejscu? – spytała obojętnym głosem, pozbawionym pretensji. – Na pierwszym miejscu jest uchronienie mnie przed Denny'ym. Czy to nie śmieszne? To naprawdę śmieszne! – Człowiek jest ważniejszy niż teoretyczne... – Jeszcze pana nie wzięło, kochany. Nie czytał pan Cordona; jak pan przeczyta, będzie pan miał inne odczucia. Zresztą w torebce mam dwie broszury, więc to nie robi różnicy. – Wyrzuć je! – Nie – powiedziała Charley. Masz ci los, pomyślał. Nie pozbędzie się broszur i nie pozwoli mi się zostawić w motelu. Co ja teraz zrobię? Będę tak latał w kółko po ulicach w tym cholernym miejskim ruchu, aż mi się skończy paliwo? I zawsze istnieje groźba, że pojawi się ten shelling-berg 8 i już po nas; najpewniej nas staranuje i zabije wszystkich. Chyba że alkohol już wywietrzył do tej pory. 8 75 – Mam żonę – powiedział krótko. – I dziecko. Nie mogę zrobić niczego, co... – Już pan zrobił. Informując Zetę, że chce pan bibułę. Wciągnął się pan w to w chwili, gdy zapukaliście z Zetą do drzwi naszego mieszkania. – Nawet wcześniej – dodał Nick skinąwszy głową; to była prawda. Tak prędko, pomyślał. Zaangażował się w mgnieniu oka. Ale to już trwało dawno, narastało. Wiadomość o rychłym zamordowaniu Cordona, to było to, pchnęła go do podjęcia decyzji i w tym momencie Kleo oraz Bobby znaleźli się w niebezpieczeństwie. Z drugiej strony SBP dopiero co wrywkowo go sprawdziła, używając Darby Shire'a jako przynęty. A on – i Kleo – zdali egzamin. Toteż z punktu widzenia rachunku prawdopodobieństwa mieli wszelkie szansę, że nie będą w najbliższej przyszłości sprawdzeni po raz drugi. Nie potrafił jednak oszukać samego siebie. Na pewno obserwują Zetę, myślał. I wiedzą o

dwóch mieszkaniach. Wiedzą wszystko co trzeba; to tylko kwestia czasu, kiedy zechcą wykonać ruch. W takim wypadku było już rzeczywiście za późno. Równie dobrze mógł iść na całego i pozwolić Charley zostać z nim i Kleo przez parę dni. Kanapa w salonie dawała się przerobić na łóżko; pozwalali przyjaciółom zostawać na noc. Ale dzisiejsza sytuacja różniła się ostro od tamtych. – Możesz zatrzymać się u mnie i mojej żony Ś 76

powiedział – jeśli pozbędziesz się bibuły, którą nosisz przy sobie. Nie każę ci jej niszczyć, ale czy nie możesz jej zostawić w jakimś pewnym miejscu? Charley nie odpowiedziała. Wyjęła jedną z książeczek, odwróciła stronicę, po czym zaczęła czytać na głos: – „Miarą człowieka nie jest jego iloraz inteligencji. Nie jest nią szczebel, do jakiego doszedł w obcej hierarchii władzy. Miarą człowieka jest prędkość reagowania na potrzeby drugiego człowieka. Oraz ile możesz dać z siebie. Dając, niczego nie otrzymujesz w zamian albo przynajmniej...” – No jasne, dawanie daje ci coś w zamian – powiedział Nick. – Dajesz coś komuś; później on odwzajemnia przysługę, dając w zamian coś tobie. To oczywiste. – To nie jest dawanie; to handel. Niech pan posłucha: „Bóg mówi...” – Bóg nie żyje – przerwał jej. – Znaleźli jego szczątki w roku 2019. Unosiły się w przestrzeni blisko Alfy. – Znaleźli resztki organizmu kilka tysięcy razy bardziej rozwiniętego niż my – powiedziała Charley. – I najwyraźniej mógł stwarzać zamieszkałe światy i obsadzać je żywymi organizmami, wywodzącymi się od niego samego. Ale to nie dowodzi, że był Bogiem. – Myślę, że to był Bóg. – Czy mogę zostać u pana na dzisiejszą noc – spytała – i może, jeśli to będzie konieczne, jeśli to będzie naprawdę konieczne, może na jutrzejszą. 8 77 Dobrze? – Spojrzała w górę na niego, promienny uśmiech nadawał jej twarzy wyraz niewinności. Jakby niczym kotek prosiła go o miseczkę mleka, o nic więcej. – Niech pan się nie boi Denny'ego, nie robi panu krzywdy. Jeśli kogoś pobije, to mnie. Ale nie znajdzie pańskiego mieszkania. Niby w jaki sposób? Nie zna pańskiego nazwiska; nie wie... – Wie, że pracuję u Zety. – Zeta się go nie boi. Mógłby go sprać na kwaśne... – Sama sobie zaprzeczasz – stwierdził Nick, a przynajmniej tak mu się zdawało; może był jeszcze pod działaniem alkoholu. Ciekawiło go, kiedy to mija? Po godzinie? Dwóch? W każdym razie wyglądało na to, że prowadził poprawnie; przynajmniej żaden funkcjonariusz SBP nie kazał mu lądować ani nie chwycił go na harpun. – Pan się boi, co powie żona – ciągnęła Charley – jeśli przyprowadzi mnie pan do domu. Pomyśli sobie różne rzeczy. – No, coś w tym jest – odparł. – A także paragraf zwany karalnym gwałtem. Nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat, co? – Szesnaście. – No więc sama widzisz... – W porządku – powiedziała wesoło. – Niech pan ląduje i wysadzi mnie. – Masz jakieś pieniądze? – spytał. – Nie. – Ale poradzisz sobie?

–Tak. Zawsze umiem sobie radzić.

Mówiła bez złośliwości, nie sprawiała wrażenia, że ma do niego żal za jego wahanie. Może takie historie zdarzały się im częściej, pomyślał. I wtedy inni, tak jak ja teraz, połykali przynętę. Kierowani jak najlepszymi intencjami. – Powiem panu, co się może stać, jeśli zabierze mnie pan do siebie – powiedziała Charley. – Mogą pana zwinąć za przebywanie w tym samym pokoju z bibułą Cordonowską. Mogą pana zwinąć za gwałt karalny. Pańska żona, którą również mogą zwinąć za przebywanie w tym samym pokoju z bibułą Cordonowską, porzuci pana i nigdy pana nie zrozumie ani panu nie wybaczy. A mimo to nie potrafi mnie pan tak po prostu zostawić, chociaż nawet pan mnie nie zna, bo jestem dziewczyną i nie mam dokąd iść... – Przyjaciele. Musisz mieć jakichś przyjaciół, do których mogłabyś pójść – powiedział. Ale czy oni nie boją się zanadto Denny'ego, zadawał sobie pytanie. – Masz rację – dodał nagle. – Nie mogę cię tak po prostu zostawić. Porwanie, pomyślał, mogę być oskarżony także o porwanie, gdyby Denny'emu przyszła ochota zadzwonić do SBP. Ale... Denny nie może, nie zechce tego zrobić, bo z kolei sam będzie zdemaskowany jako handlarz bibułą Cordonowską. Nie może iść na takie ryzyko. – Jesteś dziwną małą dziewczynką – powiedział do Charley. – Pod pewnym względem jesteś wcieleniem naiwności, a pod innym twarda niczym sznur sklepowy. Czy to handel nielegalnymi pismami uczynił ją ta- 79

ką? pomyślał. Czy też stało się zupełnie odwrotnie... wyrosła na twardą, zahartowaną dziewczynę i dlatego pociągały ją tego rodzaju zajęcia. Popatrzył na nią, oceniając tym razem jej ubranie. Jest zbyt wystrojona, pomyślał, to są drogie łaszki. A może jest chciwa; handel bibułą przynosi wystarczającą ilość popsów, żeby zaspokoić taką chciwość. Dla niej – stroje. Dla Denny'ego – shellingberg 8. Bez tego byliby zwykłymi nastolatkami, chodzącymi do szkoły w dżinsach i bezkształtnych swetrach. Zło, pomyślał, w służbie dobra. Ale czy pisma Cordona były dobre? Nigdy wcześniej nie widział autentycznego traktatu Cordona, ale teraz chyba miał już jeden i mógł go osobiście przeczytać i ocenić. Oraz pozwolić dziewczynie zostać, gdyby okazał się dobry? A jak nie, to rzucić ją tym szakalom, Denny'emu i sukom policyjnym z Niezwykłymi, nieustannie podsłuchującymi telepatami? – Jestem życiem – powiedziała dziewczyna. – Co? – spytał zaskoczony. – Jestem dla pana życiem. Ile pan ma lat, trzydzieści osiem? Czterdzieści? Czego się pan dowiedział? Do czego pan doszedł? Niech pan spojrzy na mnie, śmiało. Jestem życiem, i kiedy jest pan przy mnie, coś z niego przechodzi na pana. Nie czuje się pan teraz taki stary, prawda? Kiedy siedzi pan tutaj, obok mnie, w szmermelu. – Mam trzydzieści cztery lata – odparł Nick – i nie czuję się stary. Prawdę mówiąc siedzenie tutaj, obok ciebie, sprawia, że czuję się starszy, a nie młodszy. 80 – Przejdzie.

–Wiesz to z doświadczenia – powiedział. – Ze starszymi mężczyznami. Przedemną. Otworzywszy torebkę wyjęła lusterko i kredkę do policzków; zaczęła sobie malować wymyślne linie biegnące od oczu do brzegu twarzy. – Używasz za dużo makijażu –

powiedział. – W porządku, niech mnie pan nazwie dziwką za dwa rjopsy. – Co? – spytał i wbił w nią wzrok; na chwilę stracił zainteresowanie przedpołudniowym ruchem. – Nic – odparła. Zakręciła kredkę i schowała ją wraz z lusterkiem do torebki. – Chce pan trochę al-ku? – zapytała. – Denny i ja mamy mnóstwo kontaktów na alkohol. Nawet mogłabym zdobyć trochę, jak ona się nazywa, ach tak, szkockiej. – Otrzymałej z Bóg wie czego, w jakiejś pokątnej destylarni – powiedział Nick. Wybuchnęła niepohamowanym śmiechem; siedziała z opuszczoną głową, zakrywając oczy prawą dłonią. – Wyobrażam sobie destylarnię, gdy trzepocze skrzydłami na nocnym niebie, w drodze do nowej siedziby. Gdzie nie znajdzie jej SBP. Nie przestawała się śmiać i trzymała się ciągle za głowę, jak gdyby myśl o tym nie chciała jej opuścić. – Od alkoholu można stracić wzrok. – Od kopcia. Spirytusu drzewnego – odparła. – Skąd możesz mieć pewność, co ci sprzedają?

–Skąd można mieć pewność czegokolwiek? Denny w każdej chwili może nas dogonić i zabić al- 81 bo może to zrobić SBP... to po prostu nieprawdopodobne, a trzeba trzymać się tego, co prawdopodobne, nie tego, co możliwe. Możliwe jest wszystko. – Uśmiechnęła się do niego. – Ale to dobrze, czy pan rozumie? To znaczy, że zawsze można mieć nadzieję; tak twierdzi Cordon, pamiętam to. Cordon mówił o tym wielokrotnie. W nim tak naprawdę nie ma wiele z proroka, ale to zapamiętałam. Pan i ja moglibyśmy się zakochać. Pan mógłby porzucić żonę, a ja Denny'ego, po czym on by oszalał, upiłby się i poza-r bijął nas wszystkich, a później siebie. – Śmiała się, oczy miała rozbiegane. – Ale czyż to nie wspaniałe? Nie rozumie pan, jakie to wspaniałe? Nie rozumiał. – Jeszcze pan zrozumie – powiedziała. – Na razie proszę nie odzywać się do mnie przez jakieś dziesięć minut, muszę pomyśleć, co powiedzieć pańskiej żonie. – Ja powiem. – Pan by wszystko zepsuł. Ja jej powiem. Zacisnęła powieki, by się skoncentrować. Leciał więc dalej, skręciwszy w kierunku mieszkania.

VIII

Fred Huff, sekretarz osobisty Dyrektora SBP Barne-sa, położył listę na biurku swego szefa. – Przepraszam – powiedział – ale prosił mnie pan o codzienny raport na temat mieszkania 3XX24J, oto on. Użyliśmy standardowych taśm z głosami do identyfikacji przychodzących osób. Przyszła tylko jedna, to znaczy, tylko jedna nowa osoba. Niejaki Nicholas Appleton. – To mi niewiele mówi. – Przepuściliśmy raport przez komputer, ten, który wynajmujemy od uniwersytetu stanowego w Wyo-ming. Przeprowadził interesującą ekstrapolację, jak tylko otrzymał cały wcześniejszy materiał o tym Ni-cholasie Appletonie: jego zawód, pochodzenie, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czy kiedykolwiek... – Nigdy przedtem nie złamał prawa w jakikolwiek sposób. – Chce pan powiedzieć, że nigdy nie został przyłapany. Zapytaliśmy komputer także i o to. Jakie są szansę, jeśli chodzi o tego konkretnego mężczyznę, że świadomie pogwałci prawo, popełni przestępstwo. Odpowiedział, że nie, nie pogwałci. – Uczynił to, idąc do 3XX24J – zauważył uszczypliwie szef policji Barnes. **NASI PRZYJACIELE Z FROLIKA 8 83** – Co też odnotowano; stąd zastosowanie komputera do prognozowania. Ekstrapolując z tego przypadku, i z innych podobnych do niego, które miały miejsce w ostatnich godzinach, komputer twierdzi, że wiadomość o nadchodzącej egzekucji Cordona zasilila już szeregi cordonowskiego podziemia o czterdzieści procent. – Gówna prawda – powiedział Barnes. – Statystycznie tak wychodzi. – To znaczy, połączyli się w proteście? Otwarcie?

–Nie, otwarcie nie. W proteście, tak.

–Zapytaj komputer, jaka będzie reakcja na wiadomość o śmierci Cordona. – Nie może obliczyć. Za mało danych. No, wyliczył, ale na tak wiele możliwych sposobów, że nic nam to nie mówi. Dziesięć procent: masowe powstanie. Piętnaście procent: odmowa dania wiary, że... – Czego dotyczy największe prawdopodobieństwo? – Wiary w to, że Cordon zginął, ale że nie zginął Provon, że Provon wciąż żyje i powróci. Nawet bez Cordona. Proszę nie zapominać, że każdej doby na całej Ziemi kolportowane są, autentyczne bądź podrabiane, tysiące książeczek Cordona. Jego śmierć nie zatrzyma tego procesu. Proszę sobie przypomnieć słynnego rewolucjonistę z dwudziestego wieku, Cne Guevarę. Chociaż go zabito, dziennik, który pozostawił... – Jak Chrystus – powiedział Barnes. Poczł się przygnębiony i zaczął myśleć na głos. – Zabij Chrys-84 tusa, a będziesz miał Nowy Testament. Zabij Cne Guevarę, a będziesz miał dziennik, który jest księgą instrukcji, jak zdobyć władzę na całym świecie. Zabij Cordona... Na biurku Barnesesa zadzwieczył brzęczyk. – Tak jest, panie Przewodniczący – powiedział Barnes do interkomu. – Jest u mnie funkcjonariuszka Noyes. – Skinął na nią i agentka wstała ze skózanego fotela naprzeciw biurka. – Wejdziemy. – Dał jej znak, czując przy tym zdecydowaną niechęć do tej kobiety. W zasadzie nie przepadał za policjantkami, zwłaszcza tymi, które lubiły nosić mundur. Kobieta, do czego doszedł dawno temu, nie powinna nosić

munduru. Konfidentki mu nie przeszkadzały, gdyż nie wymagano od nich wcale rezygnacji z kobiecości. Funkcjonariuszka policji Noyes była bezpłciowa – w prawdziwym, fizjologicznym sensie. Poddała się zabiegowi Snydera, tak więc zarówno prawnie, jak i fizycznie, nie była kobietą; nie posiadała organów płciowych jako takich, żadnych piersi; jej biodra były wąskie jak u mężczyzny, twarz zaś miała niezglębioną i okrutną. – Proszę pomyśleć – zwrócił się do niej, kiedy szli korytarzem wzdłuż podwójnych szeregów uzbrojonej straży policyjnej, w kierunku masywnych, ozdobnych, dębowych drzwi Willisa Grama – jak dobrze by się pani poczuła, gdyby jednak udało się pani zdobyć coś na Irmę Gram. Wielka szkoda. Kiedy drzwi się otworzyły, trącił ją łokciem i wkroczyli do sypialnego biura Grama. Leżał z wyrazem 85 chytrych na twarzy w swoim ogromnym łożu pod stosem arkuszy Timesa. – Panie Przewodniczący – odezwał się Barnes – to jest Alice Noyes, agentka specjalna, która kierowała zdobywaniem materiałów dotyczących zwyczajów moralnych pańskiej małżonki. – My już się znamy – powiedział Gram. – Tak jest, panie Przewodniczący – odparła Noyes, skinąwszy głową. – Chce, by moja małżonka została zamordowana przez Erica Cordona w czasie programu telewizyjnego na żywo transmitowanego na cały świat – powiedział spokojnie Gram. Barnes wbił w niego wzrok. Gram wytrzymał jego spojrzenie, wyraz zwierzęcej chytrych nie schodził mu z twarzy. Po chwili ogólnego milczenia odezwała się Alice Noyes. – Nietrudno byłoby, rzecz jasna, ją załatwić. Tragiczny wypadek w czasie lotu na zakupy do Europy bądź Azji. Robi je ciągle. Ale przez Erica Cordona... – Tu jest potrzebna inwencja – powiedział Gram. Po krótkiej ciszy przemówiła znowu Alice Noyes. – Z całym szacunkiem, panie Przewodniczący, ale czy opracowanie projektu należy do nas, czy też ma pan pomysł na to, jak musimy lub możemy działać? Im więcej nam pan powie, tym nasza sytuacja będzie lepsza pod względem operacyjnym, od samego początku aż po fazę roboczą. 86 Gram obrzucił ją wzrokiem.

– Czy mam rozumieć, że pani zdaniem ja wiem, jak to zrobić? – Ja też jestem w kłopotach – odezwał się Barnes. – Przede wszystkim usiłuję sobie wyobrazić wpływ, jaki wywrze na szarego obywatela zbrodnia popełniona przez Cordona. – Dowiedzą się, że ta cała miłość i dawanie prezentów, wzajemna pomoc, empatia i współpraca Starych, Nowych i Niezwykłych... dowiedzą się, że to była kupa pompatycznych bredni. A ja pozbędę się Ir-my. Nie zapominaj o tym aspekcie, Dyrektorze, nie zapominaj. – Nie zapominam – odparł Barnes – tylko dalej nie mam pojęcia, jak to można zrobić. – Podczas egzekucji Cordona – powiedział Gram – będą obecni wszyscy czołowi przedstawiciele sfer rządowych, razem z żonami... i moją żoną. Cordona wyprowadzi mniej więcej dziesięciu uzbrojonych agentów. Całość będzie obserwowana przez kamery telewizyjne; pamiętaj pan o tym. Nagle, jakimś fuksem, Cordon wyrwie któremuś agentowi spluwę, wymierzy do mnie, ale chybi i zastrzeli Irmę, która oczywiście będzie siedzieć obok mnie. – Chryste Panie – wykrztusił z trudem Barnes; poczuł ogromny ciężar, który zginał go wpół. – Czy mamy przerobić mózg Cordona, aby go zmusić do tego morderstwa? Czy też zapytać go uprzejmie, czy nie zechciałby... – Cordon będzie już zabity – powiedział Gram. – Najpóźniej

poprzedniego dnia. 8

–No więc jak...

–Jego mózg zastąpi syntetyczna głowica sterowana neurologicznie, które pokieruje nim, albo raczej tym, co z niego zostanie, zgodnie z naszą wolą. To dość proste. Do zainstalowania głowicy weźmiemy Amosa Uda. – Tego Nowego, który składa Wielkie Ucho? – zdziwił się Barnes. – Zamierza go pan prosić, by pomógł panu zabić żonę? – To jest tak – odparł Gram. – Jeśli odmówi, obetnę wszelkie fundusze na rozwój Wielkiego Ucha. I znajdziemy innego Nowego, skorego do wydłubania mózgu Cordona... – Przerwał... Alice Noyes wzdrygnęła się. – Przepraszam. Niech będzie wyjęcia jego mózgu, jeśli pani woli. Zresztą, to na jedno wychodzi. Co pan na to, Barnes? Czyż to nie genialne? – Umilkł. Zapadła cisza. – Odpowiadaj pan. – To by pomogło – zaczął ostrożnie Barnes – skompromitować ruch Podludzi. Ale ryzyko jest zbyt duże. Przewyższa ewentualne korzyści; musi pan spojrzeć na to od tej strony... z całym szacunkiem. – Jakie ryzyko? – Po pierwsze, będzie pan musiał wciągnąć do sprawy Nowego wysokiego szczebla, co pana od nich uzależni, a czego pan absolutnie sobie nie życzy. A te syntetyczne mózgi, które Nowi produkują w swoich laboratoriach, nie można mieć do nich zaufania. Mógłby wpaść w szal i wszystkich zastrzelić, łącznie z panem. Nie chciałbym tam być, kiedy ten stwór pojawi się ze spluwą w rękę i zacznie realizować swój 88 program, przez wzgląd na własną skórę wolałbym być milion kilometrów dalej. – A więc pomysł się panu nie podoba? – spytał Gram. – Moje stanowisko można by tak sformułować – odrzekł Barnes, kipiąc w środku z oburzenia. Które Gram, rzecz jasna, odbierał. – Co pani myśli, Noyes? – zwrócił się Gram do agentki. – Myślę – odparła – że to najfantastyczniejszy, genialny plan, z jakim się dotąd zetknęłam. – Widzisz pan? – zagadnął Barnes Gram. – Kiedy pani doszła do tego wniosku? – spytał policjantkę zdziwiony Barnes. – Przed chwilą, kiedy Przewodniczący wspomniał o... – To była tylko kwestia doboru słów, ta historia z wydłubywaniem – odparła Noyes. – Teraz jednak widzę to w perspektywie. – To najlepszy pomysł, na jaki wpadłem przez te wszystkie lata spędzone w Służbie Publicznej i na tym najwyższym urzędzie – oznajmił z dumą Gram. – Tak, być może. Być może najlepszy – powiedział ze znużeniem Barnes. – Co ci wystawia, dodał w duchu, niezłą opinię. Odebrawszy myśl Barnes'a, Gram się skrzywił. – Przelotna wątpliwość – tłumaczył się Barnes. – Strzępek myśli, który, jestem pewien, zaraz zniknie. – Przez moment zapomniał o zdolnościach telepatycznych Grama. Ale gdyby nawet pamiętał, to i tak owa myśl zrodziłaby się w jego mózgu. 8 89 – To prawda – przyznał Gram skinąwszy głową, kiedy odebrał również i to. – Chcesz złożyć rezygnację, Barnes? – spytał. – I wyrzec się związku z tą sprawą. – Nie, panie Przewodniczący – odparł z szacunkiem Barnes. – Dobrze. – Gram jeszcze raz skinął głową. – Złap jak najszybciej Amosa Uda, upewnij się, czy rozumie, że to jest tajemnica państwowa i każ mu się wziąć za sztuczny analogon mózgu Cordona. Załatw encefalogramy, czy jak to się nazywa, od czego zawsze rozpoczynają. – Encefalogramy – odparł Barnes, skinąwszy potakująco głową. – Solidne, intensywne

–Bo jest symbolem niewinności – odparła Noyes.

Willis Gram, nadal zagryzając wargi i patrząc spode łba, powiedział: – Nie, nic z tego. To musi tak wyglądać, że Cor-donowi chodzi o mnie, ponieważ miałyby powód, by mnie zabić. Ale po cóż miałyby zabijać Irmę? – Żeby zabić ją, bo ją pan najbardziej kocha. Barnes roześmiał się. – Co w tym zabawnego? – spytał Gram. – To się może udać – odparł Barnes. – Właśnie to jest takie śmieszne. I żeby zabić ją, bo ją pan najbardziej kocha. Mogę cytować to za panią, Noyes? Modelowe zdanie, którego wszyscy uczniowie powinni się nauczyć; ma taką piękną składnię. – Akademizm – powiedziała zjadliwie Noyes. – Nie obchodzi mnie jej gramatyka – oznajmił szorstko Gram z rumieńcem na twarzy. – Nie obchodzi mnie moja gramatyka. Nie obchodzi mnie niczyja gramatyka. Obchodzi mnie tylko jedno: że to jest dobry plan i ona się zgadza, a ty się, Barnes, przed chwilą podałeś do dymisji. Więc nie masz już głosu w tej sprawie... w każdym razie, jeśli zechcę przyjąć pańską rezygnację. Będę się musiał nad tym zastanowić. Powiem panu kiedyś: może pan poczekać. W momencie kiedy przemyślał tę sprawę, głos mu przeszedł w autystyczne mamrotanie. Nagle podniósł wzrok na Barnes'a i powiedział: – Jesteś w dziwnym nastroju. Zwykle zgadzasz się na wszystkie moje propozycje. Co cię gryzie, Barnes? – 3XX24J – odparł. 8 93

–Co to takiego?

–Jedno z mieszkań Podludzi, które mamy pod obserwacją. Za pomocą komputera z Wyoming przeprowadzamy analizę statystyczną cech charakterystycznych przychodzących i wychodzących osób. – I właśnie otrzymałeś pan informację, która ci się nie podoba. – Bardzo mały strzęp informacji – odparł Barnes. – Pewien przeciętny obywatel, który najwyraźniej słyszał, że Cordon ma być stracony, nagle przekroczył granicę. Ktoś, kogo właśnie ostatnio przetestowaliśmy. Komputerowi to się bardzo nie spodobało. Taka huśtawka, taka amplituda w zakresie lojalności, i to w tak krótkim czasie... komunikat o egzekucji Cordona mógł być błędem, błędem, który jeszcze możemy naprawić. Sędziowie mogliby jeszcze raz zmienić zdanie – dodał złośliwie, choć z obojętną miną. – Mam pomysł drobnej zmiany pańskiego planu, panie Przewodniczący. Niech broń Cordona będzie również fałszywa. Mierzy ze spluwy i otwiera ogień, natomiast prawdziwy strzał oddaje równocześnie snajper ukryty w pobliżu Irmy. W ten sposób ryzyko trafienia pana spadnie praktycznie do zera. – Niezła myśl – powiedział Gram kiwając głową. – Poważnie przyjąłby pan taką propozycję? – spytał Barnes. – To dobra propozycja. Przechodzi do porządku nad kwestią, którą podniosłeś pan co do... Barnes wpadł mu w słowo: 94 – Pan musi oddzielić życie publiczne od swego życia prywatnego. Są ze sobą pomieszane. – A ja ci powiem, Barnes, coś innego – odparł wciąż czerwony na twarzy i ochryply Gram. – Ten adwokat Denfeld... macie poutykać w jego mieszkaniu trochę broszur i książeczek Cordona, a potem zrobicie u niego nalot, w czasie którego wpadnie na gorącym uczynku. Wsadzimy go do więzienia Bright-forth, razem z Cordonem. Będą

mogli sobie porozmawiać. – Denfeld może sypać – odezwała się Alice Noyes. – A Cordon może to wszystko zapisać. I pozostali więźniowie mogą to przeczytać. – Myślę – powiedział Gram – że to mistrzowskie pociągnięcie mego wrodzonego geniuszu, żeby rozwiązać moje publiczne i prywatne problemy za jednym zamachem; odpowiada ono wymaganiom brzytwy Ockhama, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Rozumiecie, co mam na myśli? Ani Barnes, ani Noyes nie odpowiedzieli. Barnes zastanawiał się, jak wycofać swoją rezygnację – złożoną pośpiesznie i bez rozważenia przyszłych możliwości. I zastanawiając się nad tym, uświadomił sobie, że Willis Gram jak zwykle podsłuchuje. – Nie martw się pan, Barnes – powiedział Gram. – Nie musisz odchodzić. Ale wiesz, naprawdę podoba mi się ten krok ze strzelcem wyborowym, umieszczonym w pobliżu Irmy i mnie, gotowym do zabicia jej w momencie, gdy Cordon strzeli ze swojej fałszywej spluwy. Tak, to do mnie przemawia; dziękuję za wkład. 8 95 – Nie ma za co – odparł Barnes, powstrzymując falę niechęci i szybko kotłujących się myśli. – Nie obchodzi mnie – kontynuował Gram – co myślisz, panie Barnes. Obchodzi mnie tylko to, co robisz. Czuj wrogość, skoro chcesz, to nie ma znaczenia, póki będziesz poświęcał temu projektowi całkowitą i bezpośrednią uwagę. Chcę, aby to się stało jak najszybciej... Cordon mógłby nam umrzeć czy coś innego. Potrzebujemy jakiejś nazwy dla naszego projektu. Terminu kodowego. Jak go nazwiemy? – Barabasz – zaproponował Barnes. – Nic mi to nie mówi, ale może być, jeśli chodzi o mnie – powiedział Gram. – W porządku; odtąd jest to Operacja Barabasz. Będziemy tylko tak ją nazywać, zarówno w pisemnych, jak i ustnych wymianach myśli. – Barabasz – powtórzyła Noyes. – To był ten przypadek, kiedy z dwojga ludzi zabito nie tego co trzeba. – Aha – odparł Gram. – No ale i tak brzmi dość dobrze moim zdaniem. – Skubał nerwowo dolną wargę. – Jak się nazywał ten drugi, ten niewinny, którego zamordowano? – Jezus z Nazaretu – powiedział Barnes. – Przeprowadzasz analogię? – spytał Gram. – Że Cordon jest niczym Jezus? – To już się stało – odparł Barnes. – Tak czy owak, niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na coś jeszcze. We wszystkich swoich pismach Cordon występował przeciwko sile, przemocy i gwałtowi. To nieprawdopodobne, by usiłował kogoś zabić. 96 – W tym rzecz. – Gram nie tracił cierpliwości. – W tym cała rzecz. Postępek Cordona zdyskredytuje każde jego słowo. Ukaże go jako hipokrytę; zniweczy sens wszystkich jego broszur i książeczek. Rozumiesz pan? – To się odbije rykoszetem. – Pan naprawdę nie lubi mojego stylu załatwiania spraw – powiedział Gram przyglądając mu się badawczo. – Myślę – powiedział Barnes – że w tym wypadku... jest pan wielce nieroztropny. – Co to znaczy? – Nierozważny. – Nikt mi nie radził, to mój własny pomysł.* W tym momencie Dyrektor Barnes dał za wygraną; opanowały go ponure myśli i więcej się nie odzywał. Chyba nikt tego nie zauważył. – A więc rozpoczął się Projekt Barabasz – powiedział z radością Gram, po czym uśmiechnął się szeroko i serdecznie.* Gra słów: To be illadvised to be UI advised być nierozważnym, dostać złą radę (ang.).

IX

Na dźwięk ich umówionego sposobu pukania Kleo Appleton otworzyła drzwi wejściowe. Do domu w samym środku dnia? zdziwiła się. Coś się musiało wydarzyć. I w tym momencie zobaczyła obok Nicka drobną dziewczynę, nie mającą chyba jeszcze dwudziestu lat, dobrze ubraną, z bogatym makijażem i szerokim uśmiechem ukazującym białe zęby, jakby na znak, że ją poznaje. – Pani musi być Kleo – powiedziała z uśmiechem. – Bardzo się cieszę, że panią widzę, po tym, co mi Nick opowiadał. Weszli do mieszkania; dziewczyna rozejrzała się po meblach, kolorystyce ścian: oceniała dekoracje fachowo, lustrując wszystko. W końcu Kleo zaczęła się denerwować i odczuwać zakłopotanie, podczas gdy, uzmysłowiła sobie, powinno być odwrotnie. Kim jest ta dziewczyna? zastanawiała się. – Tak – odparła. – Jestem Kleo Appleton. Nick zamknął drzwi za nimi. – Ona się ukrywa przed swoim chłopcem – powiedział do żony. – Chciał ją pobić i uciekła. Tutaj jej nie znajdzie, bo nie wie, kim jestem ani gdzie mieszkam, więc będzie bezpieczna. 7 – Nasi przyjaciele.. 98

–Może kawy? – spytała Kleo.

–Kawy? – powtórzył Nick.

–Nastawię kawę – powiedziała Kleo.

Przypatrzyła się nieznajomej i przekonała, jak bardzo jest ładna mimo obfitego makijażu. I jaka mała. Dziewczyna miała na pewno trudności ze znajdowaniem ubrań dostatecznie małych, by pasowały na nią... trudności, które sama chciałabym mieć, myślała Kleo. – Mam na imię Charlotte – powiedziała dziewczyna. Usadowiła się na kanapie w salonie i rozpięła nogolenniki. Szeroki, szczery uśmiech nie schodził z jej twarzy; uniosła wzrok na Kleo niemal z wyrazem miłości. Miłości! Do osoby, którą widziała po raz pierwszy w życiu. – Powiedziałem, że może zostać tutaj na noc – oznajmił Nick. – Tak – odparła Kleo. – Kanapę można rozłożyć. – Poszła do wnęki kuchennej i nalała trzy filiżanki kawy. – Jaką kawę pani pije? – spytała. – Proszę posłuchać – powiedziała Charlotte, zrywając się lekko z miejsca i podchodząc do Kleo. – Niech pani nie robi sobie ze mną kłopotów, naprawdę. Nie potrzebuję niczego poza miejscem do spania na parę dni, a tego adresu Denny nie zna. I zgubiliśmy go, pozbyliśmy się go w tym wielkim tłoku. A więc naprawdę nie ma ryzyka... – zrobiła znaczący gest -...sceny. Przyrzekani. – Nadal nie wiem, jaką kawę pani pije. – Czarną. Kleo podała jej filiżankę.

–Kawa jest wspaniała – powiedziała Charlotte.

Wziąwszy dwie filiżanki, Kleo wróciła do salonu, podała jedną Nickowi i usiadła na czarnym plastikowym krześle. Nick i dziewczyna, niczym dwoje ludzi na sąsiednich miejscach w kinie, usadowili się obok siebie na kanapie. – Zadzwoń pani na policję? – spytała Kleo. – Na policję? – zdziwiła się Charlotte. – Nie, oczywiście, że nie. On to robi cały czas, a ja się po prostu wynoszę i przeczekuję... wiem, jak długo to trwa. A potem wracam. Na policję? Żeby go aresztowali? On by umarł w więzieniu. Denny musi być wolny; żeglować w przestworzach, bardzo szybko, w tym swoim szmermelu, Purpurowej Syrenie, jak go nazywamy. Powiedziawszy to łąpczywie wypła kawe. Kleo zastanawiała się. Miała mieszane uczucia, chaotyczne. To obcy człowiek, myślała. Nie znamy jej, nie wiemy nawet, czy mówi prawdę o swoim chłopcu. Przypuśćmy, że to coś innego? Przypuśćmy, że poszukuje jej policja? Ale Nick, zdaje się, ją lubi; chyba jej ufa. Ale jeśli mówi prawdę, to rzecz jasna musimy pozwolić jej zostać. Następnie Kleo pomyślała, że dziewczyna rzeczywiście jest ładna. Może dlatego Nick chce, by tu została; może jest... szukała właściwego słowa. Szczególnie nią zainteresowany. Gdyby nie była taka ładna, czy mimo to chciałby ją tu wpuścić, by została z nami? Ale to niepodobne do Nicka. Chyba że nie zdawał sobie sprawy ze swoich prawdziwych uczuć; wiedział, że chce dziewczynie pomóc, ale właściwie nie wiedział dlaczego. 100 Chyba powinniśmy zaryzykować, zdecydowała.

–Będzie nam bardzo miło zatrzymać panią u siebie – powiedziała na głos – tak długo, jak będzie pani potrzebowała. Na te słowa twarz Charlotte rozpromieniła się z radości. – Wezmę pani żakiet – powiedziała Kleo, kiedy dziewczyna ściągnęła go z siebie... Nick szarmancko zaoferował jej pomoc. – Nie, nie musi pani tego robić – odparła Charlotte. – Jeśli ma pani tutaj zostać... – powiedziała Kleo i wzięła od Charlotte okrycie... – to musi pani powiesić żakiet. Zaniosiła go do jedynej szafy w mieszkaniu, otworzyła drzwi, sięgnęła po wieszak... i w jednej z kieszeni zobaczyła naprędce zwiniętą książeczkę. – Cordonowska bibuła – powiedziała głośno, wyciągając ją z kieszeni. – Pani jest Podczłowie-kiem. Charlotte przestała się uśmiechać; teraz wyglądała na zaniepokojoną i najwyraźniej szybko myślała, gorączkowo poszukując odpowiedzi. – A więc ta historia o jej chłopcu – mówiła dalej Kleo – to kłamstwo. Chodzą za nią szpicle; to dlatego chcesz ją tutaj ukryć. – Odniosła Charlotte żakiet razem z broszurą. – Nie może pani tu zostać. – Powiedziałbym ci, ale... – odezwał się Nick gestykulując. – Wiedziałem, że tak zareagujesz. I nie pomyliłem się. – To prawda z Dennyem – powiedziała Charlotte

spokojnym, dźwięcznym głosem. – To przed nim się ukrywam. Policja mnie nie śledzi. A u was dopiero co była wrywkowa kontrola, Nick mi powiedział. Tego mieszkania nie będą nachodzić przez... cholera, przez wiele miesięcy. A może i lat. Kleo podała Charlotte żakiet. – Jeśli ona wyjdzie – powiedział Nick – to ja wyjdę razem z nią. – Możesz iść. – Mówisz poważnie? – Tak, mówię poważnie. Charlotte wstała.

–Nie mam zamiaru rozbijać waszego małżeństwa. To nieuczciwe... pójdę sobie – zwróciła się do Nicka. – W każdym razie dziękuję. – Wzięła żakiet, założyła go i poszła w stronę wyjścia. – Rozumiem, co pani czuje, Kleo – powiedziała otwierając drzwi. Posłała jej promienny, choć teraz już zimny uśmiech. – Do widzenia. Nick poruszył się gwałtownie, pobiegł za Char-ley i chwyciwszy ją za ramię, zatrzymał przy drzwiach. – Nie – powiedziała i z niezwykłą jak na kobietę siłą wykręciła się z uścisku. – Do widzenia, Nick. W każdym razie pozbyliśmy się Purpurowej Syreny. Mieliśmy dobrą zabawę. Dobrze pan prowadzi; wielu facetów próbowało urwać się Denny'emu, ale tylko panu się to udało. Poklepała go po ramieniu i szybkim krokiem wyszła na korytarz. Może to prawda o jej chłopcu, myślała Kleo. Może 102 faktycznie chciał ją pobić; może powinniśmy pozwolić jej zostać. Pomimo wszystko. Mimo to, że... a jednak, myślała, nie powiedzieli mi, ani ona, ani Nick. A to równa się kłamstwu, przez zaniechanie. Wiem, że Nick robił podobne rzeczy wcześniej, myślała. Teraz jednak naraził nas na wielkie niebezpieczeństwo i niczego nie powiedział – zupełnie przypadkowo zobaczyłam te książeczkę w jej żakiecie. I mógłby, myślała dalej, naprawdę odejść razem z nią, tak jak mówi. A więc musi być do niej bardzo przywiązany. Znają się nie od dziś: nikt rozsądny nie posunąłby się tak daleko w udzielaniu pomocy obcej osobie... prócz tego, że tym razem obca osoba jest piękna, drobna i bezbronna. A mężczyźni tacy są. Mają słabe charaktery, co wychodzi na jaw w podobnych sytuacjach. Przestają myśleć i postępować racjonalnie; robią to, co uważają za rycerskie. Bez względu na koszty, jakie ponoszą sami, a także, jak w tym wypadku, ich żona i dziecko. – Możesz zostać – powiedziała do Charlotte, wychodząc za nią na korytarz, kiedy dziewczyna przystanęła, by włożyć żakiet; Nick nie zdradzał żadnych uczuć, jakby nie potrafił już nadażyć za biegiem wydarzeń, a przez to w nich uczestniczyć. – Nie – odparła Charlotte. – Żegnajcie. I śmignęła w głąb korytarza niczym płochy ptak. – Niech cię szlag trafi – powiedział Nick do Kleo.

–Ciebie też – odparła. – Sprowadzasz ją do domu, żeby nas wszystkich zamknęli. Niech cię szlag trafi, że mi nic nie powiedziałaś. 8 103 – Powiedziałbym ci przy pierwszej okazji.

– Nie biegniesz za nią? – spytała. – Mówiłeś, że to zrobisz. Przeszywał żonę wzrokiem, twarz miał wykrzywioną ze złości, oczy mu się zwięziły i stały się mroczne. – Skazałaś ją na czterdzieści lat obozu pracy na Lunie; będzie się włóczyć po ulicach bez pieniędzy, nie mając gdzie iść, aż w końcu zatrzyma się jakiś patrol i będą ją przesłuchiwać. – To cwaniara, pozbędzie się bibuły – powiedziała Kleo. – I tak ją wezmą. Za byle co. – No to idź i sprawdź, czy nic jej się nie stało. Zapomnij o nas, zapomnij o Bobbym i o mnie i idź zobacz, czy jest cała i zdrowa. Na co czekasz? Idź! Zacisnął szczęki. Jakby zamierzał mnie uderzyć, pomyślała. Proszę, czego zdążył się nauczyć od swojej nowej przyjaciółeczki. Brutalności. Nie uderzył jej jednak. Zamiast tego obrócił się na pięcie i pobiegł korytarzem za Charlotte. – Ty bydlaku! – krzyknęła za nim Kleo, mając gdzieś to, że mogą ją usłyszeć sąsiedzi. Po czym wróciła do mieszkania, zatrzasnęła drzwi i przekręciła zamek; przesunęła nocny rygiel na swoje miejsce, tak że i kluczem nie uda mu się już otworzyć drzwi. Szli obok siebie ruchliwą handlową ulicą, przedzierając się przez tłumy przechodniów na chodniku; żadne z nich się nie odzywało. – Zniszczyłam twoje małżeństwo – odezwała się po jakimś czasie Charlotte. 104 – Nie, to nieprawda – powiedział Nick. I to była nieprawda; jego pojawienie się z dziewczyną wydobyło na powierzchnię jedynie to, co od dawna istniało. Żyliśmy w nerwowym strachu, myślał, pełni trwogi i nędznych obaw. Że Bobby nie zda testu; że przyjdzie policja. A teraz – Purpurowa Syrena. Nie musimy się obawiać niczego ponad to, że zrzuci nam bombę na głowę. Wyobraziwszy to sobie, parsknął śmiechem. – Z czego się śmiejesz? – zdziwiła się Charley. – Wyobraziłem sobie, że Denny pikuje na nas z bombą. Siedzi w jednym z tych starych stukasów, których używano w czasie drugiej wojny światowej. I ludzie rozbiegają się na wszystkie strony myśląc, że wybuchła wojna z Północno-Zachodnimi Niemcami. Szli dalej, trzymając się za ręce, każde pogrążone przez jakiś czas we własnych myślach. Nagle Charley powiedziała: – Nie musisz włóczyć się ze mną, Nicku. Przetnijmy ten węzeł. Wróć do Kleo, będzie szczęśliwa na twój widok. Znam się na kobietach; wiem, jak szybko przechodzi im złość, zwłaszcza kiedy zagrożenia, innymi słowy mnie, już nie ma. Zgoda? Prawdopodobnie miała rację, ale nic nie odpowiedział; nie znalazł jak dotąd wyjścia z pogmatwanej sytuacji. Co właściwie przydarzyło mu się dzisiaj? Odkrył, że jego szef Zeta jest Podczłowiekiem; razem z Zetą pił alkohol; polecili do mieszkania, Charley czy Denny'ego, tam odbyła się bójka i stamtąd uciekł z Charley, ratując ją, zupełnie obcą dziewczynę, przy pomocy swego grubego i silnego szefa. 8 105 A potem ta historia z Kleo.

– Jesteś pewna, że SBP nie wie o waszym mieszkaniu? – spytał. Inaczej mówiąc, czy mają mnie już pod lupą, pomyślał. – Jesteśmy bardzo ostrożni. – Czyżby? Zostawiłaś tę broszurę w kieszeni, żeby Kleo mogła ją znaleźć. To nie było bardzo sprytne. – Byłam zupełnie rozkojarzona. Przez to uciekanie przed Purpurową Syreną. Na ogół nie robię takich rzeczy. – Masz ich więcej przy sobie? W torebce? – Nie. Wziął od niej torebkę i przetrząsnął ją. To była prawda. Kiedy ruszyli dalej, sprawdził kieszenie zakietu Charley. T.; m też niczego nie znalazł. Ale pisma Cordona krążyły również w postaci mikropunktów; mogła mieć ich na sobie kilka i gdyby ją złapali, faceci z SBP

znaleźliby je. Chyba nie mogę jej ufać, zdecydował. Po tym, jak wypadła przed Kleo. Oczywiście, gdyby cofnąć czas... W tym momencie przyszła mu do głowy myśl. Na pewno tajniacy obserwują tamto mieszkanie, podglądają w jakiś sposób. Kto wchodzi, kto wychodzi. Ja wszedłem i wyszedłem. A więc, jeśli tak się sprawa przedstawia, mają mnie w rejestrze. A więc już za późno na powrót do Bobby'ego i Kleo. – Masz taką posępną minę – powiedziała żartobliwym tonem Charley, jakby chciała spytać: co u licha? 106 – Chryste – odparł. – Przekroczyłem granicę.

–Tak, jesteś Podczłowiekiem.

–Czy uświadamiając sobie ten fakt nie można mieć posępnej miny? – Powinien cię napęłniać radością – powiedziała Charley. – Nie chcę trafić do karnego obozu pracy na... – Ale to się tak nie skończy, Nick. Provon wraca i wszystko będzie dobrze. – Wziąwszy go za rękę, pokiwała głową; uniosła ją i patrzyła na niego niczym ptak. – Baczość, głowa do góry! Mina wesoła! Raduj się! Moja rodzina, myślał, została rozbita, i to przez nią. Nie mamy dokąd iść... w motelu znajdą nas bez trudności... a wówczas... Zeta, przypomniał sobie. On mi może pomóc. I w dużym stopniu to jego wina: Zeta spowodował wszystko, co się dzisiaj stało. – O! – krzyknęła, mrugając oczyma, kiedy pociągnął ją na ruchomy wiadukt. – Dokąd jedziemy? – Na plac Zjednoczonego Frontu Lekko Używanych Szmermeli – odpowiedział Nick. – O, czyli do Earla Zety, Może jeszcze jest w mieszkaniu i bije się z Denny. Nie, Denny musiał wyrwać się już chyba do tej pory; w każdym razie tak myśleliśmy, kiedy wybiegł na dach. To dobrze; znowu będę miała przyjemność polatać z tobą. Wiesz, chociaż Denny dobrze prowadzi, naprawdę dobrze, to ty jesteś lepszy. Już to mówiłam? Tak, chyba mówiłam, – Wyglądała na rozkojarzoną. I nagle niespokojną. 8 107 – O co chodzi? – spytał, gdy weszli na jadącą do góry rampę, która miała ich zawieźć do portu na pięćdziesiątym poziomie, gdzie zaparkował szmer-mel. – Hmm, boję się – odparła – że Denny mnie zobaczy. Może się tam kręcić, czatować, obserwować. Po prostu obserwować. – Warknęła to słowo z wściekłością, co zaskoczyło Nicka, gdyż nie znał jej jeszcze od tej strony. – Nie – dodała. – Ja tam nie polecę. Leć sam. Wysadź mnie gdzieś albo od razu wyskoczę do rampy jadącej na dół i... – Machnęła ręką. – I na zawsze z twojego życia. – Roześmiała się znowu tym swoim dziewczęcym śmiechem. – Ale możemy zostać przyjaciółmi. Będziemy się komunikować za pomocą kartki pocztowej. – Wciąż się śmiała. – Zawsze będziemy siebie znać, nawet jeśli nie spotkamy się nigdy więcej. Nasze dusze się połączyły, a kiedy dusze się połączą, nie można zniszczyć • • ^ • jednej, nie zabijając drugiej. – Śmiała się już w sposób nie kontrolowany, właściwie histerycznie; tarła oczy, chichocząc przez rozplaszczone dłonie. – Tego uczy Cordon i to jest takie zabawne; takie cholernie zabawne. Chwyć jej rękę i odciągnął od twarzy. Oczy Char-ley połyskiwały jaskrawo, przypominając gwiazdy, oczy utkwione w jego własnych, penetrując je głęboko, jakby odpowiedź znajdowały nie w tym, co mówił, lecz w tym, co w nich widziały. – Myślisz, że mam bzika? – powiedziała. – Bez wątplenia. – I ty, i ja znaleźliśmy się w takiej strasznej sy-

tuacji, i mają stracić Cordona, a ja się potrafię tylko śmiać. – Już się uspokajała, choć było widać, że przychodziło jej to z trudem; drżały jej wargi, jak gdyby powstrzymując dalszy śmiech. – Znam jedno miejsce, gdzie można dostać trochę alku – powiedziała. – Lećmy tam; będziemy mogli naprawdę się zabuzować. – Nie – zaprotestował. – Jestem już wystarczająco zabuzowany. – A więc dlatego to zrobiłeś, wolałeś odejść ze mną i porzucić Kleo. Przez alkohol, którym poczęstował cię Zeta, – Przez alkohol? – spytał. Być może. Dobrze wiadomo, że picie wywołuje zmiany osobowości, a on na pewno nie zachowywał się w zwykły dla siebie sposób. Tyle że sytuacja była niezwykła; jak wyglądałyby jego zwykłe reakcje na wydarzenia dzisiejszego dnia? Muszę przejąć inicjatywę, pomyślał. Muszę zapanować nad tą dziewczyną – albo ją zostawić. – Nie lubię, żeby ktoś mną rządził – powiedziała Charley. – Widzę, że zaraz zaczniesz mną dyrygować, mówić mi, co mogę, a czego nie mogę. Jak Denny. Jak kiedyś mój ojciec. Któregoś dnia będę musiała opowiedzieć ci o pewnych rzeczach, które robił mi ojciec... to może zrozumiesz lepiej. O pewnych rzeczach, strasznych rzeczach, do których mnie zmuszał. Do seksu. – Och! – wykrzyknął. To mogło wyjaśniać jej skłonności lesbijskie, jeśli Denny faktycznie nie kłamał, określając ją w ten sposób. 8 109 – Chyba wiem, co zrobimy – zabiorę cię do drukarni bibuły Cordonowskiej. – Wiesz, gdzie jest drukarnia? – spytał z niedowierzaniem. – Przecież tajniacy daliby sobie... – Wiem. Złapałoby mnie z rozkoszą. Dowiedziałam się o niej przez Denny'ego. On jest większym dostawcą, niż ci się wydaje. – Szukałby cię tam? – Nie wie, że ja wiem. Pewnego razu go śledziłam, myślałam, że śpi z jakąś dziewczyną, ale to nie było to: to była drukarnia. Wymknęłam się udając, że w ogóle nie wychodziłam z mieszkania; była późna noc i udawałam, że śpię. – Wzięła Nicka za rękę i mocno ścisnęła. – To szczególnie interesująca drukarnia, bo wydaje literaturę Cordonowską dla dzieci. Na przykład: „Bardzo dobrze! To jest koń! I gdyby ludzie byli wolni, jeździliby na koniach!” W takim stylu. – Mów ciszej – powiedział Nick. Nie jechali rampą sami i wibrujący, młodzieńczy głos Charley brzmiał donośnie, wzmagany jeszcze przez jej pasję. – Dobrze – odparła posłusznie. – Czy drukarnia cordonowska nie znajduje się na szczycie w hierarchii organizacji? – Nie ma organizacji, są tylko więzy wzajemnego braterstwa. Nie, na szczycie nie ma drukarni; na szczycie jest stacja odbiorcza. – Stacja odbiorcza? I co odbiera? – Orędzia od Cordona. – Z więzienia Brightforth? – On ma wszyty do ciała nadajnik, którego dotąd

nie znaleźli, nawet przy użyciu promieni X – odparła Charley. – Znaleźli dwa inne, ale tego nie, i dzięki niemu odbieramy codzienne medytacje, rozwijającą się myśl i idee Cordona, które drukarnie najszybciej jak można biorą na warsztat. Później materiał idzie do ośrodków dystrybucji, skąd zabierają go kolporterzy i próbują rozprowadzić wśród klientów. – Po chwili dodała: – Jak się możesz domyślać, śmiertelność wśród kolporterów jest wysoka. – Ile macie drukarni? – Nie wiem. Mało. – Czy władze...

–Gliny, przepraszam, SBP, lokalizują którąś od czasu do czasu. Ale wtedy organizujemy drugą, więc ogólna liczba się nie zmienia. – Umilkła, zbierając myśli. – Myślę, że raczej powinniśmy lecieć taksówką niż twoim szmermelem. Jeśli się zgadzasz. – Masz jakiś szczególny powód? – Nie jestem pewna. Mogli namierzyć numer twojej licencji. Na ogół staramy się latać do drukarni wynajętymi statkami. Taksówki są najlepsze. – Czy to daleko? – Sądzisz, że na obrzeżach, kilometry stąd? Nie, w centrum miasta, w najruchliwszej dzielnicy. Chodźmy. Wskoczyła na zjeżdżającą rampę i Nick poszedł w jej ślady. Chwilę potem dotarli na poziom jezdni; dziewczyna natychmiast wlepiła wzrok w ruch uliczny, wypatrując taksówki.

X

Taksówka spłynęła leniwie z pasma gęstego ruchu, zatrzymując się przy krawężniku obok nich. Drzwi się otworzyły i wsiedli. – Skład Towarów Feller – powiedziała Charley do taksówkarza. – Przy Szesnastej Alei. – Uhm – mruknął i poderwał swój statek, włączając się z powrotem do ruchu, tym razem w przeciwną stronę. – Ależ Skład Feller... – zaczął Nick, ale Charley niepostrzeżenie trąciła go łokciem w żebra; zrozumiał aluzję i pograżył się w milczeniu. Dziesięć minut później byli już na miejscu. Nick zapłacił i taksówka pofrunęła dalej jak malowana zabawka. – Skład Feller – powiedziała Charley, przyglądając się arystokratycznej budowli. – Jedna z najstarszych i najszacowniejszych firm handlowych w centrum. Myślałeś, że to będzie jakiś magazyn za miastem. Pełen szcurów. Wzięła go za rękę i poprowadziła przez automatyczne drzwi do wyściełanego dywanami wnętrza światowej sławy domu towarowego. Powitał ich wytwornie ubrany sprzedawca. 112 – Dobry wieczór państwu – odezwał się uprzejmie. – Mam tu komplet towarów – powiedziała Charley. – Syntetyczna skóra strusia, cztery kawałki. Nazywam się Barrows, Julie Barrows. – Tędy, proszę – odparł i odwróciwszy się poszedł majestatycznie w kierunku zaplecza. – Dziękuję. – Charley drugi raz trąciła Nicka w żebra, tym razem bez powodu. I obdarzyła go uśmiechem. Przesunęły się ciężkie metalowe drzwi odsłaniając mały pokój, w którym na półkach z surowego drewna leżały wszelkiego rodzaju towary. Drzwi zasunęły się po cichu. Sprzedawca odczekał chwilę, patrząc na zegarek, po czym delikatnie go nakręcił... i przeciwległa ściana pokoju szybko się rozdzieliła, ukazując w głębi większe pomieszczenie. Do uszu Nicka dobiegł ciężki

łoskot. To pracowała główna maszyna drukarska i mógł ją teraz zobaczyć. Choć słabo znał się na poligrafii, jedno wiedział na pewno: miał przed sobą absolutnie nowoczesne urządzenie, najlepsze z dostępnych na rynku i bardzo kosztowne. Wydawnictwa Podludzi nie używały bynajmniej powielaczy. Otoczyło ich czterech żołnierzy w szarych mundurach i maskach gazowych, wszyscy trzymali śmiercionośne lampy Hoppa. Jeden z nich, w stopniu sierżanta, zapytał... nie zapytał, psiakrew, ale warknął: – Coście za jedni? – Jestem dziewczyną Denny'ego – odparła Charley. – Kto to jest Denny?

–Pan wie – powiedziała Charley gestykulując. – Denny Strong. Działa w tym sektorze, w dystrybucji. Skaner przesunął się tam i z powrotem, sprawdzając ich. Żołnierze naradzali się, mówiąc coś do umieszczonych na ustach mikrofonów, i odbierając dźwięk przez słuchawki, które nosili w prawym uchu. – Dobrze – oznajmił wreszcie dowódca w stopniu sierżanta. Skierował uwagę z powrotem na Nicka i Charley. – Czego tu chcecie? – spytał. – Dachy nad głową przez jakiś czas – odparła Charley. Dowódca zrobił gest w kierunku Nicka. – Kto to?

–Nawrócony. Przystąpił do nas dzisiaj.

–Na skutek zapowiedzi egzekucji Cordona – powiedział Nick. Żołnierz chrząknął i zamyślił się. – Przygarniamy już prawie wszystkich, czy ja wiem... – Zagryzł dolną wargę i zmarszczył brwi. – Pan też chce tu zostać? – spytał Nicka. – Dzień lub dwa. Nie dłużej. Charley powiedziała z przejęciem: – Denny ma te napady psychopatyczne, wie pan, ale w ogóle, jeśli chodzi o uporczywość... – Nie znam żadnego Denny'ego – przerwał jej żołnierz. – Możecie dzielić ten sam pokój? – Chy... chyba tak – odparła Charley. – Tak – powiedział Nick. – Jesteśmy w stanie dać wam schronienie na sie-

8 – Nasi przyjaciele...

demdziesiąt dwie godziny – stwierdził sierżant. – Potem będziecie musieli przenieść się gdzie indziej. – Jak dużą przestrzeń zajmujecie? – spytał Nick. – Cztery przecznice. Uwierzył w to. – To nie jest groszowe przedsięwzięcie – powiedział do żołnierzy. – Gdyby takie było, to nie mielibyśmy większych szans – odparł jeden. – Drukujemy tutaj do miliona broszur. Większość władze ostatecznie konfiskują, ale nie wszystko. Stosujemy zasadę znaną w reklamie: jeśli przeczytają zaledwie jedną pięćdziesiątą, a resztę wyrzucają, to i tak się to opłaca; tak to funkcjonuje. – Co przychodzi od Cordona teraz, kiedy wie, że zostanie stracony? A może nie wie? Powiedzieli mu? – spytała Charley. – Odpowiedź na to pytanie zna personel stacji odbiorczej – odparł żołnierz. – Ale przez kilka najbliższych godzin nie będziemy ich słyszeć; w czasie redakcji materiału mamy na ogół zanik łączności. – A więc nie drukujecie słów Cordona dokładnie tak, jak od niego przychodzą? – spytał Nick. Żołnierze roześmiali się. I nie odpowiedzieli. – On przeskakuje z tematu na temat – wyjaśniła Charley. – Czy będzie jakaś próba agitacji za odroczeniem terminu egzekucji? – pytał dalej Nick. – Wątpię, czy ją postanowiono – odparł jeden z żołnierzy. – Nie odniosłaby żadnego skutku – powiedział 115 drugi. – Ponieśliśmy

kieskę; zabiliby Cordona, a nas wszystkich zamknęli do karnych obozów. – A więc
godzicie się na jego śmierć. – Nie mamy na to wpływu – powiedzieli równocześnie
czterej żołnierze. – Po jego śmierci nie będziecie mieli czego drukować i będziecie
musieli zamknąć drukarnię. Żołnierze znowu się roześmiali. – Dostaliście wiadomość
od Provoniego – powiedziała Charley. Cisza, a potem jeden z żołnierzy, sierżant,
odparł: – Zniekształconą. Ale autentyczną. – Thors Provoni jest w drodze na Ziemię –
szepnął stojący obok żołnierz.

CZEŚĆ DRUGA

XI

–To rzuca nowe światło na sprawy – powiedział ponuro Gram. – Niech pan jeszcze raz odczyta przejętą wiadomość. Dyrektor Barnes czytał z kopii, którą miał przed sobą. – „Znalazłem... którzy... ich pomoc będzie... a ja już...” To wszystko, co udało się odebrać na tyle czysto, by dało się zapisać. Reszta przepadła w zakłóceniach. – Ale są tu wszystkie odpowiedzi – powiedział Gram. – Żyje, wraca, znalazł kogoś, nie coś, ponieważ użył słowa „ich”. Mówi: „ich pomoc będzie...” i chyba brakuje końcówki zdania, która brzmi: wystarczająca albo coś w tym sensie. – Myślę, że jest pan zbyt wielkim pesymistą – odparł Barnes. – Muszę nim być. Mam przecież, u diabła, powody do pesymizmu. Cały czas czekają na wiadomość od Provoniego i teraz przyszła. Za sześć godzin ich drukarnie rozpowszechnią tę nowinę na całej planecie, a my nie mamy możliwości, by im w tym przeszkodzić. – Możemy zbombardować główną drukarnię przy Szesnastej Alei – powiedział Dyrektor Barnes; 118 był za tym całą duszą. Od miesięcy nie mógł się doczekać pozwolenia na zniszczenie wielkiej fabryki Podludzi. – Wstawię to do obwodu telewizyjnego. Na dwie minuty, później znajdziemy przekaźnik i będzie po wszystkim, ale zdążą rozpowszechnić swoją przeklętą wiadomość. – To niech się pan podda – powiedział Barnes. – Nie poddam się. Nigdy. Każę zabić Provoniego w godzinę po jego wylądowaniu na Ziemi i obojętnie, kogo ze sobą sprowadził na pomoc, ich też sprzątniemy. Przeklęte nieludzkie stwory, pewnie mają sześć nóg i ogon, który żądli. Jak skorpion. – I użądla nas na śmierć. – Coś w tym rodzaju – zgodził się Gram. W szlafroku i kapciach, założywszy ręce do tyłu i wypiąwszy brzuch, w ponurym nastroju przemierzał swój sypialny gabinet. – Nie wydaje się panu, że to jest zdrada ludzkiej rasy, Starych, Podludzi, Nowych, Niezwykłych – wszystkich? Sprowadzić na Ziemię niehumanoidalną formę życia, która przypuszczalnie będzie chciała ją skolonizować, kiedy nas już zniszczy? – Chyba, że nas nie zniszczy – zauważył Barnes. – My ją zniszczymy. – W takich sprawach nigdy nic nie wiadomo – odparł Gram. – Mogą zdobyć wsparcie. Musimy temu zapobiec. – Na podstawie rachuby odległości, z jakiej nadeszła wiadomość, wyliczono, że Provoni, ani tamci nie zjawią się tutaj przed upływem dwu miesięcy. 8 119 – Mogą mieć napęd ponadświatlny – zauważył czujnie Gram. – Provoni nie musi lecieć na pokładzie Szarego Dinozaura; może być na jednym z ich statków. I, do diabła, Szary Dinozaur ma wystarczającą szybkość, to był prototyp zupełnie nowej generacji międzygwiazdnych frachtowców; Provoni zwędził pierwszy egzemplarz i prysnął. – Przyznaję – powiedział Barnes – że Provoni mógł zmodyfikować napęd. Zawsze była z niego złota rączka. Nie wykluczałbym tego. – Cordon zostanie natychmiast stracony – powiedział Gram. – Od razu niech się pan do tego weźmie. Powiadom pan media, żeby były obecne. Spędź sympatyków. – Naszych? Czy ich? Gram zaklął. – Naszych. – Czy mógłbym ponadto – spytał Barnes, robiąc zapiski w notatniku – dostać zgodę na

**zbombardowanie drukarni przy Szesnastej Alei? – Jest odporna na bomby. –
Niezupełnie. Dzieli się jak ul na... – Wiem o niej wszystko... od miesiący czytam
pańskie cholerne wypociny, pańskie nudne memoranda w tej sprawie. Uwziąłeś się
pan na tę drukarnię przy Szesnastej Alei czy jak? – A nie powinienem? Nie należało
jej dawno zniszczyć? – Coś mnie od tego powstrzymuje – powiedział Gram. – Co? –
zdziwił się Barnes.**

–Kiedyś tam pracowałem – odparł po chwili Gram. – Zanim wybiłem się w Służbie Publicznej. Byłem szpiclem. Znam tam prawie wszystkich; swego czasu byli moimi przyjaciółmi. Nigdy się o mnie nie dowiedzieli... wyglądałem inaczej niż teraz. Miałem sztuczną głowę. – Chryste. – Co jest? – spytał Gram. – Ależ to po prostu... nonsens. Nie działamy już w ten sposób; nie robimy tego, odkąd objąłem urząd. – Zgoda, ale to było, zanim objąłeś pan urząd. – No więc dalej nic nie wiedzą. – Dam panu upoważnienie na zburzenie muru drukarni i aresztowanie wszystkich obecnych – powiedział Gram. – Ale nie pozwolę ich zbombardować. Przekona się pan jednak, że miałem rację; to nie robi najmniejszej różnicy; wiadomość o Provonim wyemitują na falach radiowych. W przeciągu dwu minut informacja ta obiegnie całą Ziemię, w przeciągu dwu minut. – Jak tylko ich przekaźnik włączy się na nadawanie... – Dwie minuty. Zdążą. Barnes skinął głową. – Zatem pan wie, że mam rację. Tak czy owak, niech pan się zabiera do egzekucji Cordona; ma być po wszystkim przed szóstą wieczorem, naszego czasu. – A ta sprawa ze snajperem i Irmą... – Zapomnij pan o tym. Po prostu wykończ Cordona. Ją załatwimy później. Może którejs z tych nie- 8 121 humanoidalnych form uda się ją rozgnieść swoim workowatym, protoplazmatycznym ciałem. Barnes roześmiał się. – Ja nie żartuję. – Ma pan niesamowitą wizję, jak niehumanoidzi będą wyglądać. – Jak balony – odparł Gram. – Będą wyglądać jak balony. Tyle że z ogonami. Właśnie na ogony trzeba uważać, tam jest jad. Barnes wstał. – Czy mogę odejść i rozpocząć przygotowania do egzekucji Cordona? I ataku na drukarnię Podludzi przy Szesnastej Alei? – Tak – powiedział Gram. Zatrzymawszy się przy drzwiach, Barnes spytał: – Chciałby pan być przy egzekucji?

–Nie.

–Mógłbym kazać postawić specjalny boks, w którym nikt by pana nie widział, pan zaś... – Obejrzę ją w zamkniętym obwodzie telewizyjnym. Barnes przymrużył oczy. – A więc nie chce pan tego transmitować przez zwykłą sieć planetarną? Żeby wszyscy widzieli? – Ach tak – mruknął ponuro Gram, kiwając głową. – Oczywiście, to jest część planu, prawda? W porządku, obejrzę ją zwyczajnie, jak każdy inny. To mi wystarczy. – A co do drukarni przy Szesnastej Alei... zrobię listę zatrzymanych i będzie mógł pan ją przejrzeć... 122 – I sprawdzić, ilu starych przyjaciół znalazło się na niej – dokończył Gram. – Może zechce ich pan odwiedzić w więzieniu. – W więzieniu! Czy wszystko musi kończyć się więzieniem bądź egzekucją? Czy to w porządku? – Jeśli chodzi panu o to, czy to się zdarza, to odpowiedź brzmi tak. Ale jeśli... – Pan wie, o co chodzi. Barnes powiedział z rozważą: – My tu prowadzimy wojnę domową. W swoim czasie Abraham Lincoln więził ludzi całymi tysiącami, bez sądu, a mimo to pozostał w ludzkiej pamięci jako jeden z największych amerykańskich prezydentów. – Ale zawsze okazywał ludziom łaskę. – Pan też może. r

–Świetnie – oznajmił spokojnie Gram. – Uwolnię tych wszystkich z drukarni przy Szesnastej Alei, których znałem. I nigdy nie dowiedzą się dlaczego. – Dobry z pana człowiek, panie Przewodniczący – powiedział Barnes. – Żeby rozciągnąć swą lojalność nawet na tych, którzy dziś aktywnie działają przeciw panu. – Jestem obleśną świnia – zgrzytnął Gram. – Pan to wie i ja to wiem. Po prostu... niech to wszyscy diabli. Przeżyliśmy razem wspaniałe chwile; mieliśmy kupę śmiechu z tego, cośmy drukowali. Śmiechu, bo pakowaliśmy w to zabawne rzeczy. Teraz wszystko jest takie napuszone i nudne. Ale za moich czasów... ach, niech to diabli. – Umilkł. Co ja tu robię, zada- 123 wał sobie pytanie. Jak doszedłem do takiego stanowiska, z tą całą władzą? To nie było moim przeznaczeniem. Z drugiej strony, pomyślał, może i było. Thors Provoni zbudził się. I nie widział niczego prócz otaczającej go głębokiej ciemności. Jestem w jego wnętrzu, uświadomił sobie. – To prawda – odezwał się Frolixianin. – Zaniepokoiłem się, kiedy zasnąłeś... jak to określasz. – Morgo Rahn Wilc – powiedział w mrok Pro-voni. – Niepotrzebnie się zamartwiasz. My śpimy co dwadzieścia cztery godziny; od ośmiu do... – Wiem o tym – odparł Morgo. – Pomyśl jednak, jak to wygląda; stopniowo tracisz osobowość, twoje serce bije coraz wolniej, spada ci tętno... to bardzo przypomina śmierć. – Przecież wiesz, że nie umieram. – Chodzi o wielkie zmiany w funkcjonowaniu psychiki, to nas niepokoi. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, lecz w czasie, kiedy śpisz, ma miejsce gwałtowna i niezwykła aktywność psychiczna. Po pierwsze, wkraczasz do świata, który w pewnym stopniu jest ci znany... w swoim umyśle przebywasz wśród prawdziwych przyjaciół, wrogów i postaci z życia towarzyskiego, a wszyscy mówią i działają. – Innymi słowy – zauważył Provoni – marzenia senne. – Ten rodzaj marzeń sennych stanowi jakby rodzaj podsumowania dnia, tego co robiłeś, o kim myślałeś, z kim rozmawiałeś. To nie budzi naszego nie-124 pokoju. Chodzi o następną fazę. Opadasz na niższy wewnętrzny poziom; stykasz się z osobami, których nigdy nie znałeś, sytuacjami, w jakich nigdy nie byłeś. Zaczyna się rozpad twojej jaźni, siebie jako takiego; stapiasz się z przedwiecznymi istotami o boskiej naturze, posiadającymi ogromną moc; kiedy tam jesteś, znajdujesz się w niebezpieczeństwie... – Zbiorowej podświadomości – powiedział Pro-voni. – Którą odkrył Carl Jung, największy z ludzkich myślicieli. Odreagowanie poza moment urodzenia, cofnięcie się do innego życia, do innych miejsc... zamieszkanym przez archetypy, to co Jung... – Czy Jung zwrócił uwagę, że któryś z tych archetypów może kiedyś cię pochłonąć? I że twoja jaźń nie wróci już nigdy do wcześniejszej formy? Staniesz się tylko mówiącym, chodzącym przedłużeniem owego archetypu? – Oczywiście, że podkreślił. Ale to nie nocą podczas snu bierze górę archetyp, tylko w dzień. Kiedy pojawiają się w dzień, wtedy koniec z tobą. – Innymi słowy, kiedy śpisz na jawie. – Właśnie – niechętnie zgodził się Provoni. – A więc, kiedy śpisz, musimy cię chronić. Dlaczego się sprzeciwiasz, gdy cię w tym czasie owijam? Zależy mi na twoim życiu; jesteś tak skonstruowany, że poświęciłbyś je bez wahania. Twoja wyprawa do naszego świata, to strasznie ryzykowne przedsięwzięcie, które nie powinno ci się udać z punktu widzenia statystyki. – A jednak się udało. Kiedy Frolixianin odstąpił od niego, ciemność 125

stopniowo się rozproszyła. Dostrzegł metalowe poszycie statku, wielki kosz używany jako hamak, przymknięty włącz do sterowni. Jego statek, Szary Dinozaur: jego świat od tak dawna. Jego kokon, w którym przespał kawał czasu. Jakże zdziwiono by się, pomyślał, widząc jego, fanatyka, rozciągniętego w tym hamaku z tygodniowym zarostem na twarzy, włosami do ramion, ciałem lepiącym się od brudu, w przegniłym i jeszcze bardziej lepiącym się od brudu ubraniu. Oto on, zbawiciel ludzkości. Albo raczej pewnej części rodzaju ludzkiego. Tej, która była uciśniona aż... co jest z nią teraz, myślał. Czy Podludzie znaleźli jakieś poparcie? Czy też większość społeczeństwa pogodziła się ze swym gorszym statusem? Co z Cordonem, myślał. A jeśli wielki mówca i pisarz nie żyje? To na pewno wszystko umarło razem z nim. Ale oni już wiedzą, w każdym razie moi przyjaciele, że znalazłem pomoc, jakiej nam trzeba, a także, że wracam. Chyba odebrali moją wiadomość. I chyba umieli ją rozszyfrować. Ja, zdrajca, myślał. Z wizytą po pomoc u nieludzkiej rasy. Odkrywający Ziemię dla inwazji stworzeń, które inaczej w ogóle by jej nie zauważyły. Czy przejdę do historii jako najgorszy wśród ludzi, czy jako zbawiciel? Czy też może coś mniej skrajnego, coś pośredniego między jednym a drugim. Temat hasła na ćwierć strony w Encyclopaedia Britannica. – Jak możesz nazywać siebie zdrajcą, panie Pro-voni? – spytał Morgo. – Faktycznie, jak? 126 – Zostałeś nazwany zdrajcą. Zostałeś nazwany zbawicielem. Sprawdziłem każdą cząsteczkę twego świadomego ja i nie znalazłem śladu pychy; odbyłeś ciężką podróż, w zasadzie bez nadziei na sukces, i robiłeś to z jednego tylko powodu: żeby pomóc swoim przyjaciołom. Czyż nie napisano w jednej z waszych ksiąg mądrości: „Jeśli człowiek poświęca życie dla przyjaciela...” – Nie potrafisz dokończyć tego cytatu – odparł ubawiony Pro-voni. – Nie, ponieważ sam go nie znasz, a jesteśmy zdani wyłącznie na twój umysł... na jego zawartość, opuszczając się aż na poziom zbiorowy, który nas tak martwi nocą. – Parvor nocturnus – powiedział Pro-voni. – Lęk nocny; wy macie jakąś fobię. Wygramolił się niepewnie z hamaka i wstał czując zawroty głowy i chwiejąc się na nogach, następnie powlókł się do przegrody z jedzeniem. Nacisnął klawisz, ale nic nie wypadło. Nacisnął drugi. To samo. Wtedy wpadł w panikę; naciskał klawisze na chybił trafił... i wreszcie do pojemnika zsunęła się kostka z żelazną porcją. – Wystarczy ci na powrót na Ziemię, panie Pro-voni – zapewnił go Frolixianin. – Ale ledwo, ledwo – mruknął ze złością przez zaciśnięte zęby. – Znam obliczenia; kilka ostatnich dni może będę musiał przemęczyć się bez jedzenia. A wy się martwicie o mój sen; Chryste, jeśli musicie się czymś martwić, to martwcie się o moje flaki. – Przecież wiemy, że nic ci nie będzie. 8 127

–To dobrze – powiedział Pro-voni.

Otworzył kostkę z posiłkiem; zjadł, popił filiżanką redestylowanej wody, wzdrygnął się i pomyślał, czy nie warto umyć zębów. Cuchnę, powiedział do siebie. Od stóp do głów. Wpadną w przerażenie. Będę wyglądał jak człowiek zamknięty przez miesiąc w łodzi podwodnej. – Zrozumieją dlaczego – powiedział Morgo. – Chcę wziąć prysznic. – Mamy za mało wody.

–Nie mógłbyś... postarać się o więcej? W jakiś sposób?

W przeszłości Frolixianin często zaopatrywał go w składniki chemiczne, w klocki, których Provoni potrzebował do budowy bardziej skomplikowanych struktur. Jeśli potrafił robić takie rzeczy, na pewno mógł także zsyntetyzować wodę... tam, dookoła Szarego Dinozaura, gdzie się ulokował. – Dla mojego własnego systemu somatycznego też brakuje wody – odparł Morgo. – Zastanawiałem się, czy ciebie o nią nie poprosić. Provoni roześmiał się. – Co w tym zabawnego? – spytał Frolixianin. – Oto my, w próżni między Proximą a Słońcem, mknący, by ocalić Ziemię od despotyzmu władającej nią elitarnej oligarchii, gorliwie staramy się wyżebrać jeden od drugiego parę szklanek wody. Jak zamierzamy uratować Ziemię, skoro nie potrafimy nawet zsyntetyzować wody? – Pozwól, że opowiem ci legendę o Bogu – powiedział Morgo. – Na początku Bóg stworzył jajo, 128 ogromne jajo, z żywą istotą w środku. Starał się rozbić skorupę, żeby ją, najprawdziwszą żywą istotę, wypuścić. Ale nie potrafił. Za to istota, którą On stworzył, miała ostry dziób, zbudowany właśnie do tego celu, i wykuła sobie drogę na zewnątrz. I odtąd... wszystkie żywe istoty mają wolną wolę. – Dlaczego? – Ponieważ to my rozbiliśmy jajo, a nie On. – Czemu daje nam to wolną wolę?

–Dlatego, u diabła, że możemy robić to, czego On nie może. – Aha. – Provoni skinął głową, uśmiechając się szeroko, ubawiony idiomatyczną angielszczyzną Morgo, wyuczoną rzecz jasna od niego samego. Frolixianin znał terrańskie języki tylko w takim stopniu, w jakim znał je on: w umiarkowanym zakresie angielski – ale nie tak szerokim, jakim władał Cor-don – oraz nieco łaciny, niemieckiego, włoskiego. Frolixianin umiał powiedzieć po włosku „do widzenia” i sprawiał wrażenie, że lubi to robić; zawsze wyłączał się uroczystym ciao. On sam wołał „cześć pracy!”, ale Frolixianie najwyraźniej uznawali to wyrażenie za niekulturalne... i to według jego własnych kryteriów. To było powiedzenie ze Służby, którego nie mógł się wyzbyć. Tak, tyle jeszcze było w jego umyśle skaczących fragmentów myśli i idei, wspomnień i lęków – takie gniazdo pcheł – które znalazły sobie najwidoczniej stałą siedzibę. Od Frolixian zależało, by to wszystko uporządkować, czego też, jak się wydawało, dokonali. – Wiesz – odezwał się Provoni – kiedy dotrze- 8

my na Ziemię, znajdę sobie gdzieś butelkę brandy. I usiądę na schodach... – Na jakich schodach? – Widzę właśnie ogromny szary gmach publiczny, taki jak Budynek Służby Skarbowej, naprawdę coś strasznego, i widzę siebie, siedzącego na schodach w starej ciemnoniebieskiej marynarce, pijącego brandy. Właśnie tam, pod gołym niebem. I ludzie będą przechodzić obok szepcząc: „Patrzcie, ten facet pije w miejscu publicznym.” A ja na to: „Nazywam się Thors Provoni.” A wtedy oni powiedzą: „Zasługuje na to. Nie wydamy go.” I nie wydadzą. – Nie zostaniesz aresztowany, panie Provoni – powiedział Morgo. – Ani wtedy, ani kiedykolwiek indziej. Będziemy przy tobie od chwili, kiedy wylądujesz. Nie tylko ja, jak teraz, lecz również moi bracia. Braterstwo. A oni... – Zajmą Ziemię. A potem wyplują mnie, abym umarł. – Nie, nie. Przecież umówiliśmy się co do tego. Nie pamiętasz? – Mogłeś kłamać. – My nie umiemy kłamać, panie Provoni. Już ci to wyjaśniłem, razem z moim szefem, Granem Ce Wanhem. Jeśli mi nie wierzysz i nie wierzysz jemu, istocie żyjącej od ponad sześciu milionów lat... – W głosie Frolixianina słychać było irytację. – Uwierzę – powiedział Provoni – jak zobaczę. W ponurym nastroju wypił drugą filiżankę redesty-lowanej wody, nie zważając na to, że nad zbiornikiem paliła się czerwona lampka... i nie gasła już od tygodnia.

XII

Kurier specjalny oddał Willisowi Gramowi honory i powiedział: – To przyszło z oznaczeniem Kod Jeden, do natychmiastowego przeczytania, gdyby pan zechciał, z całym szacunkiem panie Przewodniczący. Chrząknąwszy Gram otworzył kopertę. Na pojedynczej kartce zwykłego, szesnastkowego papieru było jedno zdanie wystukane na maszynie: Nasz agent z drukarni przy Szesnastej Alei donosi o powtórnym zgłoszeniu się Provoniego, oraz że mu się powiodło. Na złamany kark mojej matki, powiedział do siebie Gram. Powiodło mu się. Uniósł wzrok na kuriera i powiedział: – Przynieś mi trochę czystego chlorowodoru metamfetaminy. Wezmę go doustnie w kapsułce; dopilnuj, żeby to była kapsułka. Trochę zdziwiony, kurier zasalutował jeszcze raz. – Tak jest, panie Przewodniczący. Opuścił biuro sypialne i Gram został sam. Zabiję się, powiedział do siebie. Popadł w depresję, która rozsadzała go od wewnątrz, póki nie oklapł jak prze- 8 131 kłuty balon. Jeszcze przed śmiercią Cordona, myślał. No dobra, bierzemy się do Cordona. Nacisnął guzik interkomu. – Przyślij mi oficera; jakiego bądź, wszystko mi jedno. – Tak jest. – Niech weźmie ze sobą spluwę. Pięć minut później do pokoju wszedł nienagannie ubrany oficer i elegancko, służbiście strzelił w daszek. – Tak jest, panie Przewodniczący. – Pójdzie pan do więziennej celi Erica Cordona w urządzeniach Long Beach i osobiście, ze swojego własnego pistoletu, tego, który widzę przy pańskim pasie, zastrzeli Cordona – powiedział Gram i wyciągnął kartkę papieru. – Tu ma pan moje upoważnienie. – Czy jest pan pewny... – zaczął oficer. – Jestem – przerwał mu Gram. – Chodzi mi o to,

panie Przewodniczący, czy jest pan pewny... – Jeśli pan nie chce, to pójdę sam. Niech pan już idzie – powiedział Gram. Machnął niecierpliwie ręką w stronę głównych drzwi gabinetu. Major wyszedł. Żadnej transmisji telewizyjnej, powiedział do siebie. Żadnej publiczności. Jedynie dwóch mężczyzn w celi. No cóż, Provonie mnie zmusza do tego czynu; nie mogę mieć tu ich obu równocześnie. W pewnym sensie Cordona faktycznie zabija Provonie. Ciekawe, co za formy życia tam znalazł? zadawał sobie pytanie. 132 Sukinsyn,, pomyślał. Pstrykał klawiszami przeklinając, wreszcie udało mu się trafić na ten, który włączał kamerę ustawioną w celi. Chuda, ascetyczna twarz, szare okulary, posiwiałe, już coraz rzadsze włosy... profesorek uniwersytecki, co to lubi pisać, myślał Gram. No dobrze, przyjrzyjmy się osobiście, jak ten major – czy kim on tam jest – będzie załatwiał Cordona. Na ekranie Cordon sprawiał wrażenie, że śpi... ale prawdopodobnie dyktował do drukarni przy Szesnastej Alei. Emanuj swoje liturgie, myślał ponuro Gram i czekał. Minął kwadrans. Nic się nie wydarzyło; Cordon nie przestawał emanować. Nagle, zaskakując zarówno Cordona jak i Grama, drzwi celi odsunęły się. Schludny, wymuskany major wkroczył dziarsko do środka. – Wy jesteście Cordon Eric? – zapytał. – Tak – powiedział Cordon wstając. Major, młody facet, naprawdę, ze ściągniętą twarzą o ostrych rysach, sięgnął po broń. Wyciągnął spluwę mówiąc: – Z upoważnienia Przewodniczącego otrzymałem instrukcje, aby udać się do waszej celi i was zastrzelić. Chcecie zobaczyć to upoważnienie? – Włożył rękę do kieszeni. – Nie – powiedział Cordon. Major wypalił z pistoletu. Cordon przewrócił się do tyłu pchnięty wiązką niszczycielskiej energii, która przeniosła go ruchem ślizgowym pod przeciwległą ścianę. Potem powoli osunął się na podłogę, siadając 8 133 niczym wyrzucona lalka – z rozłożonymi nogami, opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Odezawszy się do odpowiedniego mikrofonu przed swoją twarzą, Gram rzekł do oficera: – Dziękuję, majorze. Może pan odejść. To wszystko. A propos, jak się pan nazywa? – Wadę Ellis – odparł major. – Otrzyma pan pochwałę – dodał Gram i przerwał połączenie. Wadę Ellis, powiedział do siebie. Stało się. Odczuwał... co? Ulgę? Naturalnie. Na Boga, pomyślał, jakie to proste. Wydajesz rozkaz oficerowi, którego nigdy w życiu nie widziałeś, którego imienia nawet nie znasz, aby poszedł zabić jednego z najbardziej wpływowych ludzi na Ziemi. I on go zabija! W jego umyśle pojawił się przerażający, wyimaginowany dialog. Wymiana słów przebiegała tak: Osoba A: Siemasz, nazywam się Willis Gram. Osoba B: A ja Jack Kvetck. Osoba A: Zdaje się, że jesteś majorem w wojsku?

Osoba B: Załóż się pan o swego fiuta.

Osoba A: Słuchaj no, majorze Kvetck, nie rozwaliłbyś kogoś dla mnie? Zapomniałem, jak on się nazywa... czekaj pan, przejrzę ten stos papierów. I tak dalej. Drzwi gabinetu otworzyły się raptownie; szef policji Lloyd Barnes wpadł jak bomba do pokoju, czerwony na twarzy z gniewu i niedowierzania. – Pan przed chwilą... – Wiem – powiedział Gram. – Musisz mi pan mówić? Sądzisz, że nie wiem? 134 – A więc to naprawdę był pański rozkaz, jak powiedział komendant więziennych koszar. –

Mój – rzekł z absolutnym spokojem Gram. – I co pan czuje? – Słuchaj no pan – odparł Gram. – Nadeszła kolejna wiadomość od Provoniego. Wyraźnie stwierdza, że wiezie ze sobą nieterrańską formę życia. To nie domysły, to fakty. – Pan się po prostu bał, że nie poradzi sobie równocześnie z Cordonem i Provonim! – zawołał z furią Barnes. – A żebyś pan wiedział, do diabła! Zgadza się! – ryknął wściekle Gram, grożąc Barnesowi palcem. – To prawda, tak się sprawy mają w wielkim skrócie. A więc nie zamęczaj mnie pan; to było konieczne. Czy ty, czy wy wszyscy nadrozwinięci Nowi o podwójnych mózgownicach dalibyście sobie radę z nimi dwoma, działającymi na Ziemi ręka w rękę? Odpowiedź brzmi nie. – Odpowiedzią byłaby zgodna z prawem egzekucja – odparł Barnes. – Z zachowaniem wszelkich obowiązujących zasad. – I kiedy podajemy mu ostatni posiłek czy co tam jeszcze, jakaś gigantyczna świecąca istota w kształcie ryby ląduje w Cleveland, porywa wszystkich Nowych i Niezwykłych, po czym urządza rzeź. Racja? – Czy zamierza pan ogłosić stan pogotowia ogólnoplanetarnego? – zapytał po chwili Barnes. – S.O.S.? – Tak, najwyższego stopnia.

Gram rozważył swoją odpowiedź.

–Nie. Zaalarmujemy wojsko, policję, a potem tych Nowych i Niezwykłych, którzy zajmują kluczowe stanowiska – mają prawo znać sytuację na bieżąco. Za to ani słowa pieprzonemu motłochowi, tym wszystkim Starym i Podludziom. I tak da im znać drukarnia przy Szesnastej Alei, pomyślał. Obojętnie, jak szybko ją zaatakujemy. Wystarczy, że przetelegrafują wiadomości od Provo-niego do zdalnych przekaźników i pomniejszych drukarń... co na pewno już zrobili, do wszystkich diabłów. – Oddział komandosów, Zieloni A, wspierani przez B i C, są w drodze do drukarni przy Szesnastej Alei. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć – powiedział Barnes i zerknął na zegarek. – Z grubsza za pół godziny zaatakują pierwszą linię obrony. Załatwiliśmy pokrycie akcji w zamkniętym obwodzie telewizyjnym, tak że będzie pan mógł wszystko obejrzeć. – Dziękuję. – To była ironia? – Nie, nie – odparł Gram. – Mówię to, co myślę; powiedziałem dziękuję, więc miałem na myśli dziękuję. – Podniósł głos. – Dlaczego wszystko musi mieć podwójne znaczenie? Kim jesteśmy? Banda terrorystów, którzy skradają się w ciemności z bombą pod pachą i rozmawiają szyfrem? Tak? Czy rządem? – Jesteśmy legalnym, funkcjonującym rządem – powiedział Barnes. – Który stoi w obliczu wewnętrznego buntu oraz inwazji z zewnątrz. Podejmujemy 136 środki zaradcze na obu kierunkach. Przykładowo, możemy w dalekim Kosmosie rozmieścić statki patrolowe, skąd zdołają swoimi rakietami dosięgnąć Szarego Dinozaura z Provonim, gdy znajdzie się w Układzie Słonecznym. Możemy... – To decyzja o charakterze militarnym, nie należy ona do pana. Zwołam w Czerwonym Gabinetcie posiedzenie Najwyższej Rady Pokoju... – spojrzał na zegarek, omegę -... o trzeciej. Wcisnął przełącznik na biurku. – Tak, słucham. – Trzeba zwołać zebranie Szefów w Czerwonym Gabinetcie dziś o trzeciej po południu. Priorytet Klasy A – powiedział Gram i skierował swoją uwagę ponownie na Barnes'a. – Wygarniemy tyłu Podludzi, ilu się da – odezwał się Barnes. – Doskonale. – Czy mam zgodę na zbombardowanie również ich pozostałych drukarń? Przynajmniej tych, które znamy? – Doskonale – powtórzył Gram. – Nadal wyczuwam ironię w pańskim głosie – powiedział niepewnie Barnes. – Jestem po prostu cholernie, cholernie zły – odparł Gram. – Jak człowiek może prowokować sytuację, w której niehumanoidalne formy życia... ach, niech to diabli. Umilkł. Barnes czekał przez jakiś czas, następnie wyciągnął rękę, aby włączyć jeden z monitorów naprzeciw Grama. 8 137 Ekran ukazywał oddziały szturmowe strzelające miniaturowymi pociskami w rekseroidowe drzwi. Wszędzie było widać dym i uzbrojoną policję. – Jeszcze nie weszli – powiedział Gram. – Re-kseroid... to twarda substancja. – Dopiero zaczęli. Rekseroidowe drzwi uległy dezintegracji, zamieniając się w stopione potoki, które rozpryskiwały się w powietrzu w postaci ognistych

kuleczek, przypominając ptaki na marsjańskim niebie. Rozlegały się odgłosy strzałów, klak-klak-klak, oddawanych przez policję i przez tych, którzy okazali się umundurowanymi żołnierzami w środku. Zaskoczeni policjanci rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia, po czym rzucali granaty z gazem paraliżującym i tym podobne rzeczy. Wszystko ginęło w dymie, powoli jednak stało się jasne, że policja posuwa się naprzód. – Brać sukinsynów – krzyknął Gram, kiedy dwuosobowa obsługa bazuki wypuściła pocisk wprost na oddział żołnierzy w głębi. Nabój przeleciał obok nich i eksplodował wewnątrz wielkiego skupiska maszyn drukarskich. – Idą prasy – powiedział Gram radośnie. – No, to ich mamy. Policja przeniknęła już do centralnego pomieszczenia samej drukarni. Kamera telewizyjna posuwała się w ślad za nimi, skupiając się na starciu między dwoma policjantami w zielonych mundurach a trzema żołnierzami w szarych. Poziom hałasu opadał. Oddawano coraz mniej 138

strzałów i coraz mniej ludzi poruszało się na ekranie. Policja zaczęła wygarniać obsługę drukarni, nie przerywając wymiany ognia z kilkoma żyjącymi i uzbrojonymi żołnierzami Podludzi.

XIII

Nick Appleton i Charley siedzieli nieruchomo w małym, prywatnym pokoiku, który oddał im personel drukarni, żadne z nich się nie odzywało; w milczeniu przysłuchiwali się odgłosom walki. Już po azylu na siedemdziesiąt dwie godziny, pomyślał Nick. Nie dla nas, ani trochę. To koniec. Charley pocierała swoje zmysłowe usta, nagle gwałtownie ugryzła się w rękę. – Jezu – powiedziała. – Jezu! – krzyknęła, zrywając się na nogi jak dzika kotka. – Nie mamy szans! Nick milczał. – Odezwij się! – parsknęła, twarz jej szpeciła bezsilna wściekłość. – Powiedz coś! Potęp mnie, bo to ja przyprowadziłam cię tutaj, powiedz cokolwiek... nie siedź tak, gapiąc się na te przeklęte drzwi. – Nie potępiam ciebie – skłamał Nick. Ale nie było sensu jej winić; skąd miała wiedzieć, że policja nagle zaatakuje drukarnię. Przecież nigdy przedtem to się nie zdarzyło. Po prostu wyciągnęła wniosek ze znanych jej faktów. Drukarnia stanowiła przytułek; wielu ludzi przychodziło tutaj i odchodziło. Władze wiedziały cały czas, myślał Nick. Robią to teraz z powodu wiadomości o powrocie Provoniego. 140 Cordon. Boże, pomyślał. Boże, któryś jest w niebie, na pewno od razu zabili Cordona. Sygnał o powrocie Provoniego wywołał kompleksowy, ogólnoplanetarny nalot, precyzyjnie zaplanowany przez władze. Z pewnością robią obławę na wszystkich Podludzi, na których coś mają. I muszą z tym zdążyć – zbombardować drukarnię, wygarnąć Podludzi, zabić Erica Cordona – przed wylądowaniem Provoniego. To ich zmusiło do wcześniejszego odkrycia kart, do wytoczenia swej naprawdę ciężkiej artylerii. – Słuchaj – powiedział, podnosząc się z miejsca i stając obok Charley; objął ją i przytulił jej drobne, twarde ciało do siebie. – Spędzimy jakiś czas w obozie, ale wreszcie, kiedy to się skończy tak czy inaczej... Otworzyły się drzwi. Stał w nich gliniarz, którego mundur pokrywały szare ziarenka przypominające pył – spopielona ludzka kość – mierząc do nich ze strzelby Hoppa typu B-14. Nick natychmiast uniósł ręce, a później chwycił ramiona Charley i podciągnął je szeroko do góry, rozwierając dziewczynie palce, aby pokazać, że nie ma broni. Gliniarz wystrzelił do Charley; opadła bezwładnie na Nicka. – Nieprzytomna – powiedział funkcjonariusz. – Niezmacona głębia. I strzelił z B-14 do Nicka.

XIV

Przyglądając się z uwagą ekranowi telewizyjnemu, szef policji Barnes powiedział: – A więc 3XX24J. – Co to jest? – spytał ze złością Gram. – W tym pokoju: ów mężczyzna z dziewczyną. Parka, którą właśnie położył zielony. To była ta przykładowa osoba, o której komputer sądzi, że... – Próbuję wypatrzyć jakichś starych kumpli – powiedział Gram ucinając rozmowę. – Zamknij się pan i patrz, tylko patrz. A może proszę o zbyt dużo? Barnes odparł sucho: – Komputer z Wyoming wyselekcjonował go jako typowego Starego, który z powodu komunikatu o zbliżającej się egzekucji Cordona przejdzie, i przeszedł, do Podludzi. Już go złapaliśmy, choć w dziwnych okolicznościach. Nie sądzę, żeby to była jego żona. A więc, co komputer by powiedział... – Zaczął przemierzać pokój. – Jak by zareagował na fakt, że złapaliśmy go? Że jesteśmy w posiadaniu reprezentacyjnej próbki Starych, która... – Dlaczego pan mówi, że nie jest jego żoną? – spytał Gram. – Myśli pan, że on mieszka z tą dziwką, że nie tylko przyłączył się do Podludzi, ale także porzucił żonę i zdążył znaleźć sobie inną kobie-142 tę? Zapytaj pan o to komputer; zobaczymy, co mu z tego wyniknie. – Dziewczyna, pomyślał, jest ładna, o trzpiotowatej urodzie. Hmm. – Mógłby pan dopilnować, żeby dziewczynie nic się nie stało? – spytał Barnes. – Może pan się połączyć z komandosami w drukarni? Sięgnąwszy do pasa, szef policji Barnes podniósł ku ustom mikrofon i powiedział: – Proszę się zgłosić, kapitanie Malliard. – Tak, tu Malliard, szefie. – Zdyszany, zasapany głos, świadczący o wielkim podnieceniu i stresie. – Przewodniczący prosi, abym pana poprosił, żeby pan dopilnował, by temu mężczyźnie i dziewczynie... – Tylko dziewczynie – poprawił Gram. – ... by wziąć pod ochronę tę dziewczynę z tylnego pokoju, którą przed chwilą położył zielony ze strzelby paraliżującej Hoppa B-14. Popatrzmy, spróbuję ustalić współrzędne. – Barnes spoglądał na ekran jak sowa, bokiem. – Współrzędne trzydzieści cztery, dwadzieścia jeden, następnie albo dziewięć, albo dziesięć. – To będzie na prawo i trochę do przodu od naszych pozycji – powiedział Malliard. – Tak. Natychmiast się nią zajmę. Wykonaliśmy dobrą robotę, szefie – w dwadzieścia minut przejęliśmy faktyczną kontrolę nad drukarnią, przy minimalnych stratach z obu stron. – Miej pan oko na dziewczynę – rozkazał Barnes i odłożył mikrofon na miejsce przy pasie. 8 143 – Jest pan obwieszony narzędziami jak monter telefonów – powiedział Gram. Barnes odparł lodowato: – Pan znowu to robi. – Co znowu robię? – Płacze pan prywatne życie z publicznym. Ta dziewczyna.

–Ma dziwną twarz. Z dołeczkami, jak irlandzka trusia.

–Panie Przewodniczący, czeka nas inwazja obcych form życia; czeka nas rewolucja, która może... – Taką dziewczynę spotyka się raz na dwadzieścia lat – powiedział Gram. – Mogę o coś prosić? – spytał Barnes. – Jasne. – Willis Gram odzyskał dobre samopoczucie; wysoka skuteczność policji w zajmowaniu drukarni przy Szesnastej Alei sprawiła mu przyjemność, a na widok niezwyklej dziewczyny starter jego libido przeskoczył na pozycję „włączony”. – O co? – Chciałbym, aby pan pogadał, w mojej

obecności, z tym człowiekiem, z tym mężczyzną z 3XX24J... chcę się dowiedzieć, czy dominują w nim uczucia pozytywne, wynikające z faktu, że odebrali wiadomość od Provoniego i że Provoni sprowadza ze sobą pomoc, czy też jego morale jest złamane wskutek wpadki w czasie obławy policyjnej. Innymi słowy... – Próbkowanie uśrednione – powiedział Gram. – Tak. – Dobrze. Przyjrzę mu się. Ale lepiej z tym nie

zwlekać; lepiej to zrobić nim przyleci Proveni. Wszystko należy zrobić, zanim przyleci Proveni ze swoimi potworami. Potworami – powtórzył i potrząsnął głową. – Cóż za renegat. Cóż za bezlitosny, pospolity, samolubny, ambitny, żądny władzy, niegodziwy renegat. Powinien przejść do potomności w książkach historycznych z taką wzmianką o sobie. – Spodobał mu się własny opis Provoniego. – Zanotuj to – polecił Barnesowi. – Każę to wprowadzić do najbliższego wydania Britanniki, tak jak powiedziałem. Słowo w słowo. Westchnąwszy, szef policji Barnes wyjął notes i starannie zapisał zdanie. – Dodaj jeszcze i to – ciągnął Gram. – Zaburzona psychika, fanatycznie radykalna kreatura... zanotuj: kreatura, nie człowiek, która uważa, że cel uświęca środki. A co jest celem w tym wypadku? Zniszczenie systemu, dzięki któremu władza trafia i utrzymuje się w rękach ludzi tak skonstruowanych biologicznie, by mieć zdolność rządzenia. Systemu, w którym rządzą najbardziej kompetentni, a nie najpopularniejsi. Którzy są lepsi, najbardziej kompetentni czy najpopularniejsi? Malliard Fillmore był popularny. I Rutheford B. Hayes. I Churchill. I Lyons. Nie byli jednak kompetentni, a to jest przecież sedno sprawy. Rozumiesz pan? – Na czym polegała niekompetencja Churchilla? – Opowiadał się za zmasowanymi nocnymi bombardowaniami wielkich miast, ludności cywilnej zamiast uderzeń na kluczowe cele militarne. Przedłużyło to drugą wojnę światową o rok. 8 145 – Tak, rozumiem – powiedział Dyrektor Barnes. Nie potrzebuję lekcji praw i obowiązków obywatelskich, pomyślał... którą to myśl natychmiast odebrał Gram. Tę, jak również mnóstwo innych. – Spotkam się z tym gościem z 3XX24J dziś o szóstej wieczorem naszego czasu – powiedział Gram. – Przyrowadź go pan. Przyrowadź oboje, dziewczynę również. Złowił bardziej niemiłe, krytyczne myśli Barnes'a, ale je zignorował. Jak większość telepatów nauczył się ignorować w ludziach większość przelotnych myśli: wrogość, nudę, całkowitą odrazę, zawiść. Myśli, jakich wielu sama osoba nie jest świadoma. Telepata musiał się nauczyć gruboskórności. W istocie musiał nauczyć się odnosić do świadomych, faktycznych myśli człowieka, a nie do mgliście definiowanej mieszanki procesów zachodzących w jego podświadomości. W tym obszarze można znaleźć prawie wszystko... i u prawie wszystkich. Każdy sekretarz, jaki przeszedł przez jego biuro, myślał o zniszczeniu swojego szefa i zajęciu jego miejsca... niektórzy zaś mierzyli o wiele wyżej; u niektórych spośród najłagodniejszych mężczyzn i kobiet spotykało się fantastycznie iluzyjne konstrukcje myślowe... a to byli, przeważnie, Nowi. Innych, którzy ukrywali prawdziwie obłąkańcze myśli, po cichu hospitalizował. Dla dobra wszystkich zainteresowanych... zwłaszcza własnego. Kilkakrotnie bowiem odebrał myśli o morderstwie, i to z najbardziej niespodziewanych źródeł, zarówno ważnych, jak i błahych. Pewnego razu Nowy, technik instalujący-10ŚNasi przyjaciele... 146 cy szereg łączy wideo w jego prywatnym gabinecie, obmyślał drobiazgowy plan zastrzelenia go – i przyniósł w tym celu pistolet. To się zdarzało raz za razem: nie kończący się motyw, który wziął swój początek, gdy przed pięćdziesięciu ośmiu laty powstały dwie nowe klasy człowieka.

Przywykł do tego... ale czy naprawdę? Być może nie. Jednak żył z tym całe życie i nie przewidywał utraty zdolności adaptacji teraz, w przeddzień najnowszej fazy gry... w czasie której Provoni wraz ze swymi niehumanoidalnymi przyjaciółmi miał przeciąć jego linię życia. – Jak się nazywa mężczyzna z mieszkania 3XX24J? – spytał Barnes. – Musiałbym sprawdzić. – I na pewno dziewczyna nie jest jego żoną? – Obejrzałem pobieżnie kilka klitek z jego żoną. Gruba i wstrętna jędrza, sądząc po tym co złapaliśmy na wideo z aparatu zainstalowanego w ich mieszkaniu. Standardowy model 243, jakie znajdują się we wszystkich tych niby-nowoczesnych mieszkaniach. – Z czego on się utrzymuje? Barnes popatrzył na sufit, oblizał dolną wargę i powiedział: – Pogłębia rowki w oponach. W składzie używanych szmermeli. – Co to jest, do diabła? – No cóż, kupują stateczek i dajmy na to w czasie przeglądu okazuje się, że bieżniki opon są niemal całkowicie zdarte. Bierze więc gorące żelazo i w tym, co z nich zostało, wycina nowe, lipne bieżniki. – Czy to nie jest nielegalne? 8 147

–Nie.

–A więc już jest – powiedział Gram. – Właśnie ustanowiłem prawo; zrób z tego notatkę. Nacinanie opon jest przestępstwem. To niebezpieczne. – Tak, panie Przewodniczący. – Barnes nagryzmolił parę słów w notesie. Czeka nas potop kosmitów, pomyślał, a o czym on myśli? O bieżnikowaniu opon. – W zamęcie wielkich spraw nie wolno patrzeć przez palce na sprawy drobne – stwierdził Gram, odpowiadając na myśli Barnes. – Ale w takiej chwili... – Bezzwłocznie umieść to pan w katalogu wykroczeń – mówił dalej Gram. – Dopilnuj, aby na wszystkie place z używanymi szmermelami trafiło przed piątkiem pisemne zawiadomienie w tej sprawie, zaznacz to, pisemne zawiadomienie. – Dlaczego nie nakłonimy Obcych do lądowania? – spytał ironicznie Barnes. – A potem każmy facetowi naciąć im bieżniki, tak że kiedy spróbują kołować po powierzchni Ziemi, strzelą im opony i wszyscy zginą w wypadku? – To mi przypomina historię z Anglikami – odparł Gram. – Podczas drugiej wojny światowej rząd włoski martwił się okropnie, i bardzo słusznie, lądowaniem Anglików we Włoszech. Poradzono mu więc, by we wszystkich hotelach, w jakich mogli się zatrzymać Anglicy, żądać strasznie wygórowanej ceny. Anglicy, rozumiesz pan, są za dobrze wychowani, by protestować; natomiast wycofali by się, wycofali by się z Włoch całkowicie. Znałeś pan tę historię? 148 – Nie – odparł Barnes.

–Jesteśmy doprawdy w ciężkiej sytuacji – powiedział Gram. – Chociaż zabiliśmy Cordona i rozwaliliśmy tę drukarnię przy Szesnastej Alei. – Zgadza się, panie Przewodniczący. – Nawet nie zdążymy dopaść wszystkich Podlu-dzi, a ci Obcy mogą przypominać Marsjan z Wojny światów H. G. Wellsa; połkną Szwajcarię w pół sekundy. – Odłóżmy dalsze dywagacje do czasu, kiedy spotkamy się z nimi oko w oko – powiedział Barnes. Gram odebrał od niego myśli o zmęczeniu, o długim wypoczynku... a jednocześnie świadomość faktu, iż żadnego wypoczynku nie będzie, długiego ani krótkiego, dla któregokolwiek z nich. – Przykro mi – powiedział Gram w reakcji na myśli Barnes. – To nie pańska wina. Gram oznajmił markotnie: – Powinienem złożyć urząd. – Na czyją rzecz?

–Niech dwumózgowcy znajdą kogoś. W twoim typie.

–Można to rozważyć na zebraniu.

–Nie ma mowy – odparł Gram. – Nie złożę urzędu. Nie odbędzie się zebranie Rady w tej sprawie. Odebrał od Barnesesa przelotną myśl, prędko stłumioną. A może się odbędzie. Skoro nie umiesz sobie poradzić z Obcymi ani wewnętrzną rebelią. Będą musieli mnie zabić, by mnie zdjąć z urzędu, 8 149

myślał Gram. Znaleźć kogoś do sprzątnięcia mnie. A trudno jest zabijać telepatów. Przymuszczałnie jednak pracują nad jakimś sposobem, doszedł do wniosku. To nie była przyjemna myśl.

Świadomość wróciła i Nick Appleton zorientował się, że leży rozciągnięty na zielonej podłodze. Zielonej: koloru glin, policji państwowej. Znajdował się w areszcie SBP, najpewniej przejściowym. Podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Trzydziestu, czterdziestu mężczyzn, wielu w bandażach, wielu rannych i krwawiących. Chyba zaliczam się do szczęśliwców, pomyślał. A Charley... będzie wśród kobiet, krzycząc przeraźliwie jak dziwka na swoich prześladowców. Odstawi dobrą walkę, pomyślał; kopnie ich między nogi, kiedy przyjdą po nią, by ją zabrać do docelowego obozu dla zesłańców. Nigdy już jej oczywiście nie zobaczę. Promieniowała jak gwiazdy; kochałem ją. Nawet przez ową krótką chwilę. To tak, jakbym ujrzał w przelocie, jakbym spostrzegł zza zasłony doczesnego życia, jakbym zobaczył, czego mi trzeba, by zakosztować szczęścia. – Nie masz przypadkiem tabletek przeciwbólowych – spytał młodzieniec leżący obok niego. – Mam złamaną nogę i kurewsko mnie boli. – Przykro mi, ale nie mam – odparł Nick. Wrócił do swych myśli. – Nie bądź takim pesymistą. Nie pozwól, żeby gliny dobrały się do ciebie od środka – powiedział młodzieniec i popukał się w czoło. 8 151 – Świadomość, że resztę życia mogę spędzić w obozie na Lunie bądź w południowo-zachodnim Utah, nie pozwala mi się uśmiechać – odparł uszczypliwie. – Ale słyszałeś wiadomość, że wraca Proveni, i to z pomocą – ciągnął chłopak z błogim, rozpromienionym uśmiechem. Oczy mu błyszcząły mimo bólu nogi. – Nie będzie już karnych obozów. „I oto zasłona namiotu rozdarła się na dwoje, i niebo znikło, jak nikt nie zwój, który się zwija.” – Czekamy ponad dwa tysiące lat od napisania tych słów – powiedział Nick. – Jak dotąd nic się nie wydarzyło. Niecały dzień jako Podczłowiek i proszę! myślał. Co się ze mną stało. Odezwał się wysoki, chudy mężczyzna z głęboką krwawą raną nad prawym okiem, siedzący w kucki nie opodal: – Może ktoś z was wie, czy udało im się przekazać wiadomość od Provoniego do jakiejś innej drukarni? – Och, na pewno. – Oczy złotowłosego młodzieńca rozbłysły ufnością i wiarą. – Dowiedzieli się od razu; naszemu operatorowi telekomunikacyjnemu pozostało tylko pstryknąć przełącznik. – Rozpromienił się do Nicka i wysokiego, chudego mężczyzny. – Czy to nie wspaniałe? – zapytał. – To; choćby to. – Pokazał ręką na pozostałych w źle oświetlonej, nie wietrzanej celi. – To wspaniałe. Piękne! – Lubujesz się w tym? – spytał Nick. – Nie znam się na literaturze poprzednich stuleci 152

–odparł młodzieniec, zbywając z lekceważeniem anachronizm Nicka. – Ja mogę z tym żyć! To wszystko... jest moje! Dopóki nie wyłąduje Proveni. Wkrótce wyłąduje i niebiosą się... Podeszedł do nich funkcjonariusz w cywilnym ubraniu i sprawdził coś w notatniku. – Ty jesteś tym odwiedzającym 3XX24J? – spytał Nicka. – Nazywam się Nick Appleton – odparł Nick. – Dla nas jesteś człowiekiem, który odwiedził mieszkanie określonego numeru, o określonej porze, określonego dnia. Stąd jesteś 3XX24J, tak? – Nick skinął głową. – Wstawaj i chodź ze mną – rozkazał pupilek policji i ruszył energicznie do wyjścia. Nickowi z trudem udało się podnieść na nogi; szedł bez pośpiechu za gliniarzem, zastanawiając się ze strachem o co chodzi. Kiedy

gliniarz otworzył drzwi celi – używał złożonego układu: elektronicznej tarczy, wirującego z wielką prędkością numeratora – jeden z mężczyzn siedzących na podłodze, oparty plecami o ścianę, odezwał się do Nicka: – Powodzenia, bracie. Siedzący z boku więzień podniósł znad ucha odbiornik tranzystorowy i powiedział: – Media właśnie podały komunikat. Zabili Cor-dona. Zrobili to, rzeczywiście zrobili. Mówią, że umarł na chroniczną dolegliwość wątroby, ale to nieprawda, Cordon nie miał żadnych kłopotów z wątrobą. Zastrzelili go. – Szybciej – powiedział gliniarz i z ogromną siłą 153

wypchnął Nicka przez uchylone drzwi na zewnątrz celi, która natychmiast sama się zamknęła. – Czy to prawda o Cordonie? – spytał funkcjonariusza. – Bo ja wiem – odparł. – Ale jeśli tak, to dobrze zrobili. Nie wiem, po co go trzymali w Brightforth tyle czasu; nie mogli się zdecydować? To są skutki, kiedy ma się Niezwykłego jako Przewodniczącego. Maszerował dalej w głąb korytarza, Nick szedł za nim. – Wie pan, że wraca Thors Provoni? – dopytywał się Nick. – I to z pomocą, którą przyrzekł? – Damy sobie z nimi radę. – Dlaczego pan tak sądzi? – Zamknij się i chodź szybciej – powiedział gliniarz, jego wielka głowa, jego rozdęta czaszka Nowego podrygiwała demonicznie. Wyglądał na gniewnego i agresywnego, jakby szukał okazji do puszczania w ruch swojej żelaznej pałki. Zabiłby mnie na miejscu, gdyby mógł, pomyślał Nick. Miał jednak rozkaz do wykonania. Niemniej policjant go przerażał; ta koncentracja nienawiści, która pojawiła się na jego twarzy, kiedy Nick wymienił nazwisko Provoniego. Mogą walczyć jak wszyscy diabli, pomyślał. Jeśli ten typ jest odzwierciedleniem ich zbiorowych odczuć. Gliniarz przestąpił przez próg; Nick zrobił to samo... i zobaczył, jednym rzutem oka, centrum nerwowe aparatu policyjnego. Ekrany telewizyjne, małe, setkami, z funkcjonariuszem obserwującym każdą grupę złożoną z czterech monitorów. Wielkie po-154 mieszczące hukowało kakofonią dźwięków, brzęków, trzasków i gwizdów; tu i tam krzżeli się w pośpiechu ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety... spełniając drobne polecenia, takie jak to, które otrzymał przesiąknięty nienawiścią agent, który go eskortował. Jakiż tu panował ruch. No ale SBP była akurat w trakcie obławy na wszystkich Podludzi, o których wiedziała; już samo to musiało się kłaść brzemieniem na ich elektroniczno-neurologicznym sprzęcie, a także na jego obsłudze. Wystarczyła ta krótka chwila, by Nick ujrzał ich zmęczenie. Nie mieli tryumfujących ani zadowolonych min. Cóż to, pomyślał, nie cieszy się z morderstwa na Ericu Cordonie? Ale oni patrzyli w przyszłość, tak samo jak Podludzie. Wewnętrzna część planu, zbombardowanie i zajęcie drukarni, aresztowanie Podludzi... z tym należało skończyć przed upływem jakichś trzech dni. Czemu trzech? zadawał sobie pytanie. Dwie wiadomości nie pozwalały na dokonanie namiaru statku, a mimo to jedni i drudzy zdawali się wychodzić z tego samego założenia: zostało im jeszcze tylko kilka dni i to było wszystko. Przypuśćmy jednak, myślał Nick, że Provoni jest o rok od Ziemi. Albo o pięć lat. – 3XX24J – odezwał się jego policjant. – Przekazuję cię do rąk reprezentanta Przewodniczącego. Będzie uzbrojony, więc nie odgrywaj bohatera. – W porządku, przyjacielu – odparł Nick czując, że baranieje od tempa wydarzeń rozgrywających się

dookoła niego. Wszedł mu naprzeciw jakiś mężczyzna - 8 155 zna w prostym urzędowym ubraniu - purpurowe rękawy, bransoletki, pantofle z podniesionymi noskami. Nick przyjrzał mu się badawczo. Przebiegły, oddany swojej pracy - i Nowy. Nad tułowiem kiwała mu się jego masywna głowa; nie nosił zwyczajowej podpórki szyjnej będącej w modzie wśród wielu Nowych. - Ty jesteś 3XX24J? - zapytał; sprawdził odbitkę jakiegoś dokumentu. - Nazywam się Nick Appleton - odparł lodowato. - Tak, te systemy z numerami identyfikacyjnymi istotnie nie funkcjonują - powiedział przedstawiciel Grama. - Pracujesz czy raczej pracowałeś jako... - Zmarszczył czoło, po czym uniósł swą wielką głowę. - Jako kto? Rowkarz opon? Zgadza się? - Tak. - I przyłączyłeś się dzisiaj do Podludzi za pośrednictwem swego pracodawcy, Earla Zety, który od kilku miesięcy, jak sędzę, znajdował się pod obserwacją policji. Mówię o tobie, prawda? Muszę mieć pewność, że przepuszczam właściwego człowieka. Mam twoje odciski palców... o, tutaj; pchniemy je dalej, do archiwum linii papilarnych. Nim Przewodniczący zobaczy się z tobą, zostaną potwierdzone lub nie. Idziemy - powiedział. Zwinął dokument i ostrożnie schował do kieszeni. Nick jeszcze raz rzucił okiem na ogromną jak podziemna grota salę z dziesięcioma tysiącami ekranów telewizyjnych. Jak ławica ryb, pomyślał, przemykali dookoła ludzie, purpurowych ryb, zarówno samców. 156 jak i samic, od czasu do czasu zderzających się ze sobą niczym molekuły cieczy. Zobaczył nagle wizję piekła. Postrzegał ich jako ektoplazmatyczne dusze, bez realnych ciał. Ci policjanci, przychodzący i odchodzący z drobnymi poleceniami dawno zrezygnowali z życia, a teraz zamiast żyć czerpali siłę witalną z ekranów, które obserwowali... czy też, mówiąc ściśle, z ludzi na ekranach. Prymitywne ludy Ameryki Południowej mogą mieć rację wierząc, że podczas fotografowania człowieka kradnie mu się duszę. Co to jest, jeśli nie milion, miliard, nieskończona procesja takich zdjęć? Niesamowite, powiedział do siebie. Jestem zdemoralizowany; myślę kategoriami zabobonów, ze strachu. - Ten pokój - odezwał się wysłannik Przewodniczącego - jest źródłem danych dla SBP na całej planecie. Fascynujące, prawda? Te wszystkie ekrany... a widzisz zaledwie mały ułamek; ściśle mówiąc, widzisz Annex, założony dwa lata temu. Centralny nerwowy kompleks nie jest stąd widoczny, ale wierz mi na słowo, jest przerażająco wielki. - Przerażająco? - spytał Nick zastanawiając się nad doborem słów. Poczł coś na kształt współczucia dla siebie ze strony reprezentanta Przewodniczącego. - Prawie milion pracowników policji siedzi przed elektronicznymi dziurkami od klucza. Potężna biurokracja. - Ale czy to im coś dało? - spytał Nick. - Dzisiaj? Kiedy urządzili pierwszą obławę? - O tak, system działa. Ale, o ironio losu, śmiać 8 157

się chce, że wymaga takiej masy ludzi i roboczo-godzin, jeśli wziąć pod uwagę, iż pierwotnym celem było... Obok nich pojawił się umundurowany funkcjonariusz policji. - Zabieraj się stąd i odstaw tego człowieka do Przewodniczącego - powiedział nieprzyjemnym głosem. - Tak jest - odparł agent w cywilu i poprowadził Nicka korytarzem na dół do szerokich, przezroczystych drzwi frontowych wykonanych z plastyku. - Barnes - dodał częściowo do samego siebie i z niedbałą wyniosłością zmarszczył brwi. - Barnes jest najbliższym człowiekiem Przewodniczącego. Wil-lis

Gram ma radę składającą się z dziesięciu mężczyzn i kobiet, a z kim się konsultuje? Tylko z Barne-sem. Czy świadczy to o właściwych procesach mózgowych, twoim zdaniem. Kolejny przypadek Nowego, który poniża Niezwykłego, myślał Nick; nie wypowiedział jednak swego zdania, kiedy wsiedli do lśniącego czerwonego szmermela udekorowanego oficjalnym herbem rządowym.

XVI

W małym, nowoczesnym gabinecie, wyposażonym w modnego, ozdobnego pająka, tańczącego mu nad głową, Nick Appleton obojętnie słuchał muzyki. Obecnie to diabelstwo grało utwory Yictora Herberta. O Chryste, myślał ze znużeniem; siedział zgięty w pół z twarzą w dłoniach. Charley, pomyślał. Ty żyjesz? Jesteś ranna, nic ci się nie stało? Zdecydował, że jest cała i zdrowa. Nikt nie zabije Charley. Będzie żyła długo: dobrze ponad sto dwanaście lat, średni wiek populacji. Ciekawe, czy mógłbym stąd uciec, pomyślał. Miał przed sobą dwoje drzwi, jedno, którymi weszli, i drugie, wiodące rzecz jasna do wewnętrznych, bardziej ezoterycznych biur. Ostrożnie wypróbował gałkę pierwszych drzwi. Zamknięte. Podszedł więc ukradkiem ku drzwiom, które prowadziły do wewnętrznych biur; przekręcił gałkę, wstrzymał oddech, i stwierdził, że te są również zamknięte. I podniosły alarm. Słyszał jego dzwonek. Niech to szlag, powiedział ze złością do siebie. Wewnętrzne drzwi otworzyły się; stał w nich Dyrektor Barnes, imponujący w swym odpowiednio udekorowanym zielonym mundurze, odmiany jaśniejszej, noszonej tylko w najwyższych kręgach policyjnych. 8 159 Stali i obrzucali się wzajemnie wzrokiem.

–3XX24J? – spytał Dyrektor Barnes.

–Nick Appleton, 3XX24J to numer mieszkania, i to nawet nie mojego. A może mojego. Pańscy ludzie na pewno zdążyli już je splądrować w poszukiwaniu bibuły cordonowskiej. – W tym momencie pierwszy raz pomyślał o Kleo. – Gdzie jest moja żona? – spytał. – Czy jest ranna, zginęła? Mogę ją zobaczyć? – I mojego syna, pomyślał. Zwłaszcza jego. Barnes odwrócił się i krzyknął przez ramię: – Sprawdź 7Y3ZRR i dowiedz się, czy kobieta jest w dobrej formie. Chłopak też. Daj mi znać od razu. – Zwrócił się do Nicka. – Nie masz na myśli dziewczyny, z którą byłeś w tym pokoju w drukarni przy Szesnastej Alei? Chodzi ci o legalną żonę. – Chcę wiedzieć, co jest z obiema – odparł Nick. – Dziewczyna ma się dobrze. – Nie rozwodził się nad tym, ale Nick już wiedział, Charley przeżyła. Podziękował za to Bogu. – Masz jeszcze jakieś pytania, zanim spotkamy się z Przewodniczącym? – Chcę adwokata. – Nie należy ci się na mocy ubiegłorocznego zarządzenia, odmawiającego reprezentacji prawnej osobom już aresztowanym. Adwokat i tak by ci nie pomógł, nawet gdybyś spotkał się z nim przed aresztowaniem, ponieważ twoje przestępstwo jest natury politycznej. – Jakie moje przestępstwo? – spytał Nick. – Przenoszenie literatury cordonowskiej. Za to jest dziesięć lat obozu. Przebywanie w towarzystwie 160 innych – znanych – Cordonowców. Pięć lat. Przyłapany w budynku, gdzie się drukuje nielegalnie... – Już dość – przerwał mu Nick. – W sumie jakieś czterdzieści lat. – Tak jak stoi w kodeksie. Ale jeśli okażesz się użyteczny dla mnie i Przewodniczącego, to może udałoby się nam załatwić ci, abys te wyroki odsiedział równocześnie. Wejdzmy. Wskazał otwarte drzwi i Nick bez słowa przekroczył próg przepysznie ozdobionego gabinetu... tylko czy to był gabinet? Połowę pokoju zajmowało ogromne łóżko, a na nim, wsparty na poduszkach, leżał Willis Gram, najwyższy władca planety. Na jego

brzuchu leżała taca z obiadem. Łóżko było zavalone wszelkimi możliwymi pismami; Nick dostrzegł barwne kody dwunastu departamentów rządowych. Nie wyglądało na to, że zostały przeczytane – były w zbyt dobrym stanie: wprost spod prasy. – Panno Knight – powiedział Gram do mikrofonu umieszczonego na twarzy, przywierającego do obwisłego policzka – proszę przyjść i zabrać te talerze z kurczęciem po królewsku. Nie jestem głodny. Weszła szczupła, niemal pozbawiona piersi kobieta i chwyciła tacę. – Chciałby pan trochę... – zaczęła, ale Gram przerwał jej gwałtownym gestem. Natychmiast umilkła i nie zatrzymując się, wyszła z tacą z gabinetu. – Wiesz, skąd pochodzi moje jedzenie? – spytał Gram Nicka. – Z naszego bufetu – oto skąd. Czemuż, do diabła... – teraz mówił do Barnesa. – Czemuż, do diabła, nie urządziłem specjalnej kuchni 161 wyłącznie dla siebie? Musiałem rozum postradać. Chyba się podam do dymisji. Wy, Nowi, macie rację, my, niezwykli, to tylko wybryk natury. Nie jesteśmy ulepiani z właściwego materiału, aby rządzić. – Mógłbym skoczyć taksówką do dobrej restauracji, jak na przykład Flores, i przynieść panu... – odezwał się Nick. – Nie, nie – zaprotestował ostro Barnes. Gram odwrócił głowę, przyglądając mu się ze zdziwieniem. – Ten człowiek znajduje się tutaj z ważnego powodu – powiedział gorączkowo Barnes. – To nie jest służący. Jeśli chce pan mieć lepszy obiad, proszę wysłać kogoś z pańskiego personelu. To jest ten mężczyzna, o którym panu mówiłem. – Ach tak – odparł Gram skinąwszy głową. – Rób pan swoje; przesłuchaj go. Barnes usadowił się w wysokim twardym fotelu z połowy lat dwudziestych dziewiętnastego wieku, prawdopodobnie francuskim. Wyjął magnetofon i trącił klawisz startu. – Twoja tożsamość – powiedział Barnes. Nick, usiadłszy twarzą do Barnesa na wyściełanym krześle, powiedział: – Sądziłem, że przyprawiono mnie tutaj na rozmowę z Przewodniczącym. – To prawda – odparł Barnes. – Przewodniczący Gram włączy się od czasu do czasu dla zasięgnięcia informacji w konkretnej sprawie... dobrze mówię, panie Przewodniczący? – Tak – powiedział Gram, ale sprawiał wraże-11 – Nasi przyjaciele... 162

nie, że nie słucha. Oni wszyscy mają już dosyć, pomyślał Nick. Nawet Gram. Zwłaszcza Gram. To przez to czekanie; podkopało ich. Teraz, kiedy mają przed sobą wroga, są zbyt osłabieni, by reagować. Chociaż nieźle się spisali w akcji na drukarnię przy Szesnastej Alei. Być może to wyczerpanie nie objęło niższych szczebli hierarchii policyjnej, być może tylko ci na samej górze, którzy znali prawdziwą sytuację... raptownie wstrzymał tok myśli. – Ciekawy materiał wiruje ci w głowie – powiedział Gram, telepata. – Zgadza się – odparł Nick. – Zapomniałem. – Masz absolutną rację – oznajmił Przewodniczący. – Jestem wyczerpany. Tylko że ja mogę sobie na to pozwolić; całą pracę i tak wykonują szefowie departamentów, do których mam pełne zaufanie. – Twoja tożsamość – powtórzył Barnes. – 7Y3ZRR, ale aktualnie 3XX24J – powiedział Nick, kapitulując w końcu. – W dniu dzisiejszym zostałeś aresztowany w drukarni Cordonowskiej. Jesteś Podczłowiekiem? – Tak – odparł Nicholas. Minęła chwila ciszy. – Kiedy zostałeś Podczłowiekiem – spytał Barnes – zwolennikiem demagoga Cordona i jego ziejących nienawiścią publikacji, które... – Zostałem Podczłowiekiem – odparł Nick – gdy dostaliśmy wyniki testu naszego syna do Służby

Publicznej. Kiedy zobaczyłem, że potrafili go przetestować na podstawie pytań, których w żaden sposób nie mógł 8 163 zrozumieć, ani na które nie miał szans odpowiedzieć; kiedy pojąłem, że całe lata mojego zaufania do rządu poszły na marne. Kiedy uświadomiłem sobie, ilu ludzi próbowało otworzyć mi oczy i nie udało im się to. Aż przyszły wyniki, i kiedy przeczytałem kserokopię testu zrozumiałem, że Bobby nie miał szans. „Jakie są składowe przewidywane we wzorze Blacka, których wynikiem będzie blokada sieci na głębokość jednej molekuly, jeśli badane początkowe twory nadal działają, bądź jeśli pierwotne twory działają – żyjąc lub jak gdyby żyjąc – w wartościach własnych świata, który przykrywa tylko jedną...” Formuła Blacka. Możliwa do zrozumienia jedynie dla Nowych. A oni żądali od dziecka, aby sformułowało wypadkową pari passu opartą na postulatach niezrozumiałego systemu. – Nadal masz ciekawe myśli – powiedział Gram. – Możesz mi powiedzieć, kto przeprowadzał test twojego syna? – Norbert Weiss – odparł Nick. Minie dużo czasu nim zapomni to nazwisko. – A na dokumencie było nazwisko jeszcze jednej osoby. Jerome jakiś tam. Pike. Pikeman. – A więc – odezwał się Barnes – wpływ Earla Zety na ciebie ujawnił się dopiero po tej historii z synem. Przedtem ruch, którego kapłanem był Zeta, nie miał... – Zeta nigdy nic nie mówił – powiedział Nick. – To była wiadomość o nadchodzącej egzekucji Cordona; widziałem, jak podziałała na Zetę, i zrozumiałem wtedy, że... – umilkł na chwilę. – ... Że 164 muszę w jakiś sposób zaprotestować. Earl Zeta pokazał mi ten sposób. Wypiliśmy... – urwał i potrząsnął głową, żeby przejaśnić myśli; na jego system działał jeszcze środek uspokajający. – Alkohol? – spytał Barnes. Zrobił z tego holo-graficzny zapisek, używając małego plastikowego notatnika i pióra kulkowego, które trzymał blisko twarzy jak krótkowidz. – A zatem – odezwał się Gram – jak mówili starożytni Rzymianie, in vino veritas. Wiesz, co to znaczy, panie Appleton? – W winie prawda. Barnes powiedział uszczypliwie: – Mówi się także, pijackie gadanie.

–Ja wierzę w in vino veritas – oznajmił Gram i czknął. – Muszę coś zjeść – powiedział żałośnie. – Panno Knight – zawołał do swojego mikrofonu – proszę posłać do... dokąd to, mówiłeś, Appleton? Ta restauracja? – Flores – odparł Nick. – Ich alaski łosoś pieczony to rozkosz bogów. – Skąd miałeś popsy – spytał czujnie Barnes – na jedzenie w takich lokalach jak Flores? Z bieźnikowania opon? – Poszliśmy tam z Kleo tylko raz – odpowiedział Nick. – W naszą pierwszą rocznicę. Kosztowało tydzień pracy, łącznie z napiwkami, ale było warto. – Nigdy tego nie zapomniał; i nie zapomni. Barnes machnął ręką i prowadził dalej przesłuchanie. – A więc nurtujące urazy, które mogły nigdy się 8

nie uaktywnić... te urazy przerodziły się w działanie, kiedy Earl Zeta przedstawił ci sposób wprowadzenia w czyn twoich uczuć poprzez wstąpienie do Ruchu. Gdyby nie był Podczłowiekiem, twoje urazy mogłyby się wcale nie uzewnętrznzić. – Czego chcesz dowieść? – spytał z irytacją Gram. – Że kiedy zniszczymy trzon ruchu Podludzi, gdy dopadniemy takich osobników jak Cordon... – Dopadliśmy – powiedział Gram, po czym zwrócił się do Nicka. – Wiedziałaś o tym? Że Cordon zmarł na przewlekłą chorobę wątroby, która okazała się nieuleczalna, a transplantacja nie była możliwa? Słyszałaś o tym przez radio? W telewizji? – Słyszałem – odparł Nick. – Że został zastrzelony w swojej celi przez nasłanego mordercę. – To nieprawda – zaprotestował Gram. – Nie umarł w swojej celi, on umarł na stole operacyjnym w więziennym szpitalu podczas próby wszczepienia mu sztucznego organu. Zrobiliśmy wszystko, co można, by go uratować. Nie, pomyślał Nick. To kłamstwo. – Nie wierzysz mi? – spytał Gram, czytając w jego myślach. Odwrócił się w stronę Barnes'a. – Masz swoją statystykę; uosobienie przeciętnego obywatela, Starego, on zaś nie wierzy, że Cordon umarł śmiercią naturalną. Możesz na tej podstawie ekstrapolować zjawisko ogólnoplanetarnej niewiary? – Oczywiście – powiedział Barnes. – Trudno, do diabła. Niech wierzą, w co chcą, dla nich wszystko się skończyło. To tylko szczury, 166 kryjące się jeszcze tu i tam w rynsztoku, czekające, byśmy je wytępilli jednego po drugim. Nie uważasz, Appleton? Wy, którzy przyłączyliście się do Podludzi, nie macie już gdzie iść, nie macie już przywódców, których moglibyście słuchać – powiedział Gram i spojrzał na Barnes'a. – A więc kiedy wyląduje Provoni, nie będzie komu go przywitać. Żadnego tłumu wiernych, zniknęli, jak wkrótce nasz Appleton. Tylko, że on dał się złapać, więc jemu przypadnie południowo-wschodnie Utah albo Luna, jeśli woli. Wolisz Lunę, panie Appleton? Panie 3XX24J? Nick powiedział, uważnie dobierając słowa: – Słyszałem, że do obozów dla zesłańców idą całe rodziny? Czy to prawda? – Chcesz być ze swoją żoną i synem? Przecież nie są oskarżeni. – Barnes obnażył wyszczerbiony kiel, kończąc myśl Nicka. – Moglibyśmy im zarzucić... – Znajdziecie w naszym mieszkaniu broszurę Cordona – powiedział Nick. Ledwie wymówił te słowa, pożałował, Boże, jak bardzo pożałował, że je wymówił. Po co to zrobiłem? – zadawał sobie pytanie. Ale powinniśmy być razem. I wtedy przypomniał sobie małą, upartą Charley, z jej wielkimi czarnymi oczyma i wgniecionym noskiem. Jej twarde, drobne, płaskie ciało... i jej zawsze wesóły uśmiech, niczym u postaci z Dickensa, pomyślał. Kominiarczyk. Złodziejaszek z Soho. Wyplątuje się z kłopotów, mówi, aby nakłonić kogoś do czegoś. Tak czy owak mówi. Zawsze mówi. I zawsze z tym swoim oryginalnym promiennym uśmiechem, jakby świat był wielkim kudłatym pieskiem, którego pragnie przytulić. 167 Mógłbym iść z nią, myślał. Zamiast z Kleo i Bob-bym. Czy powinienem iść z nią? Czy to prawnie możliwe? – Nie – powiedział Gram ze swego monstrualnego łóżka. – Co nie? – zapytał Barnes. Gram odparł leniwie: – Chce iść z tą dziewczyną, którą znaleźliśmy razem z nim w drukarni przy Szesnastej Alei. Pamiętasz ją? – To ta, którą pan się

interesuje. Nickowi zrobiło się gorąco ze strachu. Serce mu drgnęło i potężnie załomotało, co gwałtownie przyśpieszyło obieg krwi w jego rękach i nogach. A więc to prawda o Gramie, pomyślał. Co ludzie mówią o jego uganianiu się za dzierlatkami. O jego małżeństwie... – Takim jak twoje – dokończył za niego Gram. – Ma pan rację – odparł z miejsca Nick. – Jaka ona jest?

–Pechowa i dzika.

Uświadomił sobie, że nie musi tego mówić na głos. Wystarczy, jak będzie Charley wspominał, wyobrażał ją sobie, na nowo przeżywał szczegóły krótkiego okresu spędzonego razem. Gram zaś wszystko odbierze, gdy tylko on to pomyśli. – Może być kłopotliwa – powiedział Gram. – A ten Denny, jej chłopak, wygląda mi na psychopatę, czy kogoś takiego. Ich wzajemne oddziaływanie na siebie, jeśli je prawidłowo pamiętasz, jest chore. To chora dziewczyna. 168 – W zdrowym otoczeniu... – zaczął Nick, ale Barnes nie pozwolił mu dokończyć. – Czy mogę kontynuować przesłuchanie? – spytał. – Jasne – odparł Gram, wyłączając się w ponurym nastroju; Nick spostrzegł, że masywnie zbudowany starzec skierował swoją uwagę do wewnątrz, na swe własne myśli. – Jakbyś zareagował – spytał Barnes – gdybyś został zwolniony; co byś zrobił, gdyby – i powtarzam, gdyby – wrócił Thors Provoni? I to z pomocą potworów? Pomocą, której celem byłoby ujarzmienie Ziemi aż do... – O Boże – jęknął Gram. – Tak, panie Przewodniczący? – spytał Barnes. – Nic – jęknął znowu Gram. Przekręcił się na drugi bok, siwe włosy rozsypały się na biel poduszek, które zszarzały, jakby prześwit między nimi znalazło coś, co wystrzeżało się światła, ukazując tylko swą żylastą skórę. – Czy zareagowałbyś w któryś z następujących sposobów? – pytał dalej Barnes. – Jeden. Będziesz się histerycznie cieszyć, bez zastrzeżeń? Dwa. Będziesz w miarę zadowolony? Trzy. Nic cię to nie będzie obchodziło? Cztery. Zaniepokoi cię to? Pięć. Czy skłoni cię to do wstąpienia do SBP bądź organizacji militarnej, przygotowanej do zwalczania obcych najeźdźców? Którą z tych możliwości byś wybrał, jeśli w ogóle miałbyś jakiś wybór? – Czy jest coś pośredniego między: „będziesz się 8 169

histerycznie cieszyć, bez zastrzeżeń" a „będziesz w miarę zadowolony"? – spytał Nick. – Nie – odparł Barnes. – Czemu nie? – Chcemy wiedzieć, kim są nasi wrogowie. Jeśli będziesz się „histerycznie cieszyć", włączysz się do akcji. Żeby im pomóc. Ale jeśli będziesz tylko „w miarę zadowolony", najpewniej niczego nie zrobisz. To zostało posortowane według dokonanego przez ciebie wyboru – czy będziesz działać jako otwarty wróg ustroju, a jeśli tak, to w jakim kierunku i do jakiego stopnia? – Nie ma pojęcia. Na Boga, dopiero dziś rano został Podczło wiekiem! Skąd ma wiedzieć, do diabła, jak postąpi? – wymamrotał spod pościeli Gram. – Ależ miał całe lata na zastanawianie się nad powrotem Provoniego – zauważył Barnes. – Proszę o tym nie zapominać. Jego reakcja, wszystko jedno jaka, opiera się na głębokiej podstawie. – Zwrócił się do Nicka. – Wybieraj odpowiedź. Po chwili Nick odparł: – To zależy od tego, co zrobicie z Charley. – Spróbuj to ekstrapolować – powiedział Gram do Barnesa i zachichotał. – Mogę ci powiedzieć, co się stanie z Charlotte. Zostanie

doprowadzona tutaj, bezpieczna od tego obłąkanego psychopaty, Den-ny'ego czy Benny'ego, czy jak on się tam nazywa. A więc urwałeś się Purpurowej Syrenie, to świetnie. Tylko że ona mogła kłamać mówiąc, że nikt inny nigdy nie... nie pomyślałeś o tym. Okręciła cię wo-170 kół małego palca, prawda? Powiadasz nagle do żony: „Jeśli ona wyjdzie, to i ja wyjdę”. A twoja żona na to: „Idź”. Co też zrobiłeś. I to wszystko bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Przyprowadziłeś Charlotte do waszego mieszkania, uciekłeś się do kłamstwa, kiedy wyjaśniałeś, w jaki sposób ją poznałeś, a potem Kleo znalazła książeczkę cordonowską, i cześć, sprawa załatwiona. Ponieważ dałeś jej to, co żony lubią najbardziej: sytuację, kiedy jej mąż musi wybierać między jednym złem a drugim, między dwiema możliwościami, z których żadna nie jest mu w smak. Żony to uwielbiają. Kiedy jesteś w sądzie i rozwodzisz się z taką, zostajesz postawiony przed wyborem między powrotem do niej a utratą dobytku, całego majątku, wszystkich drobiazgów, które trzymałeś od szkoły. Tak, żony są takie. – Zagrzebał się głębiej w poduszki. – Wywiad skończony – mruknął sennie. – Moje wnioski – odezwał się Barnes. – Dobrze – odparł stłumionym głosem Gram. – Sposób myślenia tego mężczyzny, 3XX24J – powiedział Barnes, wskazując na Nicka Śjest analogiczny do pańskiego. Przedmiotem troski naszego gościa jest przede wszystkim jego życie osobiste, nie zaś jakakolwiek Sprawa. Gdyby mu zagwarantować posiadanie kobiety, której pragnie – jeśli się w końcu na którąś zdecyduje – to lądowanie Provoniego przyjmie obojętnie. – Co prowadzi cię do wniosku...? – mruknął Gram. – Że jeszcze dzisiaj, teraz, ogłaszamy likwidację 8

wszystkich karnych obozów, zarówno w Utah, jak i na Lunie, i odesłanie więźniów do domów i ich rodzin, czy do kogokolwiek sobie życzą – powiedział żywo Barnes, głos miał chropowaty i szorstki. – Zanim przyleci Provonni damy im to, czego pragnie – i czym by się zadowolił – nasz 3XX24J. Starzy żyją problemami osobistymi; nie Sprawa i nie ideologia nimi powoduje. Jeśli jednak wciągają się do Sprawy, to żeby odzyskać ze swego życia osobistego coś takiego, jak godność czy znaczenie. Jak lepsze mieszkanie, mieszane małżeństwo – rozumie pan. Otrząsając się jak mokry pies, Gram usiadł prosto i utkwiał wzrok w Barnesie; szczeka mu opadła, a oczy wychodziły z orbit... jakby miał dostać apopleksji, pomyślał Nick. – Zwolnić ich? – spytał Przewodniczący. – Wszystkich? Także tych, których zgarnęliśmy dzisiaj: radykałów, noszących nawet mundury jakiejś organizacji paramilitarnej? – Tak – powiedział Barnes. – To ryzykowny krok, ale zważywszy, jak rozumuje i co mówi obywatel 3XX24J, jestem pewny, że on się nie zastanawia, czy Thors Provonni ocali Terrę. On myśli: no jasne, że wolę znowu zobaczyć tę małą, ostrą dziwkę. – Starzy – wymamrotał Gram. Twarz miał rozluźnioną; teraz jego ciało obwisało fałdami. – Gdybyśmy dali Appletonowi wybór między odzyskaniem Charlotte a ujrzeniem sukcesu Provoniego, faktycznie wybierze to pierwsze... – Raptem jednak wyraz jego twarzy się odmienił; była skryta, kocia. – Tylko że on nie może mieć Charlotte, ja się nią interesuję. 172 – Zwrócił się do Nicka: – Nie możesz jej mieć, wracaj zatem do Kleo i Bobby'ego. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Widzisz, podjąłem za ciebie decyzję. Wyraźnie zirytowany dyskusją Barnes spytał Nicka: – Jakbyś zareagował jako Podczłowiek na likwidację wszystkich obozów dla zesłańców – spójrzmy prawdzie w oczy: obozów koncentracyjnych – i odesłanie ludzi do domu, najpewniej do ich rodzin i przyjaciół? Jakbyś się czuł, gdyby to spotkało również i ciebie? – Uważam – odparł Nick – że to najlepsza, najmądrzejsza i najbardziej humanitarna decyzja, jaką mógłby podjąć rząd. Przyjęłoby to z uczuciem ulgi i szczęścia na całej planecie. – Miał dziwne uczucie, że użył niewłaściwych słów, frazesów, ale nic lepszego nie przychodziło mu na myśl. – Zrobilibyście to naprawdę? – spytał Barnes z niedowierzaniem. – Nie chce mi się wierzyć. Liczba więźniów w tych obozach sięga milionów. Byłaby to jedna z najbardziej humanitarnych decyzji podjętych przez jakikolwiek rząd w historii: nigdy nie byłaby zapomniana. – Widzi pan? – zwrócił się Barnes do Grama. – No dobrze, 3XX24J; gdyby do tego doszło, z jakim uczuciem powitałbyś Provoniego? Nick zrozumiał logikę tych słów. – Ja bym... – zawahał się. – Provonni ruszył po pomoc w zniszczeniu tyranii. Ale skoro wszystkich wypuścicie i być może zniesiecie kategorię Podludzi; koniec z aresztowaniami... – Koniec z aresztowaniami – potwierdził Bar- 8 173

nes. – Literatura cordonowska będzie mogła swobodnie kursować. Otrząsnąwszy się, Gram począł się wiercić, unosząc się i rozkopując pościel, wreszcie udało mu się przyjąć pozycję siedzącą. – Wzięliby to za oznakę słabości. – Pogroził palcem Nickowi, a potem, bardziej stanowczo, Bar-nesowi. – Doszliby do wniosku, że

zrobiliśmy to mając świadomość nadchodzącej klęski. Cała zasługa przypadłaby Provoniemu! – Wpatrywał się w Bar-nesa z mieszanymi uczuciami; twarz mu falowała, ruchliwa i podniecona: – Wiesz, co by zrobili? Zmusiliby nas potem... – spojrzał trochę nerwowo na Nicka – do przeprowadzania uczciwych egzaminów do Służby. Innymi słowy, utracilibyśmy absolutną kontrolę nad tym, kto wchodzi do aparatu rządowego i kto z niego odchodzi. – Trzeba nam pomocy mózgowej – odparł Bar-nes, żując spłaszczony koniec kulkowego pióra. – Masz na myśli jeszcze jednego supermena o podwójnej mózgowicy, takiego jak ty? – Gram aż się zapłuł. – Żeby mnie przegadał? Czemu nie zwołać pełnomocnego zebrania Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego? Przynajmniej w ten sposób twój i mój rodzaj będą jednakowo reprezentowane. Barnes powiedział z namysłem: – Chciałbym, żeby sprowadzono tutaj Amosa lida. Aby usłyszeć jego opinię. Na zebranie Komitetu trzeba dwudziestu czterech godzin; Uda możemy 174 mieć tutaj za pół godziny... przebywa w New Jersey, gdzie pracuje nad Wielkim Uchem, jak pan wie. – Tego pierdolonego wroga Niezwykłych! Daj spokój, Barnes! Daj spokój, nie ma o czym mówić! Nigdy nie ulegnę opinii głowy w kształcie gruszki nabitej Bóg wie jakim śmieciem. – lid jest dziś czołowym intelektualistą planety. Uznajemy go za takiego; wy także, rzecz jasna – oznajmił Barnes. – Próbuje odesłać mnie do lamusa. Usiłuje zniszczyć dwupodmiotowy system, który uczynił ten świat rajem dla... – trzęsąc się powiedział Gram. – A więc nie będą tracił czasu i po prostu otworzę obozy – przerwał mu Barnes. – Bez sugerowania się czyjąkolwiek opinią. – Wstał, odłożył notes i pióro, po czym wziął do ręki aktówkę. – Czyż nie mam racji? – pytał Gram. – Czyż on nie usiłuje podkopać znaczenia Niezwykłych? Czyż nie jest to rzeczywistym celem Wielkiego Ucha? – Amos lid jest jednym z niewielu Nowych, którzy wykazują jakiegokolwiek zainteresowanie Starymi. Wielkie Ucho dałoby im równorzędne możliwości, zdolności dorównujące pańskim; to by ich wciągnęło do struktury władzy. Obywatel 3XX24J – a raczej jego syn, mógłby przejść test na zdolności, znaleźć się w sekcji Specjalnych Uzdolnień, która przed laty zaprowadziła pana do rządu. I spójrzmy, jak wysoko pan zaszedł. Proszę mnie wysłuchać, Willisie. Starym trzeba zwrócić ich prawa, ale nie ma sensu tego robić, skoro zwyczajnie cierpią na brak, na cholerny brak umiejętności, wiedzy, uzdolnień, które my ma- 175 my. W rzeczywistości nie fałszujemy wyników testów: zgoda, czynimy tak od czasu do czasu – dokonujemy selekcji, jak zrobili Pikeman i Weiss w przypadku syna obywatela 3XX24J. To zły uczynek, choć nie zło. Zło polega na układaniu testu, który pan i ja potrafilibyśmy zdać, a on nie. Nie testujemy go podług tego, co on potrafi, tylko według tego, co sami potrafimy. Dostaje więc pytania z zakresu Teorii Aprzy-czynowości Bernharda, której żaden Stary nie rozumie. Nie potrafimy mu dać większej kory mózgowej – nie umiemy mu dać mózgu Nowego... jesteśmy jednak w stanie zaopatrzyć go w dodatkowe zdolności, które mogą to zrekompensować. Jak w pańskim przypadku. Jak w przypadku wszystkich Niezwykłych. – Patrzysz na mnie z góry – powiedział Gram. Wciąż stojąc, Barnes westchnął. I skłonił się. – No cóż, powiedziałem wszystko, co mogłem powiedzieć w tym momencie. To był trudny dzień. Nie skontaktuję się z Amosem Udem; po prostu zrobię swoje i każę otworzyć

obozy. To będzie moja własna decyzja; wyłącznie moja. – Znajdź Amosa Uda; sprowadź Amosa Uda – zgrzytnął zębami Gram i obrócił się na łóżku tak, że pod ich stopami zadrżała podłoga. Zerknąwszy na zegarek, Barnes powiedział: – Dobrze. W ciągu paru najbliższych dni uda się to na pewno. Ale trzeba czasu, żeby go ściągnąć... – Mówiłeś pół godziny. Barnes sięgnął do jednego z telefonów na biurku Grama. 176

–Czy można?

–Jasne – odparł z rezygnacją Przewodniczący.

W czasie, kiedy Barnes przeprowadzał rozmowę, Nick pogrzyżył się w zadumie, spoglądając z wielkiego okna pokoju, łączącego biuro i sypialnię, na miasto dookoła niego, na miasto ciągnące się kilometrami – setkami kilometrów. – Zastanawiasz się nad sposobem przekonania mnie, że masz pierwszeństwo do Charlotte – odezwał się Gram. Nick skinął głową. – Masz je – powiedział Gram. – Ale to bez znaczenia, bo jestem, kim jestem, a ty jesteś, kim jesteś. Oponiarzem. A propos, ustanawiam prawo przeciw temu. Od poniedziałku stracisz pracę. – Dziękuję. – Zawsze miałeś wyrzuty sumienia – ciągnął Gram. – Uwalniam twój umysł od poczucia głębokiej winy. Martwiłeś się o ludzi prowadzących szmermele z lipnym bieżnikiem. Lądujących. Zwłaszcza lądujących. To pierwsze uderzenie w ziemię. – Zgadza się. – Teraz znowu myślisz o Charlotte i kombinujesz, jak ją stąd wydostać. I w tym samym czasie po raz tysięczny zadajesz sobie pytanie, jak postąpić z punktu widzenia etyki... możesz dać sobie z tym spokój i wrócić do Kleo i Bobby'ego. I postarać się o drugi test dla syna... – Znowu ją zobaczę – powiedział Nick.

Ojcowie, myślał Thors Provoni. Tak, to są ojcowie, ci 8. To tak, jakby udało mi się skontaktować z Urvaterem, Ojcem przedwiecznym, twórcą Kosmosu. Niepokoją się i martwią, ponieważ coś się psuje w naszym świecie; troszczą się; wyczuwają; wiedzą, w jak rozpaczliwej jesteście potrzebie i co czujemy; wiedzą, czego nam trzeba. Zastanawiał się, czy wszystkie trzy wiadomości dotarły do kompleksu drukarni przy Szesnastej Alei, gdzie mieściło się radio oraz telewizyjne urządzenia nadawczo-odbiorcze Podludzi. I czy nie przejęli ich stronnicy rządu. A jeśli je przejęli, zadawał sobie pytanie, to co zrobili? Czyszkę. Najprawdopodobniej. Ale nie na pewno. Stary Willis Gram – jeśli był jeszcze przy władzy – to bystry facet i wie, z kogo – i w jaki sposób – wydoić cenne informacje. Udawało się to dzięki temu, że był telepatą; Gram mógł odebrać myśli każdego człowieka, jakiego przyprowadzono blisko niego. Ale jeszcze się okaże, kogo przyprowadzono blisko niego. Radykalnych bojowników, jak na przykład dyrektorzy McMally Corporation? Członków Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicz-12ŚNasi przyjaciele.. 178

nego? Szefa policji Lloyd Barnes? Najpewniej Barnes, to najsprytniejszy i najbardziej rozumny z nich wszystkich – przynajmniej wśród aparatu rządowego wysokiego szczebla. Byli także Nowi niezależni uczeni i badacze, jak niesamowity Amos lid. lid! A jeśli Gram skonsultował się z nim? lid przypuszczalnie naszkicowałby ekran, który miałby zabezpieczyć Ziemię przed wszystkim. Niech mnie Bóg ma w swej opiece, pomyślał Provoni, jeśli wciągnęli do tego Uda – czy Toma Rovere, jeśli o to chodzi, bądź Stantona Fincha. Na szczęście prawdziwie błyskotliwi Nowi skłaniali się ku abstrakcyjnym, akademickim badaniom; zostawali fizykami teoretycznymi, statystykami itp. Finch na przykład, w czasie kiedy odleciał Provoni, pracował nad systemem odtwarzania mikrosekundy, trzeciej kolejnej mikrosekundy toku kreacji Wszechświata; w kontrolowanych warunkach chciał przedostać się z powrotem do pierwszej sekundy, a potem, uchowaj Boże, pchnąć strumień entropii – w teorii, w kategoriach matematycznych – z powrotem do interwału zwanego przejściem walencyjnym przed pierwszą sekundą. Ale wszystko na papierze. Po zakończeniu pracy Finch mógłby wykazać matematycznie, jakie warunki były konieczne do Wielkiego Wybuchu i rozpoczęcia istnienia Wszechświata. Umiał posługiwać się takimi pojęciami jak czas ujemny i czas o tempie zerowym... prawdopodobnie teraz ta praca była już zakończona i Finch zajmował się swoim hobby – kolekcjonowaniem rzadkich osiem-nastowiecznych tabakerek. 8 179 Tom Rovere. Ten pracował nad entropią, opierając swój projekt na arbitralnym założeniu, że konieczny i wystarczający rozpad oraz przypadkowy rozkład ergów we Wszechświecie może automatycznie uruchomić wsteczny przepływ strumienia antyentropij-nego na skutek zderzeń między niepodzielnymi porcjami energii bądź materii, dzięki czemu powstawałyby bardziej złożone twory. Częstość występowania tych stopniowo coraz bardziej złożonych tworów byłaby odwrotnie proporcjonalna do stopnia ich złożoności. Jednakże raz uruchomionego procesu nie można by już odwrócić, zanim

nie uformują się ostatecznie złożone byty wraz z bytem wyjątkowym – i wyjątkowo złożonym – zawierającym wszystkie molekuly Wszechświata. To byłby Bóg, lecz On by się rozpadł i w Jego rozpadzie przejawiałaby się siła entropii... jak w różnych prawach termodynamiki. W ten sposób Rovere wykazał, że obecna epoka rozpoczęła się tuż po rozpadnięciu się owego wszechogarniającego bytu zwanego Bogiem, oraz że trwał już odwrót od indywidualności i złożoności. Będzie on trwał aż do początkowego, równomiernego rozkładu ciepła, a wtedy, po długim czasie, siła antyen-tropijna ujawni się przez losowy, przypadkowy ruch jeszcze raz. Ale Amos lid. On się różnił od nich: on coś budował zamiast opisywać to jedynie w teoretycznej, matematycznej terminologii. Rząd mógłby go dobrze wykorzystać, gdyby Gramowi przyszło to do głowy. Tak, Gram pomyślał o tym, zdecydował Provoni. Ponieważ dzięki wprowadzeniu Uda na szczyty wla-180 dzy zwolniłaby tempo praca nad Wielkim Uchem, być może wręcz by ustała. Gram potrzebowałby czasu, żeby dojść do tego, w końcu jednak dojdzie. A więc muszę założyć, myślał dalej Provoni, że będziemy mieli kłopoty z Amosem Udem. Najinteligentniejszym luminarzem, jakiego mają Nowi – a więc najbardziej dla nas niebezpiecznym. – Morgo – powiedział na głos. – Tak, panie Provoni. – Czy potrafisz zbudować odbiornik z siebie bądź z elementów tego statku, przez który mógłbyś chwytać sygnały ziemskich nadajników w paśmie trzydziestu metrów? Chodzi mi o zwyczajne nadajniki, używane dla celów komercyjnych. – Po co, mogę spytać? – Regularnie nadają wiadomości na dwu częstotliwościach w paśmie trzydziestu metrów. Co godzinę. – Chcesz wiedzieć, co się dzieje na Ziemi w polityce? – Nie – odparł z sarkazmem. – Chcę znać cenę jajek w Maine. Nerwy mnie zawodzą, uświadomił sobie. – Przepraszam – powiedział. – Olewam to – odparł Frolixianin.

Thors Provoni odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. „Olewam”, i to mówi pięćdziesiąt ton galaretowatej masy protoplazmatycznego śluzu, który wchłonął ten statek w swoje płynne ciało, znajdujące się ze wszystkich moich stron, niczym beczka. I takie coś powiada: „Olewam.” 8 181 Ów sposób wyrażania się zaskoczy Nowych, kiedy przylecą na Terrę. Przecież to od niego nauczył się swego słownictwa i manier – które nie są królewskie. – Mogę go zrobić na pasmo szesnastu metrów – powiedział Morgo. – Będzie się nadawać? Zdaje się, że panuje tam spory ruch. – Nie tego rodzaju, jaki mi jest potrzebny – odparł. – No, a na czterdzieści metrów? – Dobrze – powiedział ze złością Provoni. Założył słuchawki i pokręcił zmiennym kondensatorem sprzętu radiowego. Urywki rozmowy pojawiły się i zniknęły, a potem przez chwilę było słyhać dziennik radiowy. – ... zamknięcie karnych obozów w... i na Lunie przyniosło... z jakich niektórzy przez całe lata... łączące się z tym zniszczenie wywrotowej drukarni przy Szesnastej Alei... – Odbiór zanikł. Czy ja się nie przesłyszałem? – zadawał sobie pytanie Provoni. Koniec z obozami na Lunie i w południowo-wschodnim Utah? Wszyscy na wolności? Tylko Barnes mógł wpaść na taki pomysł. Ale nawet Barnes... trudno było w to uwierzyć. A może to kaprys Grama? – pomyślał. Chwilowa paniczna reakcja na trzy nasze komunikaty do drukarni przy Szesnastej Alei. Tylko że ona została zniszczona, nie wiadomo, czy

odebrali wiadomości; może tylko jedną lub dwie. Miał nadzieję, że zarówno rząd jak i Cordonowcy odebrali trzecią wiadomość. Brzmiała ona tak: 182 Będziemy u was za sześć dni i przejmemy obowiązki sprawowania władzy. Zwrócił się do Frolixianina: – Mógłbyś zwiększyć natężenie mojego przekazu i nadawać trzecią wiadomość raz po raz. Proszę, mogę ci sporządzić pętlę rotacyjną albo taśmę. – Pstryknął włącznikiem magnetofonu i odczytał te słowa ponuro, z maksymalną wyrazistością – oraz głęboką satysfakcją. – Na rozmaitych częstotliwościach? – spytał Morgo. – Na wszystkich, na jakich dasz radę. Jeśli potrafisz puścić to na kanałach z modulacją częstotliwości, to moglibyśmy nałożyć obraz. Wcisnąć to bezpośrednio do ich telewizorów. A – Świetnie. Z przyjemnością. To tajemniczy komunikat; nie wspomina na przykład, że jestem sam, że moi bracia ciągną o pół roku świetlnego za nami. – Niech Willis Gram sam na to wpadnie, kiedy przylecimy – chrząknął Provoni. – Zastanawiałem się nad możliwym wpływem mojej obecności na waszego pana Grama i jego kumpli. Przede wszystkim odkryją, że nie mogę umrzeć, i to ich przerazi. Zobaczą, że rosnę, kiedy się właściwie odżywiam, i w dodatku mogę zużywać na pokarm niemal każdą substancję. Po trzecie... – Rzecz – powiedział Provoni. – Jesteś rzeczą. – Rzeczą? – Na tym polega cały problem.

–Masz na myśli efekt psychologiczny?

–Właśnie – przyznał markotnie Provoni.

–Mysie – ciągnął Morgo – że najbardziej ich przestraszy rnoja zdolność do zastępowania fragmentów żywych organizmów własną substancją. Jeśli ukazę się mały, powiedzmy jak krzesło, spożywając jakiś przedmiot na źródło energii, zjawisko to – w miniaturze, aby mogli je pojąć – wywoła w nich panikę. Jak widziałeś, mogę zastąpić sobą każdą rzecz; nie ma granic wzrostu dla moich funkcji życiowych, panie Provoni, dopóki się właściwie odżywiam. Mogę stać się całym gmachem, w którym pracuje pan Gram; mogę stać się domem mieszkalnym dla pięciu tysięcy ludzi. I... – Morgo zawahał się -...i jest coś jeszcze. Ale nie chcę teraz o tym dyskutować. Provoni oddał się rozmyślaniom. Frolixianie nie mieli określonego kształtu; ich odwieczną metodą przetrwania było upodabnianie się do przedmiotów bądź innych żywych istot. Ich siła polegała na tym, że mogli absorbować stworzenia, stawać się nimi, wykorzystując je jako paliwo, a potem odrzucając ich próżne łupiny. Procesu tego, przypominającego raka, nie będzie łatwo wykryć policyjnej służbie śledczej Grama; nawet kiedy proces transformacji obejmuje najważniejsze organy, opanowane stworzenie może funkcjonować i przeżyć. Zgon następował wtedy, gdy Frolixianin się wycofywał – przestawał zaopatrywać fałszywe płuca, serce, nerki. Na przykład wątroba Frolixianina mogła funkcjonować również jako wątroba autentyczna, którą zastępowała... tyle że zani-184 kała po strawieniu wszystkiego, co miało jakąś wartość.

Najbardziej przerażający był atak Obcych na mózg. Człowiek – bądź inny zaatakowany organizm – cierpiał na pseudo-psychotyczne procesy myślowe, których nie rozpoznawał jako własne... i miał racje; były cudze. I stopniowo, w miarę przejmowania i zastępowania mózgu, wszystkie procesy myślowe tego organizmu stawały się frolixiańskie. W tym momencie Frolixianin go opuszczał, i ofiara przestawała istnieć, pozbawiona kompletnie psychiki. Na szczęście, rozmyślał Provoni, jesteś selektywny w wyborze żywicieli, nie interesuje cię bowiem ani nie pociąga rozmnożenie się na Ziemi i położenie kresu życiu organizmów humanoidalnych. Zależy ci tylko na strukturze władzy. I jak tylko się z tym uporasz, myślał, to odjedziesz. Prawda? – Tak – powiedział Morgo, słuchając jego myśli. – Nie kłamiesz? – spytał Provoni. Frolixianin krzyknął z bólu. – No, dobrze – powiedział szybko Provoni. – Przepraszam. Przypuśćmy jednak... – Nie dokończył, przynajmniej na głos. Za to jego myśli przeskoczyły do ostatecznego wniosku: nasyłam na Ziemię rasę morderców, by wszystkich na równi zniszczyła. – Panie Provoni – przemówił Morgo – dlatego właśnie ja, i tylko ja, jestem tutaj z panem: chcemy spróbować rozwiązać problem bez konfliktu fizycznego... jaki miałby miejsce, gdyby przylecieli

moi 8 185 bracia... jaki miałyby miejsce wtedy. Nie wezwiemy ich jednak, chyba że okażą się potrzebni dla otwartych działań wojennych. Będę pertraktował w sprawie zasadniczych zmian ustrojowych na waszej planecie; na to elita władzy się zgodzi. W aktualnościach, które udało ci się złapać, wspomniano o otwarciu wszystkich obozów koncentracyjnych. Robią to, żeby nas ułagodzić, prawda? Nie ze słabości, ale dla uniknięcia otwartej walki, żeby pokazać zjednoczony front. Twoją rasę cechuje ksenofobia. Ja zaś jestem ostatecznym cudzoziemcem. Kocham cię, panie Provoni; kocham twoich ludzi... o ile znam ich poprzez twój umysł. Nie zrobię tego, co mógłbym, choć dam im poznać, co potrafię. W pamięciowym segmencie twego umysłu znajduje się opowieść Zeń o najwspanialszym szermierzu Japonii. Dwaj mężczyźni wyzywają go na pojedynek. Godzą się płynąć na niewielką wyspę i walczyć tam. Najwspanialszy szermierz Japonii, jako uczeń filozofii Zeń, kieruje akcją w ten sposób, żeby opuścić łódkę na końcu. W chwili, gdy dwaj mężczyźni schodzą na wyspę, odbija od brzegu, wiosłuje do tyłu i zostawia ich wraz z ich mieczami. W ten sposób udowadnia swoje prawo do tytułu, który brzmi: on jest rzeczywiście najlepszym szermierzem Japonii. Widzisz analogię do mojej sytuacji? Mogę zniszczyć wasze elitę władzy, ale zrobię to bez walki... jeśli rozumiesz, co mam na myśli. W gruncie rzeczy będzie to moja odmowa walki... a mimo to demonstracja siły – co przerazi ich najbardziej, bo nie będzie im się mieściło w głowie, że można dysponować taką potęgą, ale jej nie używać. Gdyby oni ją mieli, użyliby jej, wasze władze. Wasi Nowi, którzy są dla mnie niczym brzęczenie much. O ile otrzymuję ich właściwy obraz z twego umysłu; jeśli znasz ich naprawdę. – Powinienem ich znać – odparł Provoni. – Je-stern jednym z nich. Jestem Nowy.

Morgo odparł natychmiast:

–Wiedziałem. Objawy tego i twoja wiedza o tym przesądzały się do twego świadomego umysłu. Zwłaszcza podczas snu. – A więc jestem podwójnym renegatem – powiedział sztywno Provoni. – Dlaczego zerwałeś z pobratymcami? – Na Ziemi żyje sześć tysięcy Nowych – odpowiedział Provoni – rządzących przy pomocy czterech tysięcy Niezwykłych. Dziesięć tysięcy w hierarchii Służby Publicznej, która eliminuje wszystkich pozostałych... pięć miliardów Starych... – Urwał i pograżył się w milczeniu, po czym zrobił coś zadziwiającego: podniósł rękę i plastikowa filiżanka z wodą poszybowała ku niemu, wpadając prosto do jego dłoni. – Jesteś także Niezwykłym – odezwał się Morgo i dodał. – Telekinetykiem. Tego się nie domyśliłem. – O ile wiem, stanowią jedyny przypadek fuzji Nowego z Niezwykłym. Jestem wybrykiem natury, odszczepieńcem od innych wybryków natury. – Jakże daleko mógłbyś zejść w Służbie Publicznej; weź pod uwagę, co na pewno już zrobiłeś, jaką kategorię mógłbyś zdobyć. 188 – Och, do diabła; okazałem się podwójnym zero-

–trzy. Nie otwarcie, tylko podczas testów, jakie przeszedłem w tajemnicy. Mógłbym rzucić wyzwanie każdemu z nich. – Panie Provoni – powiedział Frolixianin. – Nie rozumiem, dlaczego nie działałeś od wewnątrz. – Nie zdołałbym usunąć dziesięciu tysięcy urzędników rządowych, od R-jeden do podwójnego zero-trzy, aż po Nadzwyczajny Komitet Bezpieczeństwa Publicznego i Przewodniczącego Grama. – Ale to nie był prawdziwy powód, i on o tym wiedział. – Bałem się – ciągnął – że jeśli odkryją prawdę, to mnie zabiją. Kiedy byłem małym chłopcem, moi rodzice się bali. Wszystkich... Nowych, Niezwykłych... a także Starych i Podludzi. Mogłem być zwiastunem rasy super supermenów; gdyby to wyszło na jaw, nastąpiłoby pełne nienawiści wrzenie, ja zaś – machnął ręką – bym zniknął. I rozpoczęłyby się poszukiwania innych podobnych do mnie. – Nikomu nie przyszło do głowy, że może pojawić się osoba łącząca w sobie oba typy – powiedział Frolixianin. – To jest, teoretycznie. Zanim nie poddali testom ciebie. – Jak powiedziałem, moje testy miały charakter prywatny. Ojciec miał kategorię R-cztery, jako Nowy, i zorganizował to w tajemnicy, po tym jak zauważył u mnie zdolności t-k, a wiedział ponadto, że mam Węzły Rogersa, które sterczały mi z mózgu niczym patyki. To ojciec nakazał mi ostrożność. Niech Bóg da mu wieczne odpoczywanie. Wiesz, wybuchają te wielkie wojny ogólnoplanetarne i międzyplanetar- 8 189 ne, i wszyscy mają myśleć o ideologiach, jakie się z tym wiążą... podczas gdy w rzeczywistości większość ludzi potrzebuje po prostu dobrego, bezpiecznego, nocnego snu. – Po chwili dodał: – Wyczytałem kiedyś w jakimś piśmidle medycznym, że w gruncie rzeczy wiele osób o inklinacjach samobójczych potrzebuje faktycznie dobrego, nocnego snu i sądzi, że odnajdzie go w śmierci. Dokąd mnie niosą moje myśli! – zdziwił się. Nie zastanawiałem się nad samobójstwem od lat. Odkąd opuściłem Ziemię. – Musisz się przespać – powiedział Morgo. – Muszę się dowiedzieć, czy moja trzecia wiadomość

dociera na Ziemię – odparł z rozdrażnieniem Provoni. – Czy naprawdę możemy być na Ziemi już za sześć dni? Zaczynały go nawiedzać omamy: pola i pastwiska, wielkie pływające miasta na błękitnych oceanach Ziemi, kopuły na Lunie i Marsie, Nowy Jork, królestwo Los Angeles. A zwłaszcza San Francisco z jego niezwykłym, bajecznym, staromodnym systemem „szybkiego” ruchu BART, wybudowanym jeszcze w roku 1972 i przez sentyment nadal używanym. Jedzenie, myślał. Stek z grzybami, ślimaki, żabie udka... kruche, jeśli je przedtem zamrozić, o czym większość ludzi nie pamięta, łącznie z licznymi, niezłymi skądinąd restauracjami. – Wiesz, co chcę? – spytał Frolixianina. – Szklankę zimnego mleka. Z lodem. Pół galona. Chciałbym sobie siedzieć i sączyć mleko. 190 – Jak zauważyłeś, panie Provoni – powiedział Morgo – człowieka interesują przede wszystkim rzeczy małe i bezpośrednie. Odbywamy podróż, która wpłynie na życie i nadzieje sześciu miliardów ludzi, a jednak kiedy w myślach nareszcie tam jesteś, oczyma wyobraźni widzisz siebie siedzącego przy stole ze szklanką mleka. – Zrozum jednak – odparł Provoni – oni są tacy sami. Dokonuje się inwazja Obcych na Ziemię i każdy – każdy! – myśli jedynie o przeżyciu. Mit o oświeconym podnieceniu, niemej masie ludzkiej, szukającej orędownika, przywódcy... którym mógłby być Cordon. Ale ilu ludzi naprawdę to obchodzi? Może nawet Cordon się nie przejmuje... w każdym razie, nie za bardzo. Wiesz, czego się obawiała francuska szlachta podczas Rewolucji? Że ktoś wejdzie i rozbije im pianina. Ich ciasna wyobraźnia... – przerwał. – Którą nawet ja dzielę do pewnego stopnia – dodał na głos. – Cierpisz na nostalgię. Widać to w twoich snach; co noc spacerujesz ścieżkami wśród lasów Ziemi i wznosisz się w majestatycznych windach na dachy do restauracji czy narkobarów. – Tak, do narkobarów – odparł Provoni. Wszystkie prochy dawno mu się skończyły, rozweselające i wszelkie inne... łącznie, rzecz jasna, z najróżniejszymi pastylkami pobudzającymi umysł. Siadę sobie przy kontuarze, powiedział do siebie, i będę łykał jedną drażetkę, kapsułkę, pigułkę, tabletkę po drugiej. Zaprawię się aż do niewidzialności. Pofrunę 8 191 niczym kruk, niczym wrona; będę gdał i ćwierkał nad polanki zieleni, szybując do blasku słońca i uciekając przed nim. Jeszcze tylko sześć dni. – Pozostała jedna sprawa, której nie załatwiliśmy, panie Provoni – odezwał się Frolixianin. – Czy mamy dokonać wstępnej prezentacji publicznej uroczystie, czy też wylądujemy na jakimś pustkowiu, gdzie nikt nas nie zobaczy? I stamtąd zaczniemy powoli działać? Miałbyś swobodę ruchów, jeżeli wybierzemy pustkowie. Mógłbyś zobaczyć i podziwiać swoje pola pszenicy, swoje łąny kukurydzy w Kansas; mógłbyś odpocząć, zażywać pigułki, a także, jeśli mi wolno to powiedzieć, ogolić się, wykapać, przebrać w czyste ubranie; odświeżyć. Jeśli zaś opuścimy się na środek Times Square... – Wszystko jedno, czy wylądujemy pośrodku Times Square, czy na pastwisku w Kansas – odparł Provoni. – Będą utrzymywać stały alarm radarowy, wypatrując nas zewsząd. Mogą nas nawet zaatakować, bądź spróbować zaatakować ze statków liniowych, zanim w ogóle dotrzemy w pobliże Ziemi, Nie uda nam się przylecieć niepostrzeżenie; tym bardziej, że ważysz około dziewięćdziesięciu ton. Nasze silniki hamujące rozświetlą niebo niczym fajerwerki. – Nie mogą zniszczyć Szarego Dinozaura. Oplotłem go już sobą całkowicie. – Ja to wiem, ale oni – nie;

mogą zresztą próbować. Ciekawe, jak będę wyglądał, kiedy stanę w luku? – pomyślał. Lepiący się od brudu, cuchnący, o nie-192 chlujnych nawykach... ale czyż to ich zaskoczy? Czy tłum tego nie zrozumie? Może właśnie tak powinienem wyglądać. – Times Square – powiedział głośno. – Późną nocą. – Nie. Nawet nocą będzie nadmiernie zatłoczony.

–Damy salwę ostrzegawczą z dysz. Jak zobaczą, że lądujemy, to się cofną. – A potem pocisk termojądrowy z działa T-40 rozerwie nas na strzępy. – Czuł gorycz i złość. – Panie Provoni, proszę nie zapominać, że jestem na pół materialny, że potrafię wszystko wchłaniać. Będę spowijał ciebie i twój stateczek tak długo, jak trzeba. – Może wpadną w szal na mój widok. – Z entuzjazmu? – Nie wiem. Ludzie wpadają w szal z byle powodu. Ze strachu przed nieznanym; nie wykluczałbym tego. Mogą uciekać przede mną tak daleko, jak to będzie fizycznie możliwe: mogą uciekać do Denver w Kolorado, zbijając się w gromady niczym przestraszone kocięta. Nie widziałeś przestraszonego kota, co? Ja zawsze trzymałem koty, kocury, nie oswojone, i zawsze mój kot był ofiarą losu. On był tym, który wraca w strzępach. Wiesz, w jaki sposób możesz poznać, czy twój kot jest nieudacznikiem? Kiedy on i drugi kot stają do walki, podbiegasz, by ratować swojego, i jeśli to twardeł, natychmiast rzuca się na wroga. A jeśli ofiara losu, diabelnie łatwo pozwala ci się wziąć do ręki i odnieść do domu. 8 193 – Niedługo znowu ujrzysz swoje koty – powiedział Morgo.

–Ty też.

–Opisz mi kota. Wyobraź go sobie. Wszystkie twoje wspomnienia i skojarzenia z kotami. Thors Provoni myślał o kotach. Wydawało się to nieszkodliwe, skoro mieli jeszcze sześć dni do lądowania na Ziemi. – Co za upór – powiedział wreszcie Morgo. – Mój? Mówisz o mnie? – Nie, mówię o kotach. I jaki egocentryzm. Provoni odparł z gniewem: – Kot jest lojalny wobec swego pana. Ale okazuje to subtelnie. Na tym polega cała sprawa, kot nie oddaje się nikomu, jest już taki od milionów lat, a potem człowiekowi udaje się wydłubać szczelinę w tym jego pancerzu i kot ociera się o człowieka i siada mu na kolanach i mruczy. A więc z miłości do człowieka przełamuje dziedziczony genetycznie od dwóch milionów lat wzorzec postępowania. Jakież to zwycięstwo. – Zakładając, że kot jest szczery – powiedział Morgo – a nie próbuje wyżebrać więcej jedzenia. – Myślisz, że kot może być hipokrytą? – spytał Provoni. – Nie słyszałem, żeby im zarzucano hipokryzję. Prawdę mówiąc, dużo krytycznych opinii o nich bierze się z ich brutalnej uczciwości; skoro nie lubią swego pana, to gówno, odchodzą do kogoś innego. – Sądzę – powiedział Morgo – że wolałbym mieć psa, kiedy przylecimy na Ziemię. 13 – Nasi przyjaciele.. 194 – Psa! Po moich rozmyślaniach nad naturą kotów – po tym całym bogactwie materiału o gorąco kochanych kotach z mojej przeszłości; wciąż myślę o jednym z nich, który nazywał się Asherbanopol, chociaż mówiliśmy na niego Ralf. Asherbanopol to imię egipskie. – Tak – odparł Frolixianin. – Ciągłe w głębi duszy wzdychasz do Asherbanopola. Ale kiedy się umrze, to jak u Marka Twaina... – Zgadza się – powiedział ze smutkiem. –

Wszystkie się tam schodzą. Szpaler stworzeń po obu stronach drogi, czekających na ciebie. Zwierzę nie chce wejść do Raju bez swego pana. Czekają rok za rokiem. – I ty wierzysz w to żarliwie. – Czy wierzę? Ja wiem, że to prawda; Bóg żyje; ów szkielet który znaleźli w głębinach Kosmosu, to nie był Bóg. Nie znajduje się Boga w takich okolicznościach, to pomysł rodem ze Średniowiecza. Wiesz, ' gdzie odnajdziesz Ducha Świętego? Nie ma go w przestrzeni – niech to diabli, on sam stworzył przestrzeń. Jest tutaj. – Wskazał na swoją pierś. – Ja... to jest, każdy z nas... nosi w sobie cząstkę Ducha Świętego. Przyjrzyj się własnej decyzji pośpieszenia nam z pomocą... nic ci z tego nie przyjdzie, możesz doznać obrażeń, albo ulec czemuś w rodzaju destrukcji, jaką szykuje wojsko, a o której nic nie wiemy. – Otrzymuję coś z przybycia na twoją planetę – powiedział Morgo. – Mogę wziąć i trzymać małe formy życia: kota, psa, liść, ślimaka, wiewiórkę. Czy 8 195 wiesz... czy rozumiesz... za na Frolixie 8 wszystkie formy życia oprócz nas zostały wysterylizowane i wskutek tego od dawna ich nie ma... aczkolwiek widywałem ich kopie, trójwymiarowe repliki sprawiające wrażenie całkowicie realnych. Podłączone bezpośrednio do sterujących ganglionów naszych centralnych systemów nerwowych. Thorsa Provoniego przeszył strach. – Niepokoi cię to – ciągnął Morgo – że tak postąpiliśmy. Właśnie my; rozrastaliśmy się, dzieliliśmy, rozrastaliśmy. Musieliśmy zurbanizować każdy centymetr kwadratowy naszej planety; zwierzęta przymierały głodem i woleliśmy użyć gazu sterylizującego. Nie mogły żyć w naszym świecie razem z nami. – Wasza populacja już się skurczyła, prawda? – spytał Thors. Nadal odczuwał strach, tkwiący w nim na kształt zwiniętego węża. Który tylko czeka, by się rozwinąć, by ukazać swoje jadowe zęby. – Mogliśmy zawsze znaleźć większe miejsce – powiedział Morgo. Na przykład Ziemię, pomyślał Provoni. – Nie, tam już żyje czująca dominanta. Cywilne skrzydło naszych kół rządowych zakazało nam... – zawahał się. – Wojskowy? – powiedział ze zdziwieniem Pro-voni. – Jestem komandosem. Dlatego wybrali mnie do lotu z tobą na Soi 3. Cieszę się reputacją zdolnego do rozstrzygania sporów drogą argumentów i siły. Groźba użycia siły sprawia, że słuchają argumentów; wiedza, moja wiedza, ukazuje najlepszy sposób, 196 dzięki któremu społeczeństwo może odnieść sukces.

–Robieś to już wcześniej? – Oczywiście, że robił.

–Liczę sobie ponad milion lat – odparł Morgo. – Wsparty groźbą użycia siły, kładłem kres wojnom tak wielkim, z tak ogromną liczbą uczestników, że nie potrafiłbyś sobie tego wyobrazić. Rozwiązywałem problemy polityczno-ekonomiczne, czasami poprzez wprowadzenie nowych urządzeń technicznych, bądź przynajmniej prac teoretycznych, dzięki którym można je uzyskać. Potem się usuwałem, a reszta należała do nich. – Interweniowałeś tylko na wezwanie? – spytał Provoni. – Tak. – A więc pomagasz w istocie jedynie tym cywilizacjom, które mogą wytworzyć napęd międzygwiazdny. I wyekspediować swego kuriera tam... gdzie go w końcu zauważasz. Jednak społeczeństwo średniowieczne, posługujące się łukami i rogowymi hełmami... – Mamy na ten temat ciekawą teorię – odparł Morgo. – Na etapie

łuku, w gruncie rzeczy na artylerii i statków powietrznych, statków wodnych, bomb... to nie nasza sprawa. Nie chcemy się do tego mieszać, ponieważ nasza teoria głosi, że nie mogą zniszczyć ani swojej rasy, ani swojej planety. Lecz kiedy są konstruowane bomby wodorowe i techno-kracja umożliwia budowę międzygwiazdnych... – Nie wierzę – powiedział stanowczo Provon. – Dlaczego? – Florixianin zrezygnacyjnie wysondował 8

jego mózg, ale z charakterystycznym dla siebie respektem. – Ach, rozumiem – powiedział. – Dobrze wiesz, że mogą zbudować bomby wodorowe dużo wcześniej, niż skonstruują napęd międzygwiazdny. Masz rację... – urwał. – No dobrze. Pozwalamy sobie na zaangażowanie tylko wtedy, gdy przyleci do nas statek zdolny do podróży międzygwiazdnych. Ponieważ cywilizacja na tym poziomie stanowi dla nas potencjalne niebezpieczeństwo. Odnaleźli nas. Z naszej strony wskazana jest pewna reakcja – na przykład taka, która miała miejsce w twoim świecie, kiedy to admirał Perry zrobił wyłom w murze otaczającym Japonię... i w ciągu kilku lat cały kraj musiał się zmodernizować. Rozważ: mogliśmy się zdecydować po prostu na zabijanie każdego międzygwiazdowego astronauty zamiast pytać, co możemy zrobić dla stabilizacji jego kultury. Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, ile kultur boryka się z wojnami, konfliktami pomiędzy mocarstwami, tyranią... niektóre dużo bardziej rozwinięte niż wasza. Wy spełniliście jednak nasze kryterium: dotarliście do nas. A więc jestem, panie Provoni... – Nie podoba mi się ta historia z eksterminacją zwierząt – odparł Provoni. Myślał o sześciomiliardowej populacji Starych. Czy zostanie potraktowana tak samo? A może nas wszystkich potraktują w ten sposób: Nowych, Niezwykłych, Starych i Podludzi – zabiją nas i odziedziczą naszą planetę razem ze wszystkimi jej wytworami? – Panie Provoni, pozwól sobie wyjaśnić dwie sprawy, które na pewno uspokoją twoje rozdygotane 198 nerwy. Po pierwsze: wiedzieliśmy o waszej cywilizacji od stuleci. Nasze statki wchodziły w atmosferę Ziemi jeszcze w czasach łodzi wielorybnych. Mogliśmy ją zająć w każdej chwili, gdybyśmy chcieli; nie sądzisz, że łatwiej byłoby pokonać „cienką czerwoną linię”, Czerwone Płaszcze, niż stawiać czoło taktycznym rakietom kobaltowym i wodorowym, jak my musimy uczynić – i właśnie teraz to czynimy? Prowadzę nasłuch. Kilka myśliwców krąży blisko strefy, w której zaczyna na nas działać pole grawitacyjne Słońca. – A po drugie? – Będziemy kraść. – Kraść! – Provoni był zdumiony. – Co?

–Niezliczoną różnorodność waszych odkurzaczy, maszyn do pisania, trójwymiarowych wideo, dwudziestoletnich baterii, komputerów – w zamian za położenie kresu tyranii pokręcimy się chwilę, zbierając działające modele, jeśli to możliwe, lub opisy wszelkich, jakie sobie można wyobrazić, roślin, drzew, łodzi, narzędzi – wymień, co chcesz. – Przecież jesteście technicznie bardziej zaawansowani od nas. Morgo powiedział uprzejmie: – To nie o to chodzi. Każda cywilizacja, na każdej planecie, tworzy wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju narzędzia, obyczaje, teorie, zabawki, kwa-soodporne cysterny, karuzele. Chcę cię o coś zapytać: założmy, że mógłbyś się przenieść do osiemnasto-wiecznej Anglii. I wziąć ze sobą, co ci się podoba. Czyż nie zabrałbyś mnóstwa rzeczy? Samego malarstwa... widzę jednak, że rozumiesz. 8 199 – Jesteśmy gabinetem osobliwości! – wykrzyknął z furią Provoni. – Tak, to właściwe słowo. Osobliwość zaś jest jednym z najważniejszych składników użytkowych Wszechświata, panie Provoni. Stanowi podkategorię zasady wyjątkowości, którą wasz pan Bernhad wyjaśnił w swej „Teorii Aprzyczynowości Mierzonej Przez Dwie

Osie". Wyjątkowość jest wyjątkowa, ale zdarza się też coś, co Bernhad nazywa niby-wyjątkowością, o której wielu... – To ja sformułowałem teorie Bernhada – powiedział Provoni. – Byłem młodym uniwersyteckim mądrałą, członkiem zespołu jego adiunktów. Przygotowaliśmy komplet danych, cytatów, wszystko – doprowadziliśmy do ich publikacji w „Naturę” – Bernhad dał tylko nazwisko. W 2103 miałem osiemnaście lat. Teraz mam sto pięć. – Skrzywił się. – Pod wieloma względami jestem starcem. Ale wciąż żyję i działam; potrafię jeszcze sikać i odczuwać smród, jeść, spać i pieprzyć. W każdym razie czyta się o ludziach dożywających dwustu lat, urodzonych jeszcze w 1985, kiedy to wyizolowano wirusa odpowiedzialnego za proces starzenia i czterdzieści procent ludności poczęło się szprycować środkami anti-gerontycznymi. W tym momencie pomyślał o zwierzętach i około sześciu miliardach Ziemi, którzy zmierzali donikąd, co najwyżej być może do naprawdę gigantycznych obozów koncentracyjnych na Lunie, z ich nie przepuszczającymi światła pancernymi ścianami; więźniowie nie mogli nawet oglądać krajobrazu do-200 około siebie. W tych obozach musi siedzieć od dwunastu do dwudziestu milionów Starych, myślał. Cała armia. Gdzie oni się podzieją na Ziemi? Dwadzieścia milionów? Dziesięć milionów mieszkań? Dwadzieścia milionów miejsc pracy i wszystkie bez kategorii R? Nie w Służbie Publicznej. Może Gram podaje nam śmierdzące jajko, myślał. Jeśli przejmie obowiązki rządu, choćby chwilowo, to obowiązek załatwienia problemów tych ludzi spadnie na nas. Kto wie, czy nie musielibyśmy – niewiarygodne – upchnąć ich z powrotem w obozach na jakiś czas. Chryste, pomyślał, skąd w człowieku tyle ironii? – Okręt wojenny z lewej burty – powiedział nagle Morgo Rahn Wilc. – Co, co takiego? – Sprawdź na ekranie radaru. Zobacysz plamkę świetlną – pojazd kosmiczny, ogromny, poruszający się niezwykle szybko, za szybko jak na frachtowiec. Leci wprost na nas. – Chwila ciszy. – Kurs na zderzenie; chcą siebie poświęcić, aby nas zatrzymać. – A mogą? Morgo odparł cierpliwie: – Nie, panie Provoni. Nawet jeśli zamontowali głowice wodorowe kaliber 88 albo cztery wodorowe torpedy. Zaczekam, póki nie zobaczę, myślał Provoni, pochylając się nad ekranem. Bo to jest na pewno jeden z tych nowych szybkich LR-82... Tarł ze znużeniem czoło. – Nie, to było dziesięć lat temu; żyję przeszłością 201 – powiedział. – W każdym razie, to szybki model.

–Nie tak szybki jak nasz, panie Provoni – odparł Morgo. Szary Dinozaur huknął i zadrżał, kiedy odpaliły silniki rakietowe; potem rozległ się charakterystyczny jęk wchodzenia w nadprzestrzeń. Statek ziemski ruszył za nimi. Jeszcze raz zawisł na ekranie i z każdą sekundą powiększał się coraz bardziej, wszystkie jego główne silniki płonęły jaskrawą aureolą tańczącego, buchającego, żółtego światła. – Sądzę, że to koniec – powiedział Provoni.

XIX

Meldunek dotarł do Willisa Grama bezzwłocznie. Wyprostował się na poduszkach jakby kij połknął i zwrócił się do członków Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, zgromadzonych wokół łóżka w jego sypialnym gabinecie: –
Posłuchajcie. Borsuk ma na celowniku Szarego Dinozaura. Dinozaur rozpoczął manewry wymijające. Zbliżamy się w szybkim tempie. – Nie chce mi się wierzyć – mruknął z radością Gram. – Wezwałem was tutaj – przemówił do członków Komitetu – z powodu tego trzeciego liściku, który dostaliśmy od Provoniego. Będzie tutaj za sześć dni. – Przeciągnął się, ziewnął, po czym przesłał wszystkim wokół szeroki uśmiech. – Miałem wam powiedzieć, jak szybko musimy wziąć się do roboty, żeby otworzyć obozy koncentracyjne i zaprzestać represji wobec Podludzi, będących jeszcze na wolności, oraz wysadzania w powietrze ich nadajników, drukarni i całej reszty. Ale jeśli Borsuk zetrze Dinozaura na proch, to dobra nasza! Możemy działać tak, jakby nic się nie stało, jakby Provoni nigdy nie powrócił. 8 203 – Tylko że oba pierwsze liściki były wyemitowane w telewizji – powiedział zgryźliwie Fred Rayner, Minister Spraw Wewnętrznych. – No cóż, nie będziemy ujawniać treści trzeciego. Że lądują za sześć dni, przejmują władzę i tak dalej. – Panie Przewodniczący – odezwał się Książę Bostrich, Minister Stanu – trzecia wiadomość idzie – tak mi Boże dopomóż – w paśmie czterdziestu metrów, jest więc odbierana na całym świecie. Jutro o tej porze wszyscy będą wiedzieć. – Ale jeśli Borsuk dopadnie Szarego Dinozaura, to nie będzie to miało znaczenia. – Gram wciągnął głęboko powietrze w płuca, sięgnął po tabletkę amfetaminy, żeby wznieść się jeszcze wyżej w tej nagłej i niespodziewanej chwili wielkości. – Wiecie, że to był mój pomysł – przemówił do nich, a zwłaszcza do Patty Platta, Ministra Obrony, który nigdy go nie lubił ani nie szanował – pięć lat temu, żeby rozmieścić w przestrzeni takie statki jak Borsuk... myśliwce, lekko uzbrojone. Wiadomo, że Szary Dinozaur nie jest uzbrojony. A więc nawet statek patrolowy może go zniszczyć. – Panie Przewodniczący – odezwał się generał Hefe – ja znam te patrolowce klasy T-144, klasy Borsuka. Z powodu długich okresów przebywania w Kosmosie, oraz dystansów, jakie muszą pokonywać, są zbyt masywnie zbudowane, aby manewrować w odległości, z której strzał z łuku, dla przykładu, byłby celny... – Według pana, moje myśliwce są przestarzałe? Dlaczego mi nie powiedzieliście? 204 – Ponieważ nie przyszło nam do głowy – powiedział generał Rayburn z czarnymi wąsikami – że po pierwsze Provoni może wrócić, a po drugie, że statkowi patrolowemu stacjonującemu w bezmiarze pustej przestrzeni uda się Dinozaura zlokalizować, gdyby wrócił – powinienem raczej powiedzieć, kiedy wróci. Liczba parseków do... – Generałowie Rayburn i Hefe – powiedział Gram – możecie przystąpić do układania waszych rezygnacji. Chcę je mieć gotowe do podpisu za godzinę. – Z tymi słowy ułożył się wygodnie, po czym nagle usiadł prosto; nacisnął klawisz włączający główny ekran wideofoniczny. Widniał na nim komputer z Wyoming, albo co najmniej jego fragment. – Technik! – wydał Gram polecenie. Pojawił się programista w białym fartuchu. – Tak, panie Przewodniczący. –

Potrzebuję prognozy rozwoju takiej oto sytuacji: statek T-144 spotkał Szarego Dinosauria w punkcie... – sięgnął na biurko, szukając po omacku, męcząc się i stękając -... o następujących współrzędnych. – Odczytał je technikowi, który oczywiście zarejestrował instrukcje. – Chcę wiedzieć – ciągnął Gram – czy wzięwszy pod uwagę wszystkie fakty, są szansę na to, że statek klasy T-144 zniszczy Szarego Dinosauria. Technik przewinął taśmę, a później podłączył aparat do wejścia komputera i wcisnął klawisz zasilania. Za plastikową ramką przekręciły się szpule; taśmy zaczęły się rozwijać i nawijać. – Dlaczego nie zaczekamy po prostu na wy- 8
205

nik bitwy? – spytała Mary Scourby, Minister Rolnictwa.

–Dlatego, że ten przeklęty Dinosaur – odparł Gram – i ten osioł Provon, który go pilotuje – oraz ich pozaziemski przyjaciel – mogą być naszpikowani bronią. A za nimi może ciągnąć flota. – Zwrócił się do generała Hefe, który mozolnie spisywał swą dymisję. – Czy nasze radary nie zauważyły niczego innego w tym obszarze? Niech pan zapyta Borsuka. Generał wyjął z kieszeni kurtki aparat nadawczo-odbiorczy. – Są nowe światełka na ekranie Borsuka? – Cisza. – Nie. – Wrócił do układania rezygnacji. – Panie Przewodniczący – powiedział technik w Wyoming. – Mamy odpowiedź komputera 996-D na pańskie pytanie. Uważa, że przesłankę krytyczną stanowi trzecia wiadomość od Thorsa Provoniego, ta którą odbieramy na wszystkich falach w paśmie czterdziestu metrów. Po analizie oświadczenia zaczynającego się od słów: "Będziemy u was za sześć dni", komputer dochodzi do wniosku, że implikuje ono obecność jednego z Obcych na pokładzie Szarego Dinosauria. Nie znając mocy ani zdolności Obcego, komputer nie może dokonać obliczeń, określa jednak następującą zależność – Szary Dinosaur nie jest w stanie długo zwodzić patrolowca T-144. A więc zmienna niewiadoma – obecność Obcego – jest zbyt duża. Komputer nie może wyliczyć rozwoju sytuacji. – Odbieram wiadomość od zespołu monitorują-
206

cego Borsuka – oznajmił generał Rayburn. – Proszę o ciszę. – Przechylił głowę na bok, w stronę wetkniętej do ucha słuchawki. Cisza. – Borsuk zniknął – powiedział. – Zniknął? – pół tuzina głosów przemówiło równocześnie. – Zniknął? – spytał Gram. – Gdzie zniknął?

–W nadprzestrzeni. Wkrótce się dowiemy, bo jak dowodzą liczne przypadki, statek może przebywać w nadprzestrzeni dziesięć, dwanaście, najwyżej piętnaście minut. Nie będziemy długo czekać. – Dinosaur odskoczył bezpośrednio w nadprzestrzeń? – zdziwił się generał Hefe. – To się uważa za ostateczność – za ostatnią deskę ratunku. I wciągnęli za sobą Borsuka. Może Dinosaur został przebudowany; może ma teraz poszycie ze stopu, który się tak szybko nie rozkłada w nadprzestrzeni. Może tylko chcą poczekać, aż się Borsuk rozleci albo zawróci do między- czy paraprzestrzeni. Wiecie, Szary Dinosaur, który opuścił Układ dziesięć lat temu, nie musi być Szarym Dinosauriem, który wraca. – Borsuk go rozpoznał – powiedział

generał Hefe. – To jest ten sam statek, a jeśli zmodyfikowany, to raczej w sposób niewidoczny z zewnątrz. Kapitan Greco z Borsuka, zanim wpadł w nadprzestrzeń, dał znać, że obiekt odpowiadał foto-identyfikatorowi sprzed piętnastu lat w najdrobniejszych szczegółach, z wyjątkiem... – Czego? – rzucił Gram, zgrzytając zębami. Mu- 8 207

szesz przestać zgrzytać zębami, pomyślał; ostatnio złamałem te prawą, górną koronkę. Powinno mnie to być nauczyć. Odchylił głowę do tyłu, gmerając w poduszkach. – Tego, że niektóre zewnętrzne czujniki albo zniknęły, albo zostały wyraźnie zmienione, najpewniej uległy zniszczeniu. I oczywiście kadłub był głęboko porwany. – Borsuk to wszystko dostrzegł? – zdziwił się Gram. – Nowa lampa radaroskopowa Knewsdena, tak zwany okular, potrafi... – Cicho. – Gram spoglądał na zegarek. – Zmierzę im czas – powiedział zdecydowanym tonem. – Minęły już jakieś trzy minuty, co? Niech będzie pięć dla pewności. – Siedział w milczeniu, patrząc na swoją Omegę; pozostali spojrzeli na zegarki. Minęło pięć minut. Dziesięć. Piętnaście.

W rogu pokoju Camelia Grimes, Minister Miejsc Pracy i Edukacji, poczęła cicho szlochać do misternej chusteczki. – Zwabił ich na śmierć – w połowie powiedziała, a w połowie ochryple wyszeptała. – O mój Boże, to takie smutne, takie strasznie smutne. Ci wszyscy mężczyźni są zgubieni. – Tak, to smutne – powiedział Gram. – I straszne, że udało mu się wymknąć statkowi patrolowemu. Mieliśmy jedną szansę na – ile? Miliard? Że taki pa-208 trolowiec w ogóle namierzy Dinozaura. A wyglądało już na to, że mamy Provoniego. Załatwionego; zabitego na oczach jego kosmicznych przyjaciół. Generał Rayburn zwrócił się do generała Hefe: – Czy mamy jakieś inne statki zdolne do przechwycenia Szarego Dinozaura, kiedy się wynurzy z nadprzestrzeni? – Nie – odpowiedział generał Hefe. – A więc nie będziemy tego wiedzieli – zauważył Gram. – Może także się rozleciał, razem z Borsukiem. – Będziemy wiedzieli, gdzie i kiedy się wynurzy – zaprotestował generał Hefe – ponieważ od razu wznowi nadawanie w paśmie czterdziestu metrów. – Spojrzał na adiutanta. – Każ włączyć mój teledator na sygnał transmisji z Dinozaura – rozkazał i obrócił się do Grama. – Zakładam, że... – Możesz sobie zakładać – wtrącił się generał Rayburn. – Żaden sygnał radiowy nie przejdzie z nadprzestrzeni do paraprzestrzeni. – Sprawdź, czy sygnały Provoniego urwały się kilka minut temu – powiedział generał Hefe do adiutanta. Po chwili młody, wysoki adiutant otrzymał wiadomość przez intercom, który nosił na kilku rzemykach, zawieszonych na szyi. – Sygnał zanikł dwadzieścia dwie minuty temu i nie został wznowiony. – Są jeszcze w nadprzestrzeni – stwierdził generał Hefe. – A sygnał nie musi się pojawić; może jest już po wszystkim. 8 209 – Niemniej żądani pańskiej rezygnacji – powiedział Gram.

Na pulpicie jego biurka zapaliła się czerwona lampka. Podniósł właściwą słuchawkę i spytał: – Tak? Masz ją u siebie? – Panna Charlotte Boyer – powiedziała jego recepcjonistka z trzeciego poziomu, legitymująca się świadectwem lojalności klasy A. – Doprowadzona przez dwóch ludzi z SBP, którzy musieli ją wlec przez całą drogę. Boże mój, jutro będą mieli sińce na łydkach, a jednego ugryzła w rękę; wyrwała mu

kawał ciała i musi natychmiast pójść do kliniki. – Zawołaj czterech żandarmów, niech zluzują ludzi z SBP. Jak przyjdą i wezmą ją w garść, daj mi znać i spotkam się z nią – powiedział Gram. – Tak jest. ŚŚ Gdyby pewien osobnik o nazwisku Denny Strong wpakował się do gmachu w poszukiwaniu dziewczyny – ciągnął Gram – ma być aresztowany za najście i ma natychmiast trafić do celi. Jeśli będzie próbował włamać się do mojego gabinetu, tutaj, niech go strażę zastrzelą. Na miejscu. W chwili, kiedy jego ręka dotknie gałki w drzwiach do tego pokoju. Kiedyś mogłem zrobić to sam, pomyślał Gram. Ale jestem już za stary i mam za wolny refleks. Niemniej jednak uniósł klapkę w rogu biurka... dzięki czemu kolba Magnum kaliber 38 znalazła się w zasięgu jego dłoni. Jeśli obraz Stronga w świadomości Nicholasa Appletona – oraz jego wiedza o nim – są prawidłowe, to lepiej być przygotowanym, pomyślał. Święty Boże, muszę być gotowy na konfrontację z Nickiem 14ŚNasi przyjaciele. 210

Appletonern – fakt, że opuścił gmach dobrowolnie, bez okazywania gwałtowności, nie oznacza, że będzie tak dalej. Na tym polegają kłopoty, kiedy się starzejesz, myślał. Idealizujesz w kobietach wszystko, ich naturę, ich osobowość... ale w moim wieku liczy się tylko to, czy będą dobre w łóżku, i tyle. Będę się nią rozkoszować, wykorzystam ją, nauczę ją paru sztuczek miłosnych, których pewnie nie zna, nawet jeśli jest oblatana w tych sprawach – o których jej się nie śniło. Na przykład może być moją małą rybką. A kiedy już je pozna, wypróbuje, będzie o nich pamiętała do końca życia. Będą ją dręczyć wspomnienia o nich... lecz gdzieś w głębi będzie pragnęła doświadczyć ich na nowo; były takie przyjemne. Przekonajmy się, co zrobią Nick Appoleton lub Denny Strong – czy kto tam ją po mnie dostanie – aby zaspokoić to pragnienie. Ona zaś nie będzie umiała się przemóc, aby mu powiedzieć, o co jej naprawdę chodzi. Zachichotał. – Panie Przewodniczący – odezwał się generał Hefe. – Mam wiadomość od mego adiutanta. – Młodzieniec pochylał się nad nim, szepcząc mu coś do ucha w tajemnicy. – Z przykrością muszę poinformować... sygnał na czterdziestu metrach został wznowiony. – No tak – powiedział obojętnie Gram. – Byłem pewny, że się z powrotem wynurzą; nie wchodziliby, gdyby nie wiedzieli, że dadzą sobie radę... a Borsuk nie dał. – Z trudem uniósł się do pozycji siedzącej, obrócił się, wyciągnął bryłową nogę 8 211 i wstał. – Mój szlafrok – powiedział, rozglądając się dookoła. – Ja go mam, proszę pana – oznajmiła Camelia Grimes; przytrzymała mu szlafrok, by mógł wetknąć ramiona do rękawów. – Teraz kapcie. – Leżą tuż obok pańskich stóp – zauważył generał Hefe. I pomyślał; potrzebujesz kogoś, by ci je nałożył, panie Przewodniczący? Ty gigantyczny grzybie, co każe na siebie czekać w dzień i w noc, wylegujący się w łóżku niczym chory dzieciak po lekcjach, uciekający od realiów dorosłego życia. Oto człowiek, na którym spoczywa główna odpowiedzialność za powstrzymanie najeźdźców. – Stale pan zapominasz – powiedział Gram, odwróciwszy się twarzą w jego stronę – że jestem telepatą. Gdybyś powiedział głośno, to co pomyślałeś, stanąłbyś przed plutonem gazowym. I ty wiesz o tym. – Czuł autentyczną złość, a rzadko kiedy irytowały go czyste myśli. Lecz w tym wypadku sprawy posunęły się za daleko. – Chcecie głosować? – zapytał i machnął ręką wszystkim, członkom Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa

Publicznego i dwóm najwyższego rzędu doradcom wojskowym Ziemi. – Głosować? – spytał Księżę Bostrich, przyglądając odruchowo swoje dystyngowane, srebrne włosy. – W jakiej sprawie? – Usunięcia pana Grama ze stanowiska Przewodniczącego i wybrania kogoś innego... z naszego grona... na jego miejsce – powiedział kwaśno Fred Rayner, Sprawy Wewnętrzne. Uśmiechał się sztywno 212 rozmyślając. Czy trzeba to wyjaśniać szczegółowo, jak dzieciom? Jest okazja pozbyć się starego tłustego durnia; niech spędzi resztę życia na rozplątywaniu zawilóści swego prywatnego życia... czego najświeższy przykład mieliśmy przed chwilą w postaci małej Boyer. – Chcę głosowania – oznajmił Gram po chwili ogólnego milczenia. Podśluchiwał w tym czasie ich rozmaite myśli i dowiedział się, że będzie miał poparcie; a więc nie martwił się prawie wcale. – No, dalej! – wykrzyknął. – Głosujcie! – Czytał nasze myśli; wie, jaki będzie wynik – powiedział Rayner. – Albo blefuje – odezwała się Mary Scourby, Rolnictwo. – Czytał nasze myśli i wie, że możemy go usunąć i że to zrobimy. – No to trzeba głosować – stwierdziła Camelia Grimes. Głosowali przez podniesienie rąk, sześć głosów było za pozostawieniem Grama i cztery przeciwko. – Graj w pchełki, staruszkule – powiedział Gram do Freda Raynera, uśmiechając się złośliwie. – Złap dziewczynkę, jeśli umiesz; jeśli nie, łap staruszkule, pośpiesz się. – A tym staruszkulem – odparł Rayner – jest pan. Odrzuciwszy w tył głowę, Willis Gram zawył z radości. Po czym wsunął stopy w kapcie i ruszył sztywnym krokiem w stronę głównych drzwi. – Panie Przewodniczący – powiedział szybko generał Hefe – może uda nam się nawiązać łącz- 8 213 ność z Dinozaurom i zorientować się, z jakimi żądaniami chce wystąpić Provoni oraz do jakiego stopnia jego kohorty Obcych mogą i będą... – Później z panem porozmawiam – odparł Gram, otwierając drzwi. Zatrzymał się w progu i powiedział częściowo do samego siebie: – Podrzyjcie swoje dymisje, generałowie, byłem chwilowo zdenerwowany; nie ma sprawy. – Ale ciebie dostanę, Fre-dzie Raynerze, ty potworze o podwójnej mózgowicy, dodał w duchu. Dopilnuję, żeby cię zlikwidowano za to, co o mnie pomyślałeś. Na trzecim poziomie Willis Gram, w piżamie, szlafroku i kapciach, podszedł wolnym krokiem do biurka swojej recepcjonistki, legitymującej się świadectwem lojalności klasy A – kategorii, która pozwalała jej znać i załatwiać większość jego prywatnych spraw i kłopotów. Swego czasu Margaret Plow była jego kochanką... miała wtedy osiemnaście lat. A spójrzcie na nią dzisiaj, kiedy jest po czterdziestce, powiedział do siebie. Energia, żar – zniknęły; została tylko żwawa, sprawna maska. Ściany wnęki były nieprzezroczyste. Nikt nie mógł obserwować ich w czasie rozmowy. Jedynie przechodzący telepata byłby w stanie cokolwiek odebrać, pomyślał Gram. Ale nauczyli się z tym żyć. – Czy sprowadziłaś czterech żandarmów? – spytał pannę Plow. – Trzymają ją w sąsiednim pokoju. Jednego ugryzła. – Oddał jej? 214

–Walnął dziewczynę aż poleciała na środek pokoju i zdaje się, że to jej dobrze zrobiło. Właściwie była... cóż, dosłownie niczym dzikie zwierzątko. Jakby myślała, że chcemy ją zabić. – Pójdę z nią pogadać – odparł i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Miał ją przed sobą, z jej oczu biła nienawiść i strach, niczym u drapieżnego ptaka

schwytanego w pułapkę – orle oczy, pomyślał, w które lepiej nie patrzeć. Nauczyłem się tego wcześniej; nie patrz w oczy orła i sokoła. Bo nie zapomnisz nienawiści, którą w nich ujrzysz... i żarliwej, nienasyconej potrzeby wolności, potrzeby latania. Oraz, ach, tych niezmiernych przestworzy. Tych śmiercionośnych pikowań na łup; na porażone trwogą króliki: to my. Śmieszny widok: orzeł uwięziony przez cztery króliki. Ale żandarmi to nie króliki, pomyślał. Widział, w jaki uchwyt ją wzięli... gdzie ją trzymali i jak mocno. Nie mogła się poruszyć. I potrafią wytrzymać dłużej niż ona. – Mógłbym kazać znowu dać ci na uspokojenie – oznajmił dziewczynie pojednawczym tonem. – Wiem jednak, jak tego nie lubisz. – Ty biały sukinsynu – odparła. – Biały? – nie rozumiał. – Ależ nie ma już białego ani żółtego ani czarnego. Dlaczego mówisz – biały? – Bo jesteś królem szpicli. Jeden z żandarmów powiedział sucho: – „Biały” jest nadal obelgą w pewnych warstwach o niskich dochodach. 215 – Uhm – mruknął, skinąwszy głową. Odbierał teraz myśli dziewczyny i wprawiły go one w zdumienie. Zewnętrznie była napięta, w stanie silnego wzburzenia, nieruchoma wyłącznie dlatego, że trzymało ją czterech żandarmów. Ale wewnątrz... Zatrwożoną małą dziewczynką, walczącą jak dziecko przerażone wizytą u dentysty. Irracjonalny, reaktywny powrót do infantylnych procesów myślowych. Ona nie postrzega nas jako ludzi, uświadomił sobie. Jesteśmy dla niej grupą nieokreślonych kształtów, które zrazu ciągną ją w jedną stronę, by niemal natychmiast szarpnąć w przeciwną, a następnie zmuszając – robiło to czterech silnych zawodowców – do stania w tym samym miejscu Bóg wie jak długo i po co. Oceniał, że jej procesy myślowe odpowiadały mniej więcej trzylatkowi. Może jednak udałoby mu się coś osiągnąć, jeśli z nią porozmawia. Może uda mu się rozproszyć niektóre obawy dziewczyny, umożliwiając jej myślom odzyskanie bardziej dojrzałych cech. – Nazywam się Willis Gram – powiedział. – I wiesz, co przed chwilą zrobiłem? – Uśmiechnął się, wyciągnął rękę w jej kierunku i uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Idę o zakład, że nie zgadniesz. Potrząsnęła głową. Krótka. Raz. – Otworzyłem obozy koncentracyjne na Księżycu i w Utah, i wszyscy więźniowie wyjdą na wolność. Dalej patrzyła na niego swoimi wielkimi, błyszczącymi oczyma. Ale umysł dziewczyny odnotował informację; oszałamiające strumienie energii psychicznej popłynęły przez jej korę mózgową, kiedy usiłowała zrozumieć. – I nie będziemy już nikogo aresztować – dodał. – A więc jesteś wolna. – W tym momencie umysł Charlotte zalał ocean ulgi; oczy jej przygasły, potem wylała się jedna łza i spłynęła po policzku. – Czy mogę... – Miała drżący głos i z trudem przełykała ślinę. – Czy mogę się zobaczyć z panem Appletonem? – Możesz się zobaczyć z kim chcesz. Nick Appleton także jest wolny; wyrzuciliśmy go stąd dwie godziny temu. Prawdopodobnie poszedł do domu. Ma żonę i syna, do których jest bardzo przywiązany. Zapewne do nich wrócił. – Tak – powiedziała chłodno. – Poznałam ich. Ta kobieta to dziwka. – Ale jego opinia o niej... spędziłem z nim dzisiaj trochę czasu. Właściwie ją kocha; chce się tylko trochę wyszumieć... zdajesz sobie sprawę, że jestem telepatą; wiem takie rzeczy o ludziach, których inni... – Przecież pan może kłamać – wykrztusiła przez zęby. – Nie kłamię – odparł, chociaż jak dobrze wiedział, kłamał. – Naprawdę mogę sobie iść? – zapytała nieoczekiwanie spokojnym tonem. – Jest pewna sprawa. – Gram postępował ostrożnie, jego umysł dostrajał się

do myśli dziewczyny, usiłując je odbierać zanim obróci się w mowę lub w czyn. – Rozumiesz, że poddaliśmy cię oględzinom NASI PRZYJACIELE Z FROLIKA 8 217 lekarskim po tym, jak agenci SBP wyciągnęli cię z ruin drukarni przy Szesnastej Alei... pamiętasz? – Oględzinom... lekarskim? – spojrzała na niego niepewnie. – Nie, nie pamiętam. Pamiętam tylko to, że ktoś mnie włókł za ręce przez cały budynek i głowa mi stukała o podłogę, a potem... – Stąd te oględziny – powiedział Gram. – Zrobiliśmy je wszystkim, którzy wpadli w nasze ręce przy Szesnastej Alei. Przeprowadziliśmy również pobieżne badania psychologiczne. Twoje wypadły raczej źle; byłaś w kompletnym szoku, na progu katatonii. – Więc? – mierzyła go bezlitosnym wzrokiem. Orle spojrzenie ani przez chwilę nie opuszczało jej oczu. – Musisz się położyć. – I mam to zrobić tutaj? – Ten budynek – powiedział Gram – ma bodaj najlepsze w świecie wyposażenie psychiatryczne. Po kilku dniach odpoczynku i terapii... Orle oczy rozbłysły; jej mózg przeszły myśli, ema-nacje z podwzgórza, których nie mógł odczytać, a potem w jednej chwili, jakby poderwał ją dźwięk trąby ostatecznej, wykrzywiła ciało, zrazu zwiotczała, następnie sztywne, i obróciła się. Obróciła! Wyrывая z uścisków wszystkich czterech żandarmów. Wyciągnęli ręce, jeden z nich dobył plastikowej pałki z dawką narkotyku. Odskokzyła z szybkością błyskawicy, cofała się krótkimi susami, wijąc się; otworzyła drzwi i pobiegła w głąb korytarza. Idący w jej kierunku agent SBP spostrzegł Willisa Grama oraz czwórkę żandarmów, 218 i oceniwszy sytuację, rzucił się na przebiegającą dziewczynę. Udało mu się ją złapać za prawy nadgarstek... kiedy szarpnął Charlotte ku sobie, kopnęła go w jądra. Puścił. Pomknęła dalej w stronę szerokich drzwi wyjściowych z budynku. Nikt już nie próbował jej zatrzymać – po tym, jak widzieli funkcjonariusza SBP wijącego się na podłodze w potwornym bólu. Jeden z czterech żandarmów wyjął pistolet laserowy Richardsona kaliber 2.56 i podniósł go, mierząc w sufit. – Czy mam ją załatwić, szefie? – spytał. – Wystarczy jeden strzał, jeśli otrzymam rozkaz natychmiast. – Nie mogę się zdecydować – odparł Gram. – To jeden nie wystarczy, szefie. – W porządku. Nie strzelaj. – Gram wrócił do gabinetu i powoli usadowił się na łóżku; siedział zgarbiony i gapił się tępym wzrokiem we wzory na podłodze. – To szajbuska, panie Przewodniczący – powiedział któryś z żandarmów. – To znaczy wariatka. Kompletny świr. – Powiem ci, kim jest... szczurem z rynsztoka – odparł ochryple Gram. – Wybrał ten zwrot z umysłu Nicka Appletona. – Prawdziwym szczurem. – Z pewnością umiem wybierać, pomyślał. I on także. Powiedział, myślał dalej, że znowu się z nią spotka. I spotka się; dziewczyna jakoś go odnajdzie. On już nie wróci do żony. Wstał i podszedł ciężkim krokiem do biurka Mar-garet Plow w wewnętrznym pokoiku służbowym. 8 219 – Czy pozwolisz mi skorzystać ze swego telefonu? – spytał. – Możesz skorzystać z telefonu; szczerze mówiąc możesz skorzystać z moich... – Tylko z telefonu – odparł. Wybrał prywatną, pilną linię do Dyrektora Barnes'a; połączy go z nim gdziekolwiek jest: przykucnięty w toalecie, na trasie, a nawet za biurkiem. – Tak, panie Przewodniczący. – Potrzebny mi jeden z pańskich... szwadronów specjalnych. Być może dwa. – Kogo? – spytał flegmatycznie. – To jest, kogo im pan każe sprzątnąć? – Obywatela 3XX24J. – Poważnie? To nie kaprys, chwilowy nastrój? Pan naprawdę nie żartuje? Proszę nie

zapominać, panie Przewodniczący, że dopiero co zwolnił go pan na podstawie powszechnej amnestii, z której korzysta na równi ze wszystkimi. – Odebrał mi Charlotte – powiedział Gram. – Ach, rozumiem. Jej nie ma. – Czterem żandarmom nie udało się jej zatrzymać; dostaje szału, kiedy wpadnie w pułapkę. Znalazłem w jej umyśle coś na temat windy, wspomnienie z dzieciństwa; nie mogła jej otworzyć, była sama. Zdaje się, że miała osiem lat. Cierpi na jakąś odmianę klaustrofobii. Tak czy inaczej, nie daje się utrzymać w ryzach. – Trudno za to winić 3XX24J – powiedział Barnes. – Ale Charlotte idzie do niego. 220

–Nie lepiej to zrobić dyskretnie? I tak, żeby wyglądało na wypadek? A może woli pan po prostu, by szwadron specjalny wszedł, wykonał robotę i wyszedł, na oczach wszystkich. – To drugie – odparł Gram. – Niczym egzekucja rytualna. A wolność, którą się teraz rozkoszuje... – oraz chwila radości, pomyślał, kiedy odnajdzie Charlotte -... będą musiały posłużyć za ostatni posiłek skazańca. – Już się ich nie podaje, panie Przewodniczący. – Myślę, że postawię dodatkowy warunek pańskiemu szwadronowi – powiedział Gram. – Niech go załatwią na jej oczach. Chcę, żeby wszystko widziała. – Dobrze, dobrze – odparł z irytacją Barnes. – Coś jeszcze? Co nowego w sprawie Provoniego? Jedna ze stacji telewizyjnych podała, że statek patrolowy wykrył Szarego Dinozaura. To prawda? – Załatwimy to, kiedy przyjdziemy do tego. – Panie Przewodniczący, to zdanie nie ma sensu. – W porządku, załatwimy go, kiedy przyjdziemy do niego.

–Dam panu znać, jak moi chłopcy skończą trening – powiedział Barnes. – Za pozwoleniem, wyślę trzech ludzi, jednego z pistoletem uspokajającym, skoro, jak pan mówi, dziewczyna czasem wpada w szał. – Gdyby stawiała opór, nie róbcie jej krzywdy. Wystarczy likwidacja Appletona. Do widzenia. – Rozłączył się. – Myślałam, że potem je rozstrzeliwujesz – powiedziała Margaret Płow. 8 221 – Dziewczęta, tak. Ich facetów – przedtem.

–Jaki pan dzisiaj szczery, panie Przewodniczący. Musiałeś się okropnie nadwerężyć przy tej historii z Provonim. Ta trzecia wiadomość; powiedział – sześć dni. Zaledwie sześć dni! A ty otwierasz obozy i zgadzasz się na powszechną amnestię. Szkoda, że Cordon nie dożył tego dnia; szkoda, że choroba nerek czy wątroby, czy co tam zabiło, kiedy... – Urwała raptem. – Kiedy zwycięstwo było w zasięgu ręki – dokończył za nią, odczytując resztę jak taśma magnetyczna bezpośrednio z jej pustego w zasadzie umysłu. – Cóż, był odrobinę mistykiem. Może sam o tym wiedział. – Tak, być może wiedział, myślał Gram. To był dziwny facet. Kto wie, czy nie zmartwychwstanie. Wtedy, do diabła... oznajmimy po prostu, że wcale nie umarł; to było wyssane z palca. Chcieliśmy, aby Provoni pomyślał, że... Na Boga, rzekł do siebie. O czym ja myślę? Nikt nie zmartwychwstał od 2100 lat; nie zaczną teraz. Czy mam podjąć jeszcze jedną, ostateczną próbę z tą Charlotte Boyer po śmierci Appletona? Gdyby udało mi się zmusić psychiatrów rządowych, żeby nad nią popracowali, to mogliby ostudzić dziki temperament, uczynić ją bierną – jaką powinna być kobieta. A jednak – polubił jej żar. Może właśnie to mnie w niej pociąga,

myślał, ta gwałtowność szczura z rysztoła, jak to ujął Appleton. I może to ujęło Appletona. Wielu mężczyzn lubi dzikuski; ciekawe dlaczego? Nie tyle silne kobiety, uparte i władcze, ale zwyczajnie dzikie. 222 Muszę myśleć o Provonim, powiedział do siebie. A nie o tym. Dwadzieścia cztery godziny później z Szarego Dinozaura nadeszła czwarta wiadomość, odebrana przez wielki radioteleskop na Marsie. Wiemy, że otworzyliście obozy i ogłosiliście powszechną amnestię. To nie wystarczy. Doprawdy zwięzły, pomyślał Gram, kiedy czytał komunikat z kartki papieru. – I nie udało nam się im odpowiedzieć? – spytał generała Hefelega, który przyniósł wiadomość. – Sądzę, że docieramy do niego, tyle że on nie słyszy, albo z powodu usterki w aparaturze odbiorczej, albo niechęci do negocjacji z nami. – Znajduje się około stu jednostek astronomicznych od nas – powiedział Gram – i nie możecie go trafić pociskiem klasterowym? Jednym z tych, co są wyczulone... – Zamachał ręką. – Na życie – dokończył generał. – Mamy sześćdziesiąt cztery rodzaje pocisków do wypróbowania; już kazałem statkom nośnym rozmieścić je w strefie, w której spodziewamy się Dinozaura. – Nie macie pojęcia o żadnej strefie, w której spodziewamy się Dinozaura. Mógł się wynurzyć z nadprzestrzeni gdziekolwiek. – Powiedzmy więc, że mamy cały sprzęt gotowy do użytku, jak tylko pojawi się Dinozaur. Może Pro-voni blefuje. Może wraca sam. Dokładnie tak, jak odleciał dziesięć lat temu. – Nie – odparł krótko Gram. – Przebywając 8 223

w nadprzestrzeni w tej starej balii z 2198? Nie, jego statek został przebudowany. I to nie przy użyciu znanej nam techniki. – Przyszła mu do głowy kolejna myśl. – Boże... kto wie, czy Provoni, on i Dinozaur, nie znajdują się wewnątrz tego stwora; mógł się owinać wokół statku. Dlatego rzecz jasna kadłub nie uległ dezintegracji. Provoni może przypominać małego pasożyta zamieszkującego w ciele niehumanooidalnej istoty, ale z którą dobrze żyje. W symbiozie. – Ten pomysł wydał mu się całkiem prawdopodobny. Nikt nigdy, humanoid czy nie, nie robi niczego za darmo; uznawał to za jedną z życiowych prawd, tak niewątpliwą, jak znajomość własnego imienia. – Chcą na pewno, by sześć miliardów Starych, a później my, stopiło się z nim w jakąś polimózgową galaretę. Pomyśl pan o tym; jak się to panu podoba? – Każdy z nas, ze Starymi włącznie, stanie do walki – szepnął generał Hefelega. – Moim zdaniem, nie będzie tak źle – powiedział Gram. – Ja zaś wiem dużo lepiej niż pan, czym jest stopienie się mózgow. – Nie masz pojęcia, co my, telepacy, robimy kilka razy do roku, pomyślał. Zbieramy się gdzieś i splatamy nasze umysły w ogromny złożony rozum, jeden organizm mentalny, który myśli siłą pięciuset, sześciuset mężczyzn i kobiet. I to jest nasza chwila radości, nas wszystkich. Nawet moja. Jedynie w ten sposób, w sposób Provoniego, można każdego spleść w sieć. Lecz zamysł Provoniego wcale nie musiał być taki. A jednak... coś go uderzyło w czterech wiadomościach, użycie słowa „my”. Swego rodzaju współdzia-

łanie między Provonim a tym drugim wydawało się pewne. Oraz pełne harmonii, myślał Gram. Te wiadomości, choć zwięzłe, są fajne... jak mówią dzieci. Ów zaś, którego sprowadza Provoni, jest strażą przednią tysięcy, powiedział ze zgrozą do siebie. Załoga Borsuka – pierwszą ofiarą. Trzeba będzie wmurować gdzieś tablicę honorową dla uczczenia ich pamięci. Nie bali się przyjąć wezwania Provoniego; ruszyli za nim i zginęli. Mając ludzi takiej odwagi, możemy chyba mimo wszystko walczyć i zwyciężyć. A przestrzeń międzygwiazdna jest trudnym polem bitwy – gdzieś o tym czytał. Pomyślawszy to, poczuł się trochę lepiej. Po godzinach przedzierania się przez tłumy Nicho-lasowi Appletonowi udało się w końcu odnaleźć dom mieszkalny Denniego Stronga. Wszedł do windy i pojechał na pięćdziesiąte piętro. Zastukał do drzwi. Cisza. A potem usłyszał jej głos, głos Charley: – Kto tam, kurwa? – To ja – odparł. – Wiedziałem, że tu przyjdiesz. – Gdyby Willis Gram nie chciał, byśmy się spotkali, nie wypuściłby nas obojga, dodał w myślach. Drzwi się otworzyły. Stała w nich Charley w pasiastej, czerwono-czarnej bluzce, spodniach na obręczach, jaskrawych sandałach... i obfitym makijażu, łącznie z długimi rzęsami. Chociaż wiedział, że były sztuczne, rzęsy podziały na niego. – Tak? – spytała.

CZĘŚĆ TRZECIA

XX

Obok Charlotte Boyer pojawił się Denny Strong.

–Cześć, Appleton – odezwał się bezbarwnym głosem.

–Cześć – powiedział ostrożnie Nick; miał żywo w pamięci, jak Denny – i Charley – wpadli w szal. A tym razem nie miał Earla Zety do pomocy w ucieczce, kiedy się poleje krew. Lecz Denny wyglądał na spokojnego. Może to prawda o pijackich hulankach? Sinusoidalne oscylowanie między krwiożerczym upojeniem alkoholowym a codzienną uprzejmością... teraz Denny znajdował się na dnio fali. – Skąd wiedziałeś, że tutaj przyjdę? – spytała Charley. – Skąd wiedziałeś, że wrócę do Denny'ego i się pogodzimy? – A gdzie cię miałem szukać – odparł ponuro. Oczywiście, że wróciła do Denny'ego. To wszystko, moje wysiłki, by jej pomóc – poszło na marne. A ona chyba wiedziała o tym od początku. Byłem pionkiem szachowym, którego użyła w celu ukarania Denny'ego. No trudno, skoro to koniec walki, skoro wróciła., nic tu po mnie, myślał. I powiedział: – Cieszę się, że między wami już wszystko dobrze. 15Ś Nasi przyjaciele. 226

–Hej – zawołał Denny – słyszał pan o amnestii? I że otwierają obozy? Fiu, fiu! – Trochę nalana twarz chłopaka nadęła się z podniecenia; przewracał swoimi

wyłupiastymi oczyma, klepiąc Charley w pośladek. – I Provonni już prawie... – Nie chcesz wejść? – spytała Charley, obejmując Denny'ego w pasie. – Nie, raczej nie – odparł. – Słuchaj, chłopie – powiedział Denny, przysiadając na ugiętych kolanach, wykonując najwyraźniej jakieś ćwiczenia gimnastyczne. – Rzadko mam takie napady. Niełatwo mnie rozwścieczyć... A jak zobaczyłem, że chata nie jest czysta... to wszystko przez to. – Wrócił do pokoju i usadowił się na kanapie. – Niech pan siada – powiedział, dodając ciszej: – Mam puszkę piwa Hamm; podzielimy ją na trzy. Alkohol, pomyślał Nick. Wypiję z nimi, a potem we troje dostaniemy szału. Z drugiej strony, była tylko jedna puszka. Jak się mogą upić jedną trzecią puszki na głowę? – Wejść na chwilę – odparł, ale faktycznym bodźcem nie był widok piwa, tylko widok Charley. Pragnął patrzeć na nią jak najdłużej. Z goryczą myślał o jej powrocie do Denny'ego; robiąc tak, praktycznie go odepchnęła, jego, Nicholasa Appletona. Opanowało go uczucie, którego dawno nie doświadczał: zazdrość. Zazdrość... oraz gniew na nią za to, że go zdradziła; przecież porzucił żonę i syna, wyrzekł się ich, wychodząc z mieszkania wraz z Charley. Mieli zostać razem... jak się okazało w drukarni przy Szesnastej Alei. A teraz wskutek zburzenia drukarni

i obławy wróciła jak chora kotka do tego, co zna i rozumie, choćby to miało być straszne. Przyjrząwszy się twarzy Charley, zauważył pewną różnicę. Miała twarz sztywną, jak gdyby makijaż leżał na powierzchni ze szkła lub metalu, w każdym razie na czymś nieorganicznym. To było to: mimo że na pozór przyjazna i uśmiechnięta, Charley wydawała się obecnie krucha i twarda niczym szkło, i dlatego używała tyle makijażu – by ukryć tę cechę, ten brak ludzkich rysów. Klepiąc się z radością między nogami. Denny wymamrotał: – Hej, mamy teraz w mieszkaniu ze sześćset broszur, i żadnych problemów; to znaczy, nie trzeba się bać nalotu. A widziałeś pan więźniów? Widział ich, a jakże, tamujących ruch na chodnikach. Chudych, przypominających szkielety, budzących grozę swymi jednakowymi, brudnooliwkowymi drelichami z przydziału rządowego... widział też gar-kuchnie Czerwonego Krzyża, które ich miały karmić. Byli wszędzie, błakając się niczym duchy, najwidoczniej zupełnie niezdolni do włączenia się w swoje nowe środowisko. Cóż, nie mieli pieniędzy, pracy, mieszkań; w każdym razie byli na wolności. A powszechna amnestia, jak powiedział Denny, przyniosła wolność wszystkim. – Mnie nigdy nie złapali – ciągnął Denny, twarz mu pobladła z aroganckiej dumy. – Za to złapali was dwoje. Nocujących w drukarni przy Szesnastej Alei. – Splótł ręce i kołysał się w przód i w tył. – Chociaż robiłaś wszystko, do diabła, żebyśmy 228 wpadli – powiedział do Charley. Sięgnął do stolika, wziął do ręki puszkę piwa, potrzymał ją w dłoni i skinął głową. – Jeszcze dosyć zimne. Dobra, przenosimy się do krainy snów. – Zerwał metalowy pasek z wierzchu puszki. – Pan pierwszy, Appieton, jako gość. – Ja tylko trochę – odparł; wypił mały łyk. – Niech pan zgadnie, co się działo z Charley – powiedział Denny, pociągnąwszy duży haust.

– Myśli pan na pewno, że siedzi tutaj cały dzień, odkąd wyrwała się z drukarni. To nieprawda. Przyszła dopiero godzinę temu; uciekała i chowała się, – Willis Gram – powiedział ochryple Nick. Jeszcze raz wpadł w przyprawiający o mdłości strach, który napiął mu nerwy i zmroził krew w żyłach. – Ponieważ ma te łóżka w rzędach – ciągnął leniwie, drażniąc Denny – które nazywa wewnętrzną kliniką. Ale faktycznie... – Przestań – syknęła Charley przez zaciśnięte zęby. – Gram zaproponował jej mały odpoczynek w łóżku. Wiedział pan, że z niego taki człowiek, Appleton? – Tak – odparł zdecydowanie. – Ale uciekałam – powiedziała Charley, chichocząc złośliwie. – Mieli czterech żandarmów, a ja uciekałam. – Zwróciła się do Nicka. – Wiesz, jaka się robię, kiedy wpadam w szal, prawdziwy szal. Widziałeś, Nicku, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy; widziałeś naszą bijatykę z Dennym; prawda? Jestem straszna, co? 8 229 – A więc Gram cię nie dopadł – odparł Nick. I znowu widzę cię, pomyślał. Tylko że... nie tak to sobie wyobrażałem. Widzę cię umalowaną dla Den-ny'ego; wróciłaś do swoich charakteryzacji i udawania kogoś innego. Twoja praca stała się

teraz legalna, ale nawyki pozostały. Chcesz być elegancka – przynajmniej tak, jak ty sobie wyobrażasz elegancję – i chcesz znowu polatać Purpurową Syreną, z wielką szybkością, tak wielką, że jeśli w cokolwiek uderzycie, kadłub szmermela się rozleci. Ale zanim to się stanie, dobrze się zabawisz. Wejdziecie we dwoje do salonu gier, albo palarni scenery, bądź do narkobaru, i wszyscy zawołają: „Jaka piękna dziewczyna”. A obok ciebie Denny zacznie strzelać oczyma, jakby chciał powiedzieć: „Hej, chłopaki, patrzcie, jaką mam cizię”. I omal nie pękną z zazdrości. I to by było na tyle. Wstał i oznajmił: – Chyba już pójdę. – Zwrócił się do Charley: – Cieszę się, że uciekłaś Gramowi. Wiedziałem, że ma ochotę na ciebie i bałem się, że cię dopadł. Czuję wielką ulgę. – On jej dalej zagraża – powiedział Denny, szczerząc zęby i sącząc piwo. – Wobec tego opuście to mieszkanie – zawołał Nicholas. – Jeśli jaja mogłem znaleźć, to i oni mogą. – Tylko że nie znają adresu – odparł Denny, kładąc nogi na stoliku; nosił buty z prawdziwej skóry... które musiały go nieHcho kosztować. Ale które dawały mu wstęp do najmodniejszych palarni scenery na planecie, łącznie z tymi w Wiedniu. 230 O to chodzi. Sprawiali wrażenie ubranych i wyszta-firowanych do objazdu narkobarów i palarni. Lubili nie tylko alkohol... to była po prostu jeszcze jedna z ich nielegalnych sprawek. Palenie opium było legalne, więc nosząc określone stroje i określony makijaż mogli krążyć wśród elity świata, w czym uczestniczyli nawet Nowi i Niezwykli. Wszyscy, nie wykluczając pracowników rządowych, zasmakowali w nowej pochodnej opium, nazwanej scenerą od nazwiska jej odkrywcy, Wade'a Scenery, Nowego. Stała się, podobnie jak miniaturowe, plastikowe statuetki Boga, ogólnoplanetarnym szaleństwem. – Widzi pan, Appleton – odezwał się Denny, podając Charley niemal pustą puszkę – ona zawsze nosi całkiem fałszywe identyfikatory, same oficjalne... – machnął ręką -... wie pan, takie, jakie pan musi nosić, inne niż, powiedzmy, karta kredytowa Union Oil. I są tak wspaniale podrobione, że pasują do małych szczelin w tych elektronicznych skrzynkach, które mają gliny. Racja, ty mała dziwko? – Wyciągnął rękę i objął czule dziewczynę. – Dziwka ze mnie, a jakże – powiedziała. – I to mnie właśnie uratowało w Budynku Federalnym. – Znajdą cię tutaj – nalegał cierpliwie Nick. Denny odparł arogancko, ze złością: – Słuchaj pan, już to wyjaśniałem. Kiedy was złapali w drukarni, to oni... – Na czyje nazwisko jest mieszkanie? – spytał Nick. – Na moje – odparł Denny, marszcząc brwi. Po chwili rozpromienił się. – Nie mają pojęcia... jeśli 8 231 chodzi o nich, ja nie istnieję. Słuchaj, Appleton, musisz mieć nie po kolei w głowie; mazgaj z ciebie, nudziarz. Chłopie, jakbym był nacpany, to głowę daję, że już byś mi podpadł. – Roześmiał się, ale teraz był to śmiech obraźliwy, poniżający. – Jesteś pewny, że jej nazwisko nigdy nie pojawiło się oficjalnie w związku z tym mieszkaniem? – pytał dalej Nick. – Cóż, parę razy opłaciła czynsz czekiem. Ale nie rozumiem, jak to... – Jeśli podpisywała czek za mieszkanie – powiedział Nick – to jej nazwisko trafiło automatycznie do komputera w New Jersey. I to nie samo nazwisko – komputer otrzymał i przechowuje informację, skąd przyszło jej nazwisko. A Charley jest w kartotece SBP, jak każdy. Poproszą komputer w New Jersey, aby wypuł wszystko, co ma na wasz temat – skojarzą to z danymi policji... czy na przykład była z tobą choć raz w Purpurowej Syrenie, kiedy cię spisano? – Tak – mruknął Denny. – Za

przekroczenie szybkości. – Wzięli również jej nazwisko, jako świadka. Z rękami założonymi na piersiach Denny opadł powoli na kanapę i usiadł ciężko, mówiąc: – Tak. – To im wystarczy. Mają ślad prowadzący do ciebie, a więc do tego mieszkania, a poza tym Bóg wie co może być na Charley w rejestrach SBP. Wyraz przerażenia odmalował się na twarzy Den-ny'ego, cień, przesuwający się z prawa na lewo. Oczy 232 mu błyszczały z podejrzliwości i niepokoju; wyglądał teraz tak jak poprzednio. Mieszanina strachu i nienawiści wobec władzy, symboli ojca. Denny myślał bardzo szybko; wyraz jego twarzy zmieniał się już z sekundy na sekundę. – Ale co mogliby mieć na mnie? – zapytał ochryple. – Boże. – Tarł czoło. – Mam mętlik w głowie przez ten alkohol; nie mogę myśleć. Jak się mogę z tego wyłgać? Niech to diabli... muszę coś zażyć. – Zniknął w łazience i przetrząsał szafkę. – Wodorochlorek metamfetaminy – powiedział, wyjmując słoik. – To mi przejaśni w głowie. Muszę mieć jasny umysł, jeśli mam się wykaraskać. – A więc od alkoholu straciłeś rozum – odezwała się złośliwie Charley – przez to, że łykasz co popadnie. – Nie pouczaj mnie! – krzyknął Denny, wracając do salonu. – Nie mogę tego wytrzymać; zaraz oszaleję. – Zwrócił się do Nicka: – Zabierz ją stąd. Charlotte, zostań z Nickiem; nie próbuj wracać do tego mieszkania. Nicku, ma pan przy sobie jakieś popsy? Wystarczy na pokój w motelu na parę dni? – Chyba tak – odpowiedział i poczuł radość w sercu – zapędził Denny'ego w kozi róg, aż ten się sam załatwił. – To poszukajcie jakiegoś motelu. I nie dzwońcie tutaj... linia jest na pewno na podsłuchu. Chyba zaraz tu wpadną. – Paranoik – powiedziała lodowato Charley. Następnie spojrzała na Nicka i... I dwaj czarniacy, policjanci w czarnych mundu- 8 233

rach, zwani czarnymi glinami, wkroczyli do mieszkania, nie dotknąwszy klamki i bez pomocy klucza – po prostu drzwi się nagle otworzyły. Czarny agent po lewej stronie wyciągnął rękę, pokazując coś Nickowi. – To pana zdjęcie? – Tak – odparł, gapiąc się na fotografię. Jak oni ją zdobyli? Zdjęcie to – pojedyncza odbitka – leżało w dolnej szufladzie szafy z ubraniami w domu. – Nie dostaniecie mnie – powiedziała Charley. – Nie dostaniecie mnie. – Podbiegła do nich, rycząc na cały głos: – Wynoście się! Czarny gliniarz sięgnął po swój służbowy, automatyczny pistolet laserowy. To samo zrobił drugi. Denny rzucił się na tego, który dawał osłonę; potoczyli się po podłodze jak dzikie koty: ruchomy kłębek ciał. Charley kopnęła pierwszego agenta w pachwinę, a potem uniosła rękę, wzięła zamach i uderzyła go w tchawicę swoim kościstym łokciem, poruszając się tak szybko, że dla Nicka była tylko ruchomą plamą... a potem funkcjonariusz leżał na podłodze, usiłując złapać oddech, charcząc głośno i bezskutecznie w walce o powietrze. – Musi być gdzieś jeszcze jeden – powiedział Denny, wstając zwycięsko ze swojej kociej bójki. – Na dole albo na dachu. Zaryzykujmy i chodźmy na dach; jeśli uda nam się wsiąść do Syreny, to możemy im uciec. Wiedziałaś o tym, Appleton? Mogę przegonić statek policyjny; wyciągam na niej do dwustu na godzinę. – Ruszył do wyjścia. Nick poszedł sztywno za nimi. 234 – Im nie chodziło o ciebie – powiedział Denny do Charley, kiedy jechali windą. – Przyszli po obecnego tutaj pana Czystego. Charley westchnęła. – Och! – zdziwiła się. – Zaraz, Chryste... a więc uratowaliśmy Nicka zamiast mnie. To on taki ważny?

Denny zwrócił się do Appletona: – Nie biłbym się z nimi, gdybym wiedział, że ścigają pana. Nawet pana nie znam. Ale zobaczyłem, jak tamten sięga po broń i poznałem, że to komandos ze służb specjalnych. A więc przyszli tutaj, żeby zabijać. – Uśmiech rozjaśnił mu twarz, jego wielkie, zmysłowe, błękitne oczy. – Wie pan, co mam? – Włożył rękę do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął miniaturowy rewolwer. – Dla samoobrony. Colt. Strzela drobiazgiem kalibru 22, ale z piekielną szybkością wylotową. Nie miałem czasu, aby go użyć; nie byłem przygotowany. Teraz jestem. – Trzymał pistolet przy boku, póki nie dotarli na dach. – Nie wychodź – powiedział Nicholas do Charley. – Zostańcie, wyjdę pierwszy. Mam pistolet – oznajmił Denny i pokazał swój pojazd. – Oto i ona, Syrena. Chryste, jeśli zabrali przewody od zapłonu... lepiej, żeby ta maszyna wystartowała, bo wrócę na dół i zamorduję tych dwóch drani. Wyszedł z windy. Zza zaparkowanego statku wychylił się czarny gliniarz i wycelował ze strzelby laserowej w Denny'ego mówiąc: – Stój, gdzie stoisz.

–Hej, panie władzo – odparł poufale Denny, pokazując gołe ręce. Broń zdążył schować do rękawa. – O co chodzi? Idę sobie polatać, to wszystko. Jeszcze pan łapie Cordonowców? Nie wie pan... Czarny gliniarz zastrzelił go ze swego lasera. Charley nacisnęła klawisz parter na pulpicie windy; drzwi zatrzasnęły się z turkotem. Wówczas nacisnęła guzik z napisem „w razie niebezpieczeństwa”. Winda spadła jak kamień.

XXI

Dokładnie czterdzieści cztery godziny później Kleo Appleton włączyła telewizor. „Marge na wolności”, jej ulubiony program popołudniowy. Dzieło sprytnych Nowych, które miało uspokoić Starych poprzez wmówienie im, że mieli niezły los... ale kiedy ekran się rozjaśnił, niczego na nim nie było. Z wyjątkiem plamy wzorów w jodełkę, a w czterech głośnikach – wyłącznie gwizdy i trzaski. Spróbowała na innym kanale. To samo. Spróbowała na wszystkich sześćdziesięciu dwu kanałach. Wszędzie nic. Provon musi być już blisko, pomyślała. Otworzyły się drzwi do mieszkania i wszedł Nick, kierując się prosto ku szafie w ścianie. – Twoje ulubione ubrania – powiedziała Kleo. – Tak, nie zapomnij ich zabrać. Osobiste rzeczy masz jeszcze w łazience; mogą ci je spakować, jeśli chwilę poczekasz. – Nie czuła złości, tylko nieokreślony lęk, wywołany rozpadem ich małżeństwa, jego przygodą z małą Boyer. – To miło z twojej strony – odparł poważnym tonem. – Możesz zawsze wrócić. Masz klucz – używaj go, kiedy chcesz, w dzień i w nocy. Łóżko będzie 8 237 czekało dla ciebie, póki żyję... nie to, w którym ja śpię, tylko twoje własne. Żebyś mógł się trzymać z dala ode mnie. Dystans między nami, na tym ci w istocie zależy, prawda? Ta Charlotte Boyer – a może Boyd? – to tylko pretekst. Jesteś nadal związany przede wszystkim ze mną, nawet jeśli chwilowo jest to związek negatywny. Przekonasz się jednak, że ona nie może ci dać niczego. To tylko ściana makijażu. Jak robot czy coś takiego, pomalowanego na człowieka. – Android. Nie, ona nie jest taka. To ogon lisa i pole pszenicy. I światło słońca. – Zostaw trochę obuwia – ciągnęła, starając się nie nadawać swojemu głosowi błagalnego tonu, a jednak... błagała. – Nie będziesz potrzebował dziesięciu par butów. Weź najwyżej dwie lub trzy. Dobrze? – Przykro mi, że tak z tobą postępuję – powiedział. – Nie zdążyłem się wyszumieć; chyba, jak mówisz, robię to teraz. – Wiesz, że Bobby będzie poddany nowemu testowi, uczciwemu. Rozumiesz? Odpowiedz. Tak? Nick stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora. Nagle rzucił paczkę z ubraniami i podbiegł do odbiornika. – Na wszystkich kanałach jest tak samo – powiedziała. – Może zerwał się kabel. Albo to Provon. – A więc musi być bliżej niż osiemdziesiąt milionów kilometrów od Terry. – Jak udało ci się znaleźć mieszkanie dla siebie 238

i... tej dziewczyny? Ci ludzie z obozów pracy... nie zajęli wszystkich mieszkań w USA? – Zatrzymaliśmy się u jej przyjaciół. – Mógłbyś zostawić adres? – spytała. – Albo telefon? Na wypadek, gdybym musiała się z tobą skontaktować w ważnej sprawie. Jeśli na przykład coś się stanie Bobby'emu, to chciałbyś... – Bądź cicho – przerwał jej. Klęczał przed telewizorem i przyglądał się badawczo ekranowi. Nagle hałas białego szumu zakłóceń ustał. – To znaczy, że nadajnik się włączył – powiedział. – Były nieczynne, wszystkie były nieczynne; Proveni skasował ich sygnały. Teraz sam spróbuje nadawać. – Odwrócił się ku żonie, twarz mu płonęła, oczy miał wytrzeszczone jak dziecko. Albo jakby dostał apopleksji, pomyślała z lękiem. – Nie wiesz, co to oznacza, prawda? – zapytał. – No, chyba... – Właśnie dlatego odchodzę od ciebie. Ponieważ ty niczego nie rozumiesz. Czym jest dla ciebie powrót Provoniego? Najważniejsze wydarzenie w historii! Bo dzięki niemu... – Najważniejszym wydarzeniem w historii była wojna trzydziestoletnia – odparła prozaicznie. W czasie studiów zajmowała się właśnie tą epoką zachodniej kultury i wiedziała, o czym mówi. Na ekranie ukazała się twarz, sterczący podbródek, rozległe bruzdy nad oczyma i małe, dzikie oczy, niczym otwory wybite w strukturze rzeczywistości, w strukturze otaczającej je powłoki, zakrywającej całkowitą ciemność. 8 239 – Jestem Thors Proveni – powiedział, a odbiór był dobry; jego głos docierał jeszcze czyściej niż obraz telewizyjny. – Znajduję się we wnętrzu rozumnego organizmu, który... Kleo parsknęła śmiechem. – Zamknij się! – warknął Nick. – Witaj, świecie. Żyję i mieszkam w brzuchu olbrzymiej poczwarki – kpiła Kleo. – Oj, bo skonam. Co za... Uderzył ją w twarz, odrzucając w tył siłą swego ciosu. Po czym wrócił do telewizora. – ...za około trzydzieści dwie godziny – Proveni mówił szorstkim, miarowym głosem... wyglądał na wyczerpanego w sposób, którego Nick nie widział dotąd u żadnego człowieka. Przemawiał z ogromnym wysiłkiem, jakby każde słowo kosztowało go coraz więcej pozostającej mu jeszcze energii życiowej -... nasz ekran antyrakietowy odparł atak ponad siedemdziesięciu rodzajów pocisków. Ale statek otacza ciało mojego przyjaciela i to on... – Proveni brał głębokie, urywane oddechy. – On się nimi zajmuje.:Ś Trzydzieści dwie godziny – powtórzył Nick, zwracając się do Kleo. Już wstała i w oszołomieniu rozcierała policzek. – Tyle zostało do lądowania? Jest już tak blisko? Słyszałaś? – pytał głosem bliskim hysterii. Kleo miała łzy w oczach; odwróciła się i uciekła bez słowa do łazienki. Aby się w niej zamknąć, póki nie przestanie płakać. Klnąc pobiegł za nią; bił pięściami do zamkniętych drzwi. 240 – Niech to szlag, nasze życie zależy od tego, co robi Proveni. A ty nie słuchasz! – Uderzyłeś mnie. – Chryste – powiedział z rezygnacją. I wrócił biegiem do telewizora. Lecz obraz już zniknął i znowu było słycać gwizdy i trzaski zakłóceń. Po chwili zaczął stopniowo wracać sygnał sieci telewizyjnej. Na ekranie pojawił się sir Herbert London, główny komentator sieci NBC. – Nie było nas na antenie – mówił swoim uspokajającym, na wpół ironicznym, na wpół chłopięcym głosem – około dwóch godzin. Podobnie jak wszystkich pozostałych stacji na świecie; mówiąc ściśle, zostaliśmy pozbawieni wszelkich form przekazu optycznego, nawet w zamkniętych, prywatnych obwodach, z których korzysta policja. Przed chwilą słyszeliście państwo, jak Thors Proveni – czy ktoś, kto się za niego podaje –

poinformował świat, że za trzydzieści dwie godziny jego statek, Szary Dinozaur, wyląduje pośrodku Times Square. – Odwrócił się do swojego partnera z dziennika, Dave'a Christiana. – Prawda, że Thors Proveni, jeśli to jest on, wyglądał na strasznie, strasznie zmęczonego? Kiedy go słuchałem i patrzyłem na jego twarz – sygnał wizyjny nie był tak mocny jak dźwiękowy, ale to naturalne – odniosłem silne wrażenie, że mamy przed sobą człowieka, który się skończył, który przegrał i ma tego świadomość. Nie rozumiem, w jaki sposób mógłby wkrótce osiągnąć sukces w polityce bez długiego, bardzo długiego wypoczynku. – Masz rację, Herb – przyznał Dave Christian

–ale całą sprawę może przeprowadzić Obcy... jeśli to właściwy termin. Tak czy owak, zrobić to, co mają tutaj do zrobienia. – Thors Provoni, na wypadek gdybyście nie wiedzieli, albo po prostu nie pamiętali – mówił dalej sir Herbert – wyruszył w drogę dziesięć lat temu statkiem handlowym ze zmodyfikowanym silnikiem supra-C... zmodyfikował go osobiście, tak że doprawdy nie wiemy, jaką prędkość może rozwinąć. Zresztą właśnie wraca, i to najwyraźniej w towarzystwie Obcego lub Obcych, których przyrzekł sprowadzić na odsiecz dla miliardów Starych, źle, jego zdaniem, traktowanych. – Tak, Herb – powiedział Dave. – Odczucia Provoniego były całkiem wyraźne; utrzymywał, że testy do Służby Publicznej były fałszowane... choć kwiat śledczych nie znalazł niczego konkretnego. Myślę więc, iż możemy stwierdzić, że oczywiście nie były. Pytanie, na które odpowiedzi nie znamy – a jest to chyba najbardziej zasadnicze pytanie – brzmi następująco: czy Provoni zamierza pertraktować z Nadzwyczajnym Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego i Przewodniczącym Gramem – innymi słowy, czy usiądą, zakładając, że Obcy może siedzieć (chichot), i porozmawiają o wszystkim. Czy też po prostu za trzydzieści dwie godziny czeka nas inwazja. Provoni ujawnił fakt, że rząd wystrzelił sporą liczbę rakiet w przestrzeń, w jego kierunku, ale... – Herb, jeśli mogę – przerwał mu Dave. – Twierdzenie Provoniego, że wraz ze swym obcym sojusznikiem zniszczył wielką i różnorodną liczbę ra-16ŚNasi przyjaciele... 242

kiet międzyplanetarnych, nie musi odpowiadać prawdzie. Kto wie, czy rząd tego nie zdementuje. Sukces Provoniego w zniszczeniu rzekomych salw raketowych może być jedynie chwytem propagandowym, usiłującym wpoić naszym umysłom pogląd, że możliwości techniczne Obcych są większe niż nasze. – Jego zdolność blokowania przekazu telewizyjnego na całej Ziemi – ciągnął Herb – świadczy o znacznej sile; to musiała być straszna utrata energii i może częściowo wyjaśniać tak widoczne, tak rażące wyczerpanie Provoniego. – Komentator przełożył papiery. – Tymczasem jak Ziemia długa i szeroka planowane są zgromadzenia w porze lądowania Provoniego – i jego przyjaciół. Były plany zgromadzeń w każdym mieście, ale skoro Provoni zapowiedział, że wyląduje na Times Square, to tam możemy się spodziewać największej ciżby... garstki wyznających poglądy Podludzi i wierzących Provoniemu oraz zwyczajnych gapiów. Na ogół pewnie tych drugich. Nick powiedział: – Zwróć uwagę, jakich się chwytają wykrętów. Zwyczajni gapie. Czy rząd nie zdaje sobie sprawy, że on samym swoim powrotem już wywołał rewolucję? Obozy są puste; przestali fałszować testy... – Przerwał, wpadł bowiem na pewną myśl. – Może Gram się podda – powiedział powoli. To była jedyna rzecz, która ani jemu, ani nikomu ze znajomych nie przyszła do głowy. Natychmiastowa, bezwarunkowa kapitulacja. Ster rządów w ręce Provoniego i Obcych. Ale to nie było w stylu Grama. To człowiek

walki, który wspiął się na szczyt dosłownie po trupach. Wił- 8 243 lis Gram zastanawia się teraz co robić, pomyślał. Cały potencjał militarny zostanie skoncentrowany, by wziąć na cel ten jeden statek, dziesięcioletnią kupę złomu... a może już nie? Może jaśniał niczym Bóg na niebie. Bóg ukazujący się w promieniach słońca. – Będę siedzieć w łazience, póki nie wyjdiesz – chlapiąc powiedziała Kleo zza zamkniętych drzwi. – W porządku – odparł i taszcząc naręcz ubrań, poszedł w kierunku windy. – Nazywam się Amos lid – przedstawił się wysoki mężczyzna o wielkiej, białej, bezwłosej głowie, niczym po hydrocefalii, wspartej na cienkich rurkach z nadzwyczaj mocnego plastyku. Podali sobie ręce. Dłoń Uda była wilgotna i zimna, tak jak jego oczy, pomyślał Gram. On w ogóle nie mruga, uświadomił sobie po chwili. Mój Boże, ma usunięte powieki. Na pewno bierze pigułki i pracuje całą dobę na okrągło, dwadzieścia cztery godziny dziennie. Nic dziwnego, że praca nad Wielkim Uchem rozwija się tak dobrze. – Niech pan siada, lid – powiedział Przewodniczący Gram. – To bardzo miło, że pan przyszedł, zważywszy na bezcenną wartość pańskiej pracy. – Urzędnicy, którzy mnie tu przyprowadzili – odparł Amos lid wysokim, piskliwym głosem – mówili, że Provoni wrócił i wyląduje przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. To na pewno jest o wiele ważniejsza sprawa od Wielkiego Ucha. Proszę mi powiedzieć... albo pokazać dokumenty zawierają-244 ce wszystko, co wiadomo o Obcych, do których dotarł Provoni. Gram zdziwił się. – A więc pan wierzy, że to Provoni? – spytał. – I że naprawdę ma ze sobą Obcego lub całą chmarę Obcych? – Z punktu widzenia statystyki – ciągnął Amos lid – według trzeciej zasady neutrologii, analiza musiała doprowadzić do takiego właśnie wniosku. To prawdopodobnie jest Provoni: prawdopodobnie ma ze sobą jednego lub więcej Obcych. Mówią, że zagłuszył wszystkie przekazy telewizyjne, a potem nadał ze swego statku zarówno obraz jak i dźwięk. Co jeszcze? – Pociski, które go trafiają, nie chcą wybuchnąć. – Nawet jeśli mają zapalniki zbliżeniowe zamiast kontaktowych? – Tak jest. – I przebywał w nadprzestrzeni dłużej niż piętnaście minut? – Tak – powiedział Gram. – A więc powinien pan założyć, że leci z nim Obcy. – W czasie przekazu telewizyjnego powiedział, że tamten spowił jego statek; wie pan – jakby go chroniąc. – Niczym kwoka chroniąca swoje jaja – zauważył Amos lid. – Wkrótce wszyscy możemy nimi być. Nie wysiedzianymi jajami pod brzuchem kosmicznej kury. – Wszyscy mi radzą – powiedział Gram – że powinienem pana zapytać, co robić. 8 245 – Zniszczyć go; skoncentrować całą waszą...

–Nie uda się go zniszczyć. Chcę usłyszeć od pana, jak mamy postąpić, gdy Provoni wyląduje i wysiądzie z niego. Czy mamy podjąć ostatnią próbę, kiedy będzie poza statkiem? Tam, gdzie Obcy nie zdoła mu pomóc? Czy też mamy zabrać go tutaj na górę, do mego biura, jego samego... tamten nie będzie mógł mu towarzyszyć. – Dlaczego? – Skoro oplótł statek, to musi ważyć tony. Winda go nie uniesie. – To może być cienki rodzaj osłony. Niczym welon. – lid pochylił się w stronę Grama. – Obliczyliście ciężar, masę, jego statku? – Jasne. Proszę. – Gram pogrzebał w stosie meldunków, odnalazł właściwy i podał Udowi. Ten przeczytał na głos: – Sto osiemdziesiąt trzy miliony ton. Nie – dodał – to nie żadna cienka osłona. Ma

gigantyczną masę. Domyślam się, że ląduje na Times Square. Musi pan kazać oddziałom do tłumienia zamieszek oczyścić zawczasu teren; to oczywiste i niezbędne. – Co z tego, że Provonie nie będzie miał miejsca na lądowanie, chyba że na głowach swoich zwolenników? – spytał z irytacją Gram. – Wiedzą, że przybywa; wiedzą, że zamierza usiąść z silnikami hamującymi w dół. Skoro są za głupi, aby... – Jeśli chce się pan konsultować ze mną – wtrącił lid – to musi pan robić dokładnie to, co mówię. Nie będzie się pan słuchać żadnych innych doradców, ani formułować odmiennych opinii. Ściśle biorąc, 246 póki kryzys się nie skończy, stanę się i będę działać jak rząd, natomiast każdy dekret będzie oczywiście nosić pański podpis. W szczególności nie życzę sobie, aby pan się konsultował z szefem policji Barnesem. A po drugie, nie powinien pan zasięgać rady Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Będę przy panu dwadzieścia cztery godziny na dobę, póki to się nie skończy; widzę, że zauważył pan u mnie brak powiek. Tak, biorę siarczan zaramido-wy. I nie śpiam – nie mogę sobie na to pozwolić. Za dużo pracy. Przeszanie się pan również konsultować z kim popadnie, jak ma pan to w zwyczaju robić. Ja jeden będę panu doradzać, a jeśli to panu nie odpowiada, wracani do Wielkiego Ucha. – Chryste – powiedział głośno Gram. Dostroił się do mózgu Amosa Uda, myszkując za dodatkowymi informacjami. Najskrytsze myśli były identyczne z ekspresją słowa; najwyraźniej umysł Uda nie działał jak umysły innych ludzi, którzy mówili jedno, a myśleli drugie. I nagle błysnęła mu myśl z jego własnego mózgu, coś, co lid przegapił. lid ma być jego doradcą. Ale nie zastrzegł sobie, że on musi z tych rad korzystać; nie był zobligowany do niczego więcej poza ich słuchaniem. – Rozważyłem pańskie słowa – powiedział do niego. – To co powiedzieliśmy obaj. Ustna przysięga jest przysięgą prawomocną, zgodnie z wyrokiem w sprawie Cobbs przeciwko Blaine. Przysięgam, że będę postępować tak, jak pan mówi. Pan zaś przysięga, że skupi wyłącznie na mnie swoją uwagę; podczas 8 247 tego kryzysu nie będzie pan miał innego pracodawcy poza mną. Zgoda? – Zgoda – odparł lid. – A teraz proszę o wszystkie posiadane informacje na temat Provo-niego. Materiał biograficzny, prace, które zrobił w studium, aktualne raporty; żądam, aby każdą wiadomość dostarczono mi tutaj do tego budynku w tej samej chwili, kiedy zostanie odebrana przez środki przekazu. Będą ją doprowadzać do mnie, a ja zdecyduję, czy należy ją rozpowszechnić publicznie, czy też wyemitować w inny sposób. – Ależ nie uda się panu zapobiec emisji – powiedział Gram. – Provonie przejmuje kanały; on... – Wiem. Chodzi mi o wszelkie dodatkowe wiadomości poza jego bezpośrednimi mowami w telewizji. – lid zastanawiał się przez chwilę. – Proszę kazać swoim technikom puścić jeszcze raz posłanie Provoniego. Chcę je obejrzeć osobiście, natychmiast. Po chwili na przeciwległym monitorze pojawiło się światło, łaskot gwizdów i trzasków... następnie zakłócenia ustąpiły i na ekranie ukazała się bryłowata, wymęczona twarz Provoniego. – Jestem Thors Provonie – oznajmił. – Znajduję się we wnętrzu rozumnego organizmu, który mnie nie wchłonął, tylko mnie broni, tak jak wkrótce będzie bronić was. Za około trzydzieści dwie godziny jego obrona ujawni się na całej Ziemi i skończy się fizyczna przemoc. Dotychczas nasz ekran przeciwrakietowy odparł atak ponad siedemdziesięciu rodzajów pocisków. Ale

statek otacza ciało mojego przyjaciela 248 i to on – przerwa na odpoczynek – on się nimi zajmuje.

–Święta prawda – odezwał się głośno Gram.

–Nie obawiajcie się fizycznej konfrontacji – ciągnął Provoni. – Nie wyrządzimy nikomu krzywdy i nikomu nie uda się skrzywdzić nas. Porozmawiam z wami... – sapnął ze zmęczenia; jego spojrzenie było nieruchome, surowe -...później. – Obraz zniknął. Amos lid podrapał się w swój trochę przydługi nos i powiedział: – Długotrwała podróż przez Kosmos omal go nie zabiła. Prawdopodobnie Obcy utrzymuje go przy życiu; bez niego by zginął. Może spodziewa się przemówień Cordona. Czy pańskim zdaniem Provoni wie, że Cordon nie żyje? – Mógł odebrać komunikat – przyznał Gram. – Zabicie Cordona było słusznym posunięciem – stwierdził lid. – Również otwarcie obozów i powszechna amnestia – to też było dobre; dzięki temu Starzy źle osądzili quid pro quo: myślą, że na tym zyskali, chociaż śmierć Cordona ma o wiele głębsze znaczenie niż otwarcie obozów. – Myśli pan – zapytał Gram – że Obcy jest takim stworem, który jak pająk skacze z tyłu na pańską szyję, wwierca się do wyższych centrów nerwowych, a potem manipuluje panem jak kukielką? Była kiedyś taka bardzo znana stara książka, mniej więcej z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, w której podobne stwory zmuszały ludzi do... – Czy to się odbywało na zasadzie indywidualnej? – Indywidualnej? Ach, już wiem; jeden pasożyt 8

na jednego żywiciela. Tak, po jednym na każdego.

–Najwyraźniej tym razem odbędzie się to hurtowo. – lid rozważył dalszą wypowiedź. – Jak starcie taśmy. Całej rolki naraz, bez przesuwania wzdłuż głowicy ścierającej. – Usadowił się, stabilizując olbrzymią głowę obiema rękami, zgodnie ze swym zwyczajem. – Jestem skłonny założyć – powiedział bez pośpiechu – że to jest blef. – Czyli... Obcego nie ma, pańskim zdaniem? Pro-voni ich nie znalazł, żadnego ze sobą nie sprowadził? – Coś sprowadził – odparł lid. – Wprawdzie wszystko, cośmy do tej pory widzieli, można było uzyskać przy pomocy techniki. Odparcie ataku raketowego. Zagłuszanie telewizji... Urządzenia, które znalazł na jakiejś planecie w innym układzie słonecznym. Przebudowali mu kadłub, aby mógł się poruszać w nadprzestrzeni... być może na zawsze, jeśli zechce. Ale ja wybiorę wariant, który dyktuje neutro-logia. Nie widzieliśmy Obcego; ergo, póki go nie zobaczymy, musimy zakładać, że chyba nie istnieje. Powtarzam, chyba. Ja jednak muszę teraz dokonać wyboru, by zająć się naszymi systemami obronnymi. – Przecież Provoni zapowiedział, że nie dojdzie do użycia siły. – Z jego strony. Ale z naszej – tak. Z naszej będzie. Chwileczkę – największy system laserowy Wschodniego Wybrzeża znajduje się w Baltimore. Może pan go kazać przenieść do Nowego Jorku i ustawić na Times Square przed upływem trzydziestu dwu godzin? – Myślę, że tak – odparł Gram. – Ale raziliśmy 250

już jego statek w Kosmosie wiązkami laserowymi i nic nie osiągnęły. – Ruchome systemy laserowe, jakie spotyka się na okrętach wojennych, są słabe w porównaniu z wielkim systemem stacjonarnym, który ma Baltimore. Czy mógłby pan użyć swego telefonu i natychmiast poczynić przygotowania? Trzydzieści dwie godziny to nie jest dużo. Wyglądało to na dobry pomysł; Willis Gram podniósł słuchawkę na linii cztery i przeprowadził rozmowę zamiejscową z Baltimore, z technikami nadzorującymi system laserowy. Naprzeciw niego, gdy wydawał polecenia, siedział Amos lid, masując swą wielką głowę, skupiając uwagę na słowach Przewodniczącego. – Świetnie – stwierdził, kiedy Gram odłożył słuchawkę. – Obliczałem prawdopodobieństwo znalezienia przez Provoniego cywilizacji technicznej stojącej na tyle wyżej od nas, że mogliby nam narzucić swoją wolę polityczną. Do tej pory loty międzygwiazdne zlokalizowały tylko dwie cywilizacje bardziej zaawansowane od naszej... i nie były one o wiele bardziej zaawansowane: może o jakieś sto lat. Otóż proszę zauważyć, że Provoni wrócił Szarym Dinozaurem; to ważne, bo gdyby faktycznie spotkał taką wyższą rasę, to na pewno przylecieliby tutaj w jednym bądź kilku własnych pojazdach kosmicznych. Niech pan mu się przyjrzy: niech pan się przyjrzy jego zmęczeniu. Jest prawie ślepy i martwy. Nie, neu-trologia opowiada się za rozstrzygnięciem, że blefu-je; mógł tak łatwo udowodnić, że nie, wracając po 8 251 prostu obcym statkiem. I byłaby tu... – Amos lid uśmiechnął się szeroko -...cała flota Obcych, by wyrzucić na nas wrażenie. Nie, odleciał starym statkiem, jego twarz

w telewizji... – Udowi z wysiłku kiwała się głowa; na jego łysy skalp wystąpiły pulsujące żyły. – Dobrze się pan czuje? – spytał Gram. – Tak. Rozwiązuję problemy; proszę przez chwilę nic nie mówić. – Bezpowiedliwe oczy wybałuszyły się i Willis Gram poczuł się nieswojo. Na moment zapuścił się w umysł Uda, ale – co było tak częste w wypadku Nowych – trafił na procesy myślowe, których nie umiał prześledzić. To jednak... to nawet nie był język; przyjmowało formę jakichś dyskrecjonalnych symboli, przeobrażających się, zmieniających... niech to wszyscy diabli, pomyślał, i skapitulował. Amos lid nagle przemówił: – Zredukowałem prawdopodobieństwo do zera, dzięki neutrologii. Nie ma ze sobą żadnego Obcego, a jedyną groźbą, jaką dysponuje, jest wyposażenie techniczne, w które zaopatrzyła go jakaś wysoko rozwinięta rasa. – To pewne? – Według neutrologii, jest to rzecz absolutnie, nie zaś relatywnie, pewna. – Może pan dojść do tego przy pomocy pańskiej neutrologii? – spytał przejęty Gram. – Chodzi o to, że zamiast obliczenia szans na trzydzieści do siedemdziesięciu, czy dwadzieścia do osiemdziesięciu, pan to wyraża kategoriami niedostępnymi dla jasnowi-252 dza; on może podać tylko prawdopodobieństwo, bo istnieje całe mnóstwo naprzemiennych przyszłości. Pan jednak mówi – absolutne zero. Wobec tego pozostaje nam stwierdzić:... – rozumiał już powody rozstawienia baltimorskiego systemu laserowego -...leci wyłącznie Provoni. Sam jeden. – Będzie uzbrojony – powiedział lid. – W bardzo potężną broń, zarówno wmontowaną w jego statek, jak i podręczną. Poza tym będzie przebywał w czymś w rodzaju ekranu, strefy ochronnej, przemieszczającej się wraz z nim. Będziemy mierzyć do niego z baltimorskiego działła laserowego, póki nie przeniknie ekranu; Provoni zginie; tłumy Starych ujrzą jego śmierć; Cordon już nie żyje; jesteśmy blisko celu. Za trzydzieści dwie godziny może być po wszystkim. – I wróci mi apetyt – powiedział Gram. Amos lid odparł z lekkim uśmiechem: – Zdaje się, że pan go wcale nie stracił. Wiesz, nie ufam tej historii z absolutnym zerem, powiedział Gram do siebie; nie ufam ich neutrologii... chyba dlatego, że jej nie rozumiem. Ale jak mogą utrzymywać, że jakieś wydarzenie w przyszłości musi nastąpić? Wszyscy jasnowidze, z którymi rozmawiałem, mówili, że w każdym odcinku czasu kryją się setki możliwości... ale oni także nie rozumieją neutrologii, nie są przecież Nowymi. Podniósł jedną ze słuchawek. – Panno Knight – powiedział. – Proszę zwołać zebranie tylu jasnowidzów, ilu da się ściągnąć w ciągu, powiedzmy, dwudziestu czterech godzin. Niech 8 253 się połączą w sieć za pośrednictwem telepatów, ja zaś, jako telepata, nawiążę kontakt ze wszystkimi jasnowidzami i przekonam się, czy pracując unisono mogą dojść do właściwego prawdopodobieństwa. Proszę zrobić to natychmiast, to się musi odbyć jeszcze dzisiaj. – Rozłączył się. – Pan złamał naszą umowę – powiedział Amos lid. – Chciałem tylko zintegrować jasnowidzów za pośrednictwem telepatów – odparł Gram. – I uzyskać... – zawahał się -...ich opinię. – Niech pan wezwie sekretarkę i odwoła swoje polecenie. – Muszę? – Nie – powiedział lid. – Ale jeśli będzie się pan upierał, wracam do Wielkiego Ucha i swojej pracy nad nim. Wszystko zależy od pana. Gram podniósł jeszcze raz słuchawkę i oznajmił: – Panno Knight, proszę odwołać tę sprawę z jasnowidzami, to co przed chwilą powiedziałem. – Przerwał połączenie, czując przygnębienie i żal. Wyciągnięcie

informacji z cudzych umysłów stanowiło główny modus operandi w jego życiu; trudno było zrezygnować. – Gdyby pan przeszedł do niech – powiedział lid – to wraca pan z rachunkiem prawdopodobieństwa; skończy pan na dwudziestowiecznej logice, cofając wskazówki zegara; o dobrze ponad dwieście lat. – Ale gdybym połączył dziesięć tysięcy jasnowidzów za pośrednictwem telepatów... – Nie dowiedziałby się pan niczego więcej ponad 254 to – przerwał mu lid – co już pan usłyszał ode mnie.

–Zrezygnuję z tego – zgodził się Gram. Wybrał Amosa Uda na swoje źródło informacji i opinii, więc to było chyba właściwe posunięcie. Jednak dziesięć tysięcy jasnowidzów... ach, niech to diabli, pomyślał. I tak już nie ma czasu. Dwadzieścia cztery godziny... co to jest. Musieliby się zebrać w jednym miejscu, a nie udałoby się tego przeprowadzić w ciągu doby, mimo nowoczesnej, podziemnej komunikacji. – Pan naprawdę zamierza cały czas siedzieć w moim gabinecie? – spytał Amosa Uda. – Bez przerwy, póki to się nie skończy? – Potrzebne mi są dane biograficzne Provoniego. Wszystko, co wymieniłem – odparł lid. W jego głosie słyhać było irytację. Willis Gram westchnął i nacisnął na biurku klawisz otwierający obwody do wszystkich głównych komputerów na świecie. Rzadko, jeśli w ogóle, korzystał z tej maszynerii. – Provoni przecinek Thors – powiedział do mikrofonu. – Cały materiał, a później syntezę podstawowych elementów. Ścieżką najszybszego przebiegu, w miarę możliwości. – Nie zapomniał dodać: – I ma to pierwszeństwo przed wszystkim innym. – Zwolnił przycisk i odwrócił się do Uda. – Pięć minut. Cztery i pół minuty później ze szczeliny w biurku wypadła sterta papieru. Był to komplet informacji. Po chwili, zakodowane na czerwono, podsumowanie: jedna lub dwie strony. NASI PRZYJACIELE Z FROLIKA 8 255 Nie spojrzawszy na to, Gram podał papiery Udowi. Nie pociągało go czytanie jeszcze czegoś o Provonim; przez ostatnie kilka dni nieustannie, jak się wydawało, czytał, widział, słyszał o tym człowieku. lid najpierw przeczytał podsumowanie, z wielką szybkością. – No i co? – spytał Willis Gram. – Doszedł pan do zerowej prognozy bez materiału; czy jego treść zmienia teraz w jakiś sposób pańską neutrologię? – Ten facet to pozer – odparł lid. – Jak wielu inteligentnych Starych, którzy nie są dość inteligentni, by się dostać do Służby Publicznej. Erudyta bez polotu. – Rzucił zestawienie na podłogę i wziął się do przeglądania grubej książki danych; robił to tak jak przedtem – z fantastyczną szybkością. Raptem się nasrożył. Wielka jajowata głowa znowu zatrzęsa się niepewnie; Amos lid odruchowo sięgnął w górę, by powstrzymać ją przed wpadnięciem w ruch wirowy. – Co się stało? – zapytał Gram. – Pewna drobna informacja. Drobna? – zaśmiał się. – Provoni odmówił publicznego testu. Nie ma śladu o tym, żeby kiedykolwiek poddał się egzaminowi do Służby Publicznej. – I co z tego? – Nie wiem – odparł lid. – Być może wiedział, że obleje. A może... – bawił się papierami w ponurym nastroju -...a może wiedział, że zda. Może... – przerwał i utkwiał w Gramie swoje pozbawione powiek oczy. – Może jest Nowym. Ale skąd mamy wiedzieć? – Podniósł ze złością stertę wydruków. – Tutaj i tak, i tak tego nie ma. Zwyczajnie brak 256

danych; nie znajdzie pan tu zapisów o żadnym teście na uzdolnienia Provoniego – i nigdy ich nie było. – A testy obowiązkowe? – zdziwił się Gram. – Co? – lid spojrzał na niego. – Szkolne. Robią obowiązkowe testy na inteligencję i uzdolnienia, aby stwierdzić, w jakim kierunku mają się kształcić uczniowie. Musiał je przechodzić co cztery lata, czy coś koło tego, od trzeciego roku życia. – Tutaj ich nie ma. – To znaczy, że je zabrał Provoni bądź ktoś, kto pracuje dla niego w szkolnictwie. – Rozumiem – oświadczył po chwili lid. – Chciałby się pan wycofać ze swej prognozy absolutnego zera? – spytał kwaśno Gram. Po jakimś czasie lid szepnął opanowanym głosem: – Tak.

–Pieprzę władze – powiedziała Charlotte Boyer.

–Zamierzam być na Times Square, kiedy będzie lądował. – Spojrzała na zegarek. – Za dwie godziny. – Nie możesz. Wojsko i SBP... – odparł Nick. – Słyszałam komunikat – przerwała mu. – Tak samo jak ty. „Zbita masa Starych, licząca chyba miliony, gromadzi się na Times Square i...” Zaraz, jak on to powiedział? „I dla ich własnego dobra są usuwani przez koptery balonowe w bezpieczne miejsca”. Na przykład do Idaho. Wiesz, że w Boise w stanie Idaho nie ma nawet chińskiej restauracji? – Wstała i zaczęła chodzić od ściany do ściany. – Przepraszam – zwróciła się do Eda Woodmana, właściciela mieszkania, w którym się zatrzymali z Nickiem. – Co mówisz? Ed Woodman odparł: – Patrz na ekran. Każdego, kto się pokaże w okolicach Times Square, ładują do tych przeklętych, ogromnych transporterów model 4-D i odstawiają za miasto. – Ale ludzi jest coraz więcej – odezwała się jego żona Elka. – Nie mogą nadążyć; więcej ludzi przybywa, niż ich zabierają. 17 – Nasi przyjaciele... 258

–Chcę już iść – powiedziała Charley.

–Patrz dalej na ekran – odparł Ed. Był to starszy mężczyzna, po czterdziestce, mocno zbudowany, dobronny, choć nadzwyczaj czujny. Nick stwierdził, że jego rady są warte wysłuchania. Komentator telewizyjny mówił: – Pogłoski, że największe działło laserowe na wschodzie Stanów Zjednoczonych zostało przeniesione z Baltimore i ustawione w pobliżu Times Square, zdają się mieć potwierdzenie w faktach. Dziś rano około dziesiątej czasu nowojorskiego na dach Shafter Building, który góruje nad Times Square, został sprowadzony drogą powietrzną wielki obiekt, który zdaniem obserwatorów przypominał kompletny system laserowy. Gdyby, powtarzam – gdyby władze zamierzały razić Provoniego lub jego statek bardzo silną wiązką laserową, działło byłoby zlokalizowane najpewniej w tym miejscu. – Nie uda im się mnie powstrzymać od pójścia na Times Square – upierała się Charley. – Owszem, uda – powiedział Ed Woodman, obracając swój fotel, by na nią spojrzeć. – Stosują gaz usypiający; zwalają ludzi z nóg, a potem wrzucają do ogromnych transporterów 4-D niczym polcie wołowiny. – Najwyraźniej – mówił dalej spiker – moment konfrontacji nastąpi wtedy, gdy po wylądowaniu – zakładając, że to zrobi – Thors Provoni wyjdzie ze statku i ukaże się ludziom, których z pewnością uzna za miłującą go publiczność. Jego rozpacz – trzeba to mówić? – będzie straszna. Spotkać są- 8 259

mą policje i barykady wojskowe. – Komentator uśmiechnął się przyjaźnie. – Chcesz coś dodać, Bob? – Tak – odparł Bob Grizwald, jeszcze jeden z nieskończonej chmary komentatorów telewizyjnych. – Provoniego czeka rozczarowanie. Nikt, powtarzam: nikt nie będzie dopuszczony w pobliże jego statku. – Powitanie może mu urządzić owo działło laserowe zamontowane na dachu Shafter Building – dodał

pierwszy komentator; Nick nie dosłyszał jego nazwiska, ale to nie miało znaczenia – wszyscy byli jednakowi, układni, zapięci na ostatni guzik, nie tracący równowagi, nawet w obliczu katastrofy. Jedynym wyrazem uczuć, na który sobie pozwalali, był sporadyczny i sztuczny uśmiech. Taki jak teraz. – Mam nadzieję, że Provoni obróci w proch Nowy Jork – odezwała się Charley. – Razem z siedemdziesięcioma milionami Starych? – spytał Nick. – Ponosi cię, Charlotte – powiedział Ed Wood-man. – Gdyby Obcy zamierzali zniszczyć aglomeracje, to raczej zabiją Starych niż Nowych na ich podniebnych tratwach za miastem. Trudno uwierzyć, aby Provoni do tego zmierzał. Nie, im nie chodzi o miasta – ale o aparat. O tych, co rządzą. – Gdybyś był Nowym, Ed, czy bałbyś się teraz? – spytał go Nick. – Zmartwiłbym się – odparł – gdyby działło laserowe nie wyrządziło mu krzywdy. Prawdę mówiąc i tak byłbym pełen obaw. Ale inaczej niż Nowy i Niezwykły, oczywiście, że inaczej. Będąc na ich 260 miejscu i widząc, że promienie laserowe odbijają się od Provoniego, poszukałbym jakiejś szczeliny, żeby się w niej schować. Nie zdążyłbym zwać. Oni chyba nie odczuwają tego w ten sposób; tak długo rządzą, tak długo byli u władzy, że szukanie szczeliny, dosłownie i fizycznie, nie przyjdzie im do głowy. – Gdyby podawali komplet wiadomości – odezwała się zapalczywie Elka – to byśmy wiedzieli, ilu Nowych i Niezwykłych opuściło Nowy Jork przez ostatnie osiem czy dziewięć godzin. Możecie zobaczyć, proszę. – Wskazała za okno. Niebo było zaciemnione od morza kropek. Wzbijających się w powietrze szmermeli ze śródmiejskiej dzielnicy miasta: ich zwykłych, dobrze znanych miejsc pobytu. – Przejdźmy teraz do pozostałych informacji – ciągnął komentator. – Podano oficjalnie, że Amos lid, wybitny teoretyk Nowych i konstruktor Wielkiego Ucha, pierwszego urządzenia telepatii elektronicznej, został mianowany przez Przewodniczącego Grama na specjalnie utworzone stanowisko. Jego nazwa: Najwyższy Doradca Przewodniczącego. Informacje z wielkiego Budynku Federalnego w Waszyngtonie... Ed Woodman wyłączył telewizor. – Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Elka, wysoka, szczupła kobieta w wydętych balonowych spodniach i siatkowej bluzce ze ściągaczem; na szyję spływały jej brunatnorude włosy. Pod pewnym względem przypominała Charley, zauważył Nick. Wiedział już, że były przyjaciółkami ze szkolnych lat, jeszcze z podstawówki, co było właściwie dzieciństwem. 8 261 – Amos lid – powiedział Woodman. – Ten jest naprawdę czymś dziwnym. Ciekawi mnie od lat; Chryste, uważa się go za jednego z trzech czy czterech najbystrzej szych ludzi w całym Układzie Słonecznym. Nikt nie rozumie jego procesów myślowych, może poza jedną lub dwiema osobami tej samej klasy... to jest, bliskimi tej samej klasy co lid. On... – zrobił znaczący gest -...ma fioła. – Przecież nie możemy tego stwierdzić – sprzeciwiła się Elka. – Nie rozumiemy ich neutrologii. – Ale skoro inni Nowi nie mogą go zrozumieć... – Podobnie było z Einsteinem i jego teorią jednolitego pola – odezwał się Nick. – Teoria jednolitego pola Einsteina była teoretycznie rozumiana, tylko trzeba było dwudziestu lat, by ją udowodnić. – No dobrze, poznamy się na Udzie, kiedy zaczną działać Wielkie Ucho – powiedziała Elka. – Poznamy się wcześniej – stwierdził Ed. – Po decyzjach rządu w trakcie kryzysu z Provonim. – Ty nigdy nie byłaś Podczłowiekiem – powiedział Nick do Elki. – Niestety. Z lenistwa. – Czy to cię

nie skłania do walki? – spytała Charley, podchodząc bliżej, by się włączyć do rozmowy. – Do walki? Z rządem? Z SBP i wojskiem? – Przy naszej pomocy – odparł Nick. – Przy pomocy kosmitów. Takich, jakich sprowadza Provo-ni... jeśli wierzyć jego przesłaniom. – On chyba nie kłamie – powiedział Ed Wood-262 mań. – Nie miałyby sensu wracać na Terre z pustymi rękami. – Nick, wkładaj kurtkę – zawołała Charley. – Lecimy na Times Square. Jak nie, to koniec z nami. – Założyła już swój żakiet z niegarbowanej skóry, pomaszerowała do drzwi, otworzyła je i przystanęła. – Cóż, możecie lecieć w tamten rejon – odezwał się Ed Woodman – a potem zahaczy was patrolowiec wojskowy lub policyjny i ściągnie na ziemię. Przepuszczą nazwisko Nicka przez swoje komputery i zobaczą, że jest na liście do likwidacji u czarnych glin. Wiec go zastrzelą, a ty spokojnie wrócisz do nas. Obróciwszy się, Charley wróciła do mieszkania i powiesiła żakiet. Jej pełne wargi wydęły się w ponurym grymasie, ale ustąpiła przed logiką. Przecież dlatego tu się ukrywali, nocując u przyjaciół, których nie widziała od dwóch lat. – Nie pojmuję – powiedziała. – Dlaczego chcieli zabić Nicka? Gdyby chodziło o mnie – i tak myśleliśmy, wszyscy tak myśleliśmy – mogłabym to zrozumieć, bo ten stary lubieżnik próbował mnie wciągnąć do jednego ze swoich szpitalnych łóżek dla chorych dziewcząt... ale Nicka – przecież ciebie wypuścił, kiedy miał cię wtedy u siebie. Wówczas nie pragnął twojej śmierci; wyszedłeś bez problemów z budynku, wolny jak powietrze, którym oddychamy. – Myślę, że wiem – odezwała się Elka. – Zniósłby to, że go nie chciała per se, wiedział jed- 8

nak, dokąd poszła: z powrotem do ciebie. I nie pomylił się: wróciłaś do Nicka. – Spotkałem ją u Denny'ego – odparł Nick. – Gdyby Denny... Postanowił nie kończyć zdania. Gdyby Denny żył, byłaby z nim, nie ze mną, pomyślał. I odczuł pewną przykrość. W każdym razie nadarzyła mu się okazja, a zwykle mężczyźni takie okazje wykorzystują. To był fragment po mistrzowsku stoczonyj walce o dominację seksualną – syndrom: „patrzcie, z kim ja sypiam” – doprowadzony do swego logicznego skutku: przeciwnik leżał trupem. Biedny Denny, westchnął. Był tak pewny, że jak tylko wskoczą do Purpurowej Syreny, to uda mu się wydostać, wydostać stamtąd całą trójkę. Kto wie, może by mu się udało. Nie dowiedzą się już tego, bo zdecydowali z Charley, że nie pozwolą się już zwabić Syrenie; o ile wiedzieli, stała dotąd na lądowisku dachowym bloku, gdzie ją Denny pozostawił. Powrót byłby teraz zbyt niebezpieczny. Uciekli na piechotę, ginąc w tłumie Starych i wypuszczonych z obozów; przez ostatnie parę dni Nowy Jork zamienił się w rzeszę ludzką, która przewalała się niczym fala przyboju w kierunku Times Square, rozbiwała o skały z barykad SBP i wojska, a potem cofała. Albo odpływała Bóg wie gdzie. Przecież Gram zapowiedział jedynie likwidację starych obozów – nie wspomniał o wstrzymaniu budowy nowych. Charley spytała ze złością: – Będziemy oglądać telewizję, tak? 264

– Jasne – odparł Ed Woodman, pochylając się do przodu i składając dłonie między kolanami. – Nie ma mowy, żebyśmy przegapili; na wszystkich okolicznych dachach ustawili kamery. Oby tym razem Provoniemu nie przyszło do głowy zagłuszyć telewizji. – Mam nadzieję, że to zrobi – powiedziała Elka. – Chcę usłyszeć, jak mówi. – Będzie na antenie – odezwał się Nick. Nie miał co do tego wątpliwości. – Wszystko zobaczymy, wszystko usłyszymy. Ale nie spreparowane przez stacje telewizyjne. – Czy jest paragraf przeciwko włączaniu się do programów telewizyjnych? – spytała Elka. – Chodzi o to, czy nie złamał prawa, wyłączając inne stacje i programy telewizyjne ze swego statku? – O Boże – zachichotała Charley, zasłaniając ręką oczy. – Nie gniewaj się na mnie, ale chce mi się śmiać. Provon wraca po dziesięciu latach w towarzystwie potwora z innego układu słonecznego, aby nas ratować, i idzie do więzienia za przeszkadzanie ludziom w oglądaniu telewizji. Oto, jak można się go pozbyć; to czyni z Thorsa wroga publicznego! Jeszcze niecałe półtorej godziny, pomyślał Nick. I przez cały czas, uświadomił sobie, gdy Szary Dinozaur zbliża się do Ziemi, rażą go pociskami. Przestali o tym wspominać publicznie: wiedzą, że pociski rakietowe nie zdają się na nic. Istnieje jednak statystyczna szansa, że któraś z rakiet spenetruje ekran statku bez względu na jego naturę, że stwór, w który jest spowity statek, zmęczy się bądź przestanie dzia- 8 265 łać z innego powodu – choćby przez krótką chwilę – lecz w tej krótkiej chwili nawet mały pocisk mógłby całkowicie zniszczyć Dinozaura. Przynajmniej próbują, powiedział do siebie ponuro. To jest zresztą ich obowiązek, do diabła. – Ed, włącz telewizor – powiedziała Charley. Włączył. Na ekranie stary pojazd międzygwiazdny opuszczał się na wymarły środek

Times Square plując ogniem z raketowych silników hamujących. Archaiczny, podziurawiony, przeżarty rdzą, najeżony wyszczerbionymi kawałkami metalu: resztkami funkcjonujących niegdyś czujników. – Nabrał ich! – zawołał Ed Woodman. – Jest półtorej godziny wcześniej! Ciekawe, czy zdążyli przygotować do strzału swoje działo laserowe? Boże, zepsuł im cały harmonogram. Kupili tę historię z trzydziestoma dwiema godzinami! Koptery i małe szmermele policyjne gnały na wszystkie strony jak chmary komarów, unikając podmuchu z dysz silników. Na ziemi funkcjonariusze SBP i żołnierze rozbiegali się, rozpaczliwie szukając osłony. – Wiązka laserowa – ciągnął monotonna Ed Woodman z oczyma utkwionymi w ekranie. – Gdzie ona jest? – Chcesz, by się pokazała? – zdziwiła się Elka. – Wypuszczą ją, wcześniej czy później – odparł Ed. – Niech nadejdzie wreszcie godzina próby. Chryste, nieszczęsne dranie; muszą biegać po dachu Shafter Building jak mrówki. 266 Z dachu wieżowca na nieruchomy już statek trysnęła czerwona wiązka energii. W głośniku telewizora słychać było jej wściekły jęk, którego intensywność rosła coraz bardziej i bardziej. Musi już iść całą mocą, pomyślał Nick. A Szary Dinozaur – stoi jak stał. Coś olbrzymiego i szkaradnego zmaterializowało się wokół statku i Nick wiedział, czym to było. Widzieli obcą istotę. Jak ślimak, pomyślał. Lekko zafalowała, wyciągnęła dwa pseudoodnóża i prześlizgnęła się bezpośrednio w snop wiązki laserowej... kiedy promienie zaczęły ją drążyć, robiła się coraz większa i bardziej cielesna. Ona się żywi światłem laserowym, uświadomił sobie. Im dłużej będą ją trzymać pod ostrzałem, tym silniejsza się stanie. Komentator wiadomości telewizyjnych, zakłopotany po raz pierwszy w życiu, wykrzyknął: – Zdaje się, że to coś odnosi korzyść z lasera. – Istota z innego układu słonecznego, nie chce się wierzyć, ale mamy ją przed sobą. Musi ważyć tysiące ton; wchłonęła Szarego,.. – dodał jego kolega. Luk statku rozsunął się. Ukazał się Thors Provoni w szarym okryciu przypominającym bieliznę, bez hełmu, bez broni. Wiązka laserowa, wycelowana na nowo przez obsługujących ją techników, przesuwiała się, póki nie objęła Provoniego. Nic się nie stało. Provoni nie uległ zmianie. Nick, przyjrzawszy się uważnie, spostrzegł pokrywającą Provoniego siatkowatą strukturę w kształcie namiotu. Od Obcego. Faceci od lasera nie mieli szczęścia. 8 267 – To nie był blef – szepnęła Elka. – On naprawdę sprowadził Obcego. – I to dysponującego potężną mocą – dodał ochryple Ed. – Zdajecie sobie sprawę z energii tej wiązki laserowej? W ergach... Charley spytała Nicka: – Co teraz zrobią? Skoro promienie laserowe nie działają? Komentatorowi przerwano nagle w pół zdania. Tam, stojąc obok swego statku, Thors Provoni zbliżył do ust mikrofon. – Witajcie – powiedział, a jego głos dobiegał z telewizora; Provoni, rzecz jasna, nie ufał środkom przekazu: znowu przejął mnóstwo kanałów, ale tym razem wyłączył ich tor dźwięku. Obraz szedł normalnie z kamer stacji telewizyjnych. – Cześć, Thors – powiedział Nick. – To była długa podróż.

–On się nazywa – mówił do mikrofonu Provoni

–Morgo Rahn Wilc. Chciałbym wam o nim szczegółowo opowiedzieć. Zacznę od tego. Jest bardzo stary. Jest telepatą. Jest moim przyjacielem. Nick oddalił się od telewizora, wszedł do łazienki i sięgnął do szafki po trochę prochów; wybrał dwie tabletki chlorowodorku fenmetrazyny, łyknął je, po czym dołożył jedną tabletkę z 25 mg chlorowodorku chlorodiazepoksydyny. Nagle spostrzegł, że trzęsą mu się ręce; miał trudności z utrzymaniem w dłoni szklanki wody, a potem z przełknięciem pastylek. W drzwiach łazienki pojawiła się Charley. – Muszę coś wziąć. Co mi radzisz? – Fenmetrazynę i chlorodiazepoksydynę – odparł. – Pięćdziesiąt miligramów pierwszej i dwadzieścia pięć drugiej. – To euforyki i środki skurczowe jednocześnie. – Ale to dobra kombinacja; chlorodiazepoksydy-na zwiększa wydajność kory mózgowej, a fenmetra-zyna stymuluje podwzgórze, co intensyfikuje metabolizm całego mózgu na wszystkich poziomach. Skinęła potakująco i łyknęła prochy, które jej polecił. 8 269

Ed Woodman wpadł do łazienki, trzęsąc głową i wyjął kilka pastylek z rzędów buteleczek. – Coś podobnego! – powiedział. – Nie mogą go w ogóle zabić; on najzwyczajniej w świecie nie chce umrzeć. A to coś je energię; po prostu z sekundy na sekundę wypełniają go coraz bardziej elektryką, głupie skurwysyny. Za pół godziny będzie rozmiarów Brooklynu; to tak, jakby pompować do oporu nieskończenie wielki balon. Thors Provoni mówił dalej z ekranu: -... Nigdy nie widziałem jego świata. Natknął się na mnie w otchłani Kosmosu; był na patrolu i odebrał sygnały radiowe wysyłane automatycznie przez mój statek. Tam, w dalekiej przestrzeni, przebudował go, naradzając się telepatycznie ze swymi braćmi na Frolixie 8 i dostał zgodę, by towarzyszyć mi w drodze powrotnej na Ziemię. Jest tylko jednym z wielu. Myślę, że da sobie radę z tym, co musimy zrobić. Jeśli nie, o rok świetlny stąd czeka stu podobnych do niego. Na statkach zdolnych do lotu w nadprzestrzeni. A więc, jeśli trzeba, mogą tu być bardzo prędko. – Teraz to już blefuje – odezwał się Ed Woodman. – Gdyby mogli pokonać nadprzestrzeń, Pro-voni i jego stwór zrobiliby to, a w rzeczywistości lecieli w normalnej przestrzeni, tyle że przy użyciu napędu Supra-C, oczywiście. – On przecież – powiedział Nick – korzystał ze swojego statku, Szarego Dinozaura. Ich pojazdy mogą być zbudowane do lotów w nadprzestrzeni; Dinozaur nie jest. 270 – Więc mu wierzysz? – spytała Elka.

–Tak – odparł Nick.

–Ja mu wierzę – powiedział Ed – ale to bla-gier. Ta historia z pojawieniem się osiem godzin wcześniej – wszyscy dali się nabrać, a mogę się założyć, że było to zrobione z premedytacją. A potem stoi tak, pozwalając walić w siebie z lasera o napięciu miliardów woltów. A ten jego przyjaciel, Morgo coś tam; zademonstrował go na

pokaz, by wyrzucić na nas wrażenie. – Po chwili dodał kwaśno: – I jestem pod wrażeniem. Charley podeszła do okna w salonie, otworzyła je, wychyliła się i wrzasnęła: – Hej, wy tam, chcecie rozpieprzyć Nowy Jork? Macie przestać, słyszysz jeden z drugim? – Zamykając okno, miała twarz pozbawioną wyrazu. – To ich powinno załatwić – powiedział Nick. – Nowy Jork to moje rodzinne miasto – wyjaśniła Charley. Raptownie przycisnęła palce do czoła. – Czuję coś. Jakby... omiecenie, sondę. Przechodzi przeze mnie i znika. W przebłysku instynktownej intuicji Nick zauważył wnikliwie: – Szuka Nowych. – O Boże – jęknęła Elka. – Właśnie to poczułam, przez krótką chwilę. Szuka Nowych. Co chce z nimi zrobić? Wymordować ich? Zaslugują na to? Wcale nas nie mordowali. – Denny'ego – powiedziała Charley. – I o mały włos mnie; niewiele brakowało, żeby mnie zastrzelili 8 271 w Budynku Federalnym. I nastali morderców na Nicka. Jeśli się – co to za wyraz – ekstrapoluje z tego... – Wysoka przeciętna – wpadł jej w słowo Nick. Oraz Cordon, powiedział do siebie. Chyba go zastrzelili. Nigdy naprawdę nie będziemy wiedzieć... jedynie to, że nie żyje. Czy Provonie już wie? – zastanawiał się. Pomóż nam, Boże, mógłby wpaść w szal. Provonie mówił dalej przez tor dźwiękowy telewizji: – Monitorując ziemskie programy, dowiedzieliśmy się o śmierci Erica Cordona. – Jego masywna twarz cofnęła się, jakby kurcząc się w sobie z bólu. – Za godzinę poznamy okoliczności sprawy; prawdziwe, nie te, które podały środki przekazu. I wtedy... – Umilkł. Naradza się z Obcym, pomyślał Nick. – I wtedy... – znowu przerwał. – Czas pokaże – powiedział tajemniczo na koniec, duża głowa mu opadła, oczy się zamknęły; konwulsyjny dreszcz przebiegł mu po twarzy, jakby Provonie usiłował z trudnością, z wielką trudnością, odzyskać kontrolę nad sobą. – Willis Gram – odezwał się Nick. – To jego sprawa. Rozkaz wyszedł od niego. Provonie wie o tym; on wie, gdzie patrzeć. To morderstwo da pretekst do wszystkiego, co się odtąd stanie, do wszystkiego, co zrobi i powie Provonie; co zrobi jego przyjaciel. Skazuje to elitę władzy na zgubę; myślę, że Provonie jest tego pokroju człowiekiem, który... – Nie wiesz, jaki wpływ mógł mieć na niego Obcy – wskazał Ed. – Mógł złagodzić gorycz i nienawiść Provoniego. – Odwrócił się od Elki. – Kiedy ta 272 istota sondowała twój umysł, czy wydawała się... okrutna? Wroga? Mordercza? Namyslała się przez chwilę, po czym spojrzała na Charley. Ta potrząsnęła przecząco głową. – Nie sądzę – odparła Elka. – To było... takie obce. I szukało czegoś, czego we mnie nie znalazło. Więc przeniosło się gdzie indziej. To trwało tylko ułamek sekundy. – Czy możecie sobie wyobrazić to coś – powiedział Nick – jak setkami sonduje umysły? A może tysiącami? Wszystkie naraz. – Być może milionami – dodał cicho Ed. – W tak krótkim czasie? – spytał Nick. – Czuję się podle – powiedziała ze złością Charley. – Chyba będę miała okres. Idę się położyć. – Zniknęła w sypialni; zamknęły się za nią drzwi. – Przykro mi, panie Lincoln – odezwał się Ed Woodman. – Po prostu nie mam teraz czasu, by wysłuchać notatek, które zrobił pan do swego przemówienia w Gettysburgu. – Głos miał szorstki i szydery, dostał także silnych wypieków od gniewu. – Ona się boi – powiedział Nick – dlatego tam poszła. To dla niej za dużo. A dla ciebie, w gruncie rzeczy, nie jest za dużo? Czy nie jest tak, że obejmujesz to rozumem, ale emocjonalnie nie przyjmujesz tego tak naprawdę do wiadomości?

Widzę ekran; wiem, co widzę, ale... – zrobił gest ręką – jedynie płat czołowy mego mózgu rozumie to, co widzę. I słyszę. – Z tymi słowy podszedł do drzwi sypialni i otworzył je delikatnie. Charley leżała na łóżku, pod 8 273 dziwnym kątem, z twarzą odwróconą na bok i szeroko rozwartymi oczyma. Nick zamknął za sobą drzwi, podszedł powoli i usiadł na krawędzi łóżka. – Wiem, co Obcy chce zrobić – powiedziała. – Wiesz? – Tak. – Pokiwała beznamiętnie głową. – Ma zamiar wymienić fragmenty ich mózgow, a potem wycofać się, nie pozostawiając niczego. Pustkę. Będą żywymi, wydrążonymi skorupami. Jak po lobotomii. Pamiętasz ze szkoły, zajęcia o szalonych praktykach psychiatrycznych z dwudziestego wieku? Odmóżdzenie, oto co tamci, doktorzy, robili ludziom. Ten stwór usunie Węzły Rogersa, a co więcej – nie poprzestanie na tym, że ich upodobni do nas. Nie zaatakował Provoniego; Provoni go przekonał. – Skąd o tym wiesz? – spytał Nick. – No cóż, to nie jest długa historia. Dwa lata temu podrobiłam zestaw wypełnionych testów na kategorii R-dwa – z pomyślnym rezultatem. Tak więc przez jakiś czas miałam dostęp do rejestrów rządowych i pewnego razu poprosiłam dla żartu o dane na temat Provoniego, o tak zwaną fiskę Provoniego, i przemyciłam ją do domu, pod ubraniem – to był głównie mikrofilm. Przesiedziałam nad nim całą noc. – Po chwili wyjaśniła: – Czytam strasznie wolno. – I jaki jest? Mściwy? – Opętany. Odwrotnie niż Cordon; Cordon był mądrym człowiekiem, rozsądną postacią polityczną, której przyszło żyć w społeczeństwie, gdzie nie wolno mieć odmiennych poglądów. Kto wie, czy w innym nie zostałby wielkim mężem stanu. Ale Provoni... 18 – Nasi przyjaciele... 274 – Dziesięć lat mogło go zmienić – zauważył Nick. – Samotny przez większość czasu... w przeciągu tylu lat musiał mnóstwo godzin poświęcić intro-spekcji i autoanalizie. – Nie usłyszałeś tego dzisiaj? Przed chwilą? – Nie – odparł zgodnie z prawdą. – Wylali mnie z pracy i musiałam zapłacić 350 popsów grzywny, przez co trafiłam do rejestru przestępców, który później jeszcze wzbogaciłam. – Umilkła na moment. – Denny też. Kilka razy wpadł. – Podniosła głowę. – Wracaj i oglądaj telewizję. Proszę. Jak nie chcesz, to sama pójdę, a naprawdę nie mogę, więc idź, dobrze? – Dobrze – odpowiedział. Wyszedł z sypialni i skierował uwagę na telewizor. Czyżby miała rację? – zadawał sobie pytanie. Co do Provoniego, co do jego cech? To coś nowego, o czym nie było mowy... o czym nie było mowy w wydawnictwach Podludzi. Jeśli tak to odczuwała, to jak mogła być Cordonówką, rozpowszechniać i sprzedawać jego bibułę? Tyle, że to były teksty Cordona, uświadomił sobie. Może lubiła go tak serdecznie, że przewyciężyła nieufność do Provoniego. Na miły Bóg, pomyślał. Mam nadzieję, że Charley się myli co do ich planów wobec Nowych – zrobienia im lobotomii, wszystkim dziesięciu milionom! Łącznie z Niezwykłymi. Jak Willis Gram. Coś wtargnęło do jego umysłu; wicher, jaki dmie w piekle. Uderzył się dłońmi po czole, zgiął się w pół z – bólu? To nie był ból; raczej rodzaj dziwnego uczucia, jakby się patrzyło w głąb wielkiej, ciemnej 8 275 dziury, po czym, niezwykle wolno, zaczynało do niej stopniowo wpadać. Nagle wszystko ustąpiło. – Właśnie miałem sondę – powiedział drżącym głosem. – No i co? – spytała Elka.

– Pokazał mi Wszechświat, w którym nie było gwiazd. Nie chcę tego nigdy więcej

widzieć do końca moich dni. – Słuchajcie – odezwał się Ed Woodman. – Na jedenastym piętrze tego budynku mieszka Nowy niskiej klasy... pod numerem BB293-KC. Schodzę tam. – Podeszedł do drzwi. – Idzie ktoś jeszcze? Może ty, Nicku? – Dobrze – odparł. Ruszył w ślad za Edem, doganiając go na cichym, pokrytym dywanem korytarzu. – Sonduje – powiedział Ed, kiedy podeszli do szybu, i nacisnął klawisz. Wskazał na drzwi do mieszkań wypełniających rząd za rzędem cały budynek. – Za każdymi tymi drzwiami przeprowadza sondowanie. Bóg wie, czym to jest dla niektórych; dlatego właśnie chcę zobaczyć tego Nowego... Mars-halla, tak się chyba nazywa. R-pięć, kiedyś mi powiedział. Widzisz więc, że to płotka. Inaczej by nie mieszkał w domu wypełnionym niemal przez samych Starych. Nadszedła winda; weszli do środka i zjechali na dół. – Słuchaj, Appleton – mówił dalej Ed. – Boję się. Mnie też zrobił sondę, ale nic nie mówiłem. On 276 czegoś szuka i nie znalazł tego u nikogo z naszej czwórki, ale gdzie indziej może znaleźć. I muszę wiedzieć, co wtedy robi. Winda zatrzymała się. Wyszli na korytarz. – Tędy – powiedział, idąc energicznie przed siebie; Nick przyśpieszył kroku, żeby go dogonić. – BB293KC. To tam. – Skręcił w stronę drzwi, podeszedł do nich i zatrzymał się; Nick stanął z boku. Ed Woodman zapukał. Odpowiedzi nie było. Przekręcił gałkę. Drzwi się otworzyły. Ostrożnie pchnął je do przodu, stał przez chwilę, po czym ustąpił miejsca Nickowi. Szczupły, śniady mężczyzna ubrany w drogi, przewiewny strój siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, trzymając małe, czarne pudełko. – Panie Marshall? – powiedział cicho Ed Woodman. Szczupły, śniady mężczyzna uniósł swoją rozdętą, baloniastą głowę; patrzył na nich z uśmiechem. Ale się nie odzywał. – Czym pan się bawi, panie Marshall? – spytał Ed, pochylając się. – Mikser elektryczny. Cały czas kręci łopatkami – powiedział do Nicka. Wyprostował się. – R-pięć. Zdolności umysłowe mniej więcej osiem razy większe od naszych. W każdym razie nie cierpi. – Może pan mówić, panie Marshall? – spytał Nick, podchodząc bliżej. – Może nam pan coś powiedzieć? Jak się pan czuje? 8 277 Marshall rozplakał się.

–Widzisz – powiedział Ed – czuje, przeżywa, nawet myśli. Ale nie umie tego wyrazić. Widziałem w szpitalach ludzi po wylewie, którzy nie mogli mówić, nie mogli się w żaden sposób porozumieć, i płakali tak samo. Przyjdzie do siebie, jeśli zostawimy go w spokoju. Wyszli z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. – Muszę wziąć jeszcze parę prochów – powiedział Nick. – Możesz polecić mi na to coś dobrego, coś naprawdę dobrego? – Hel desypraminy – odparł Ed. – Dam ci swojej, zauważyłem, że nie masz. Podeszli do windy i nacisnęli klawisz. – Lepiej im nie mówmy – zaproponował Ed, kiedy ruszyli. – I tak się wkrótce dowiedzą – odparł Nick. – Wszyscy będą o tym wiedzieć. O ile jest tak wszędzie. – Znajdujemy się niedaleko Times Square – zauważył Ed. – Być może przeprowadza sondowanie w kręgach koncentrycznych. Marshall ma to już za sobą, ale Nowi z New Jersey mogą przez to przejść dopiero jutro. – Winda zatrzymała się. – Albo za tydzień. To może się ciągnąć miesiącami i kto wie, czy w tym czasie Amos lid – tylko lid wchodzi w grę – czegoś nie wymyśli. – Chcesz, żeby coś wymyślił? – spytał Nick, wychodząc z windy. Edowi rozbłysły oczy. – Trudno... 278

–Trudno ci wyrokować. – Nick dokończył niezdecydowaną wypowiedź Eda. – A ty chcesz? – Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności – odparł Nick. Razem weszli do mieszkania. Żaden się nie odezwał: między nimi wznosił się mur. Po prostu nie było o czym mówić. Obaj to wiedzieli.

–Trzeba będzie się nimi opiekować – powiedziała Elka Woodman. Wyciągnęła z nich, w jakim stanie był pan Marshall. – Ale nas są miliardy; poradzimy sobie. Można założyć dla nich różne ośrodki, na przykład tereny gier i zabaw. I internaty. I stołówki. Charley siedziała na kanapie, w milczeniu wysku-bując nitki ze spódnicy. Miała gniewną, niezadowoloną minę; Nick nie wiedział dlaczego i nie obchodziło go to w tym momencie. – Jeśli mamy się nimi zająć – odezwał się Ed Woodman – to czy nie mógłby sondować trochę wolniej? Żebyśmy mogli zorganizować opiekę. Mogą umrzeć z głodu, albo wpadać pod szmermele, są jak małe dzieci. – Zemsta ostateczna – mruknął Nick. – Tak – przyznała Elka. – Ale nie można dopuścić, by umierali bezradni i – machnęła ręką – upośledzeni. – Upośledzeni – powtórzył Nick. Tak, upośledzeni, są nie jak małe dzieci, tylko jak dzieci z defektem mózgu. Stąd ta frustracja Marshalla, kiedy próbowali z nim rozmawiać. 280 I to był defekt mózgu. Ich płyty czołowe zostały częściowo zniszczone, od środka, przez sondujące stworzenie. Obwody odbiornika, nadal włączonego, przenosiły teraz głos stałego komentatora telewizyjnego: -...zaledwie dwanaście godzin temu znany fizyk Amos lid, zaangażowany przez Przewodniczącego Willisa Grama na stanowisko specjalnego doradcy w okresie tego kryzysu, wykluczył – powtarzam, wykluczył – za pośrednictwem wszystkich stacji telewizyjnych możliwość sprowadzenia przez Thorsa Provoniego obcej formy życia. – Nick pierwszy raz słyszał szczerą złość w głosie sprawozdawcy. – Wyglądałoby na to, że Przewodniczący oparł się na – jak to się mówi? Na złamanej fujarze, czy jakoś tak; sam już nie wiem. Pożal się, Boże. – Mówiący skłonił głowę. – Wydawało się – przynajmniej nam – że to był dobry pomysł, wymierzyć z baltimor-skiego działła laserowego w luk Dinozaura. Zastanowiwszy się nad tym ponownie, dochodzę do wniosku, że to chyba było zbyt proste. Provoni nie miał zamiaru dać się tak łatwo sprzątnąć po dziesięciu latach przebywania w Kosmosie. Morgo Rahn Wilc, mamy to podane jako nazwisko bądź tytuł Obcego. – Odwróciwszy głowę od mikrofonu, sprawozdawca powiedział do kogoś poza ekranem: – Po raz pierwszy w życiu cieszę się, że nie jestem Nowy. – Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z faktu, iż jego słowa odbierane są przez cały świat, lub nic go to nie obchodziło: siedział przecierając oczy, trzęsąc głową i nic nie mówiąc. Nagle obraz komentatora zniknął 8 281 i pojawił się inny sprawozdawca, najwyraźniej w jego zastępstwie. Miał grobową minę. – Uszkodzenia tkanki nerwowej zdają się powoli... – zaczął, ale w tym momencie Charley chwyciła Nicka za rękę, odciągając go od telewizora. – Chcę słuchać – powiedział. – Idziemy polatać. – Dlaczego?

–Żeby nie tkwić tutaj z uczuciem depresji. Będziemy szybko lecieć. Weźmiemy Purpurową Syrenę. – Chcesz wrócić na miejsce śmierci Denny'ego? – spojrzał na nią z absolutnym niedowierzaniem. – Czarne gliny mogły urządzić zasadzkę, ustawić system alarmowy... – Co ich to teraz obchodzi? – powiedziała cicho Charley. – Po pierwsze wszystkich wezwano do opanowywania tłumów, a po drugie, jak sobie nie polatam Syreną przez parę minut, naprawdę wysoko i naprawdę szybko, to się chyba

zabiję. Mówię poważnie, Nicku. – W porządku – ustąpił. Pod pewnym względem miała rację: nie było sensu, żeby siedzieli tu przyklejeni do telewizora. – Ale jak się tam dostaniemy? – Szmermelem Eda – odparła. – Ed, możemy pożyczyć twój szmermel? Na małą wycieczkę? – Jasne. – Podał jej kluczyki. – Ale będziecie musieli chyba zatankować. Weszli na dach po schodach: to była kwestia tylko dwóch pięter, więc nie potrzebowali windy. Przez jakiś czas oboje milczeli; byli pochłonięci szukaniem szmermela Eda. 282 Usadowiwszy się wewnątrz, za drążkiem, Nick powiedział:

–Powinnaś mu powiedzieć, dokąd lecimy. O Syrenie.

–Po co go martwić? – To była jej cała i jedyna reakcja; nie miała nic więcej do powiedzenia. Wzbili się pod niebo; nie było już prawie żadnego ruchu. Niebawem krążyli nad domem, w którym wcześniej mieszkała Charley. Tutaj, na dachowym lądowisku, stała Purpurowa Syrena. – Mam tam usiąść? – zapytał. – Tak. – Przyglądała się badawczo. – Nikogo w pobliżu nie widać. Naprawdę, już im na tym nie zależy. To koniec wszystkiego, Nicku. Koniec SBP, koniec Grama, Amosa Uda – wyobrażasz sobie, co będzie, kiedy dobierze się do niego Obcy? Zgasił silnik i lotem ślizgowym wylądował bezszelestnie obok Syreny. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Charley prędko wysiadła, trzymając w dłoni kluczyk; stawiając długie kroki podszła do drzwiczek Syreny i włożyła go do zamka. Otworzyły się; natychmiast wcisnęła się za drążek i skinęła na niego, by otworzył drzwiczki z drugiej strony. – Szybciej – powiedziała. – Słyszę gdzieś alarm, zdaje się, że na parterze. Ale żeby teraz, do diabła? – Wdepnęła ze złością akcelerator i płaski krążek Syreny pomknął w górę, śmigając niczym jaskółka. – Spójrz do tyłu – poleciała Nickowi – i sprawdź, czy ktoś za nami nie leci. Sprawdził. 8 283 – Niczego nie widać.

–Przeprowadzę manewry wymijające – powiedziała – jak je nazywał Denny. Robimy masę spiral i immelmannów. To cudowne uczucie, naprawdę. – Syrena przeszła w lot nurkowy, wpadając z rykiem w kanion ulicy między wysokimi budynkami. – Posłuchaj śpiewu dysz! – zawołała i wcisnęła pedał jeszcze mocniej. – Jak będziesz tak lecieć – powiedział – to się nadziejesz na patrol. Odwróciła głowę. – Nie rozumiesz? Ich to już nic nie obchodzi. Cała elita władzy, ludzie, których mieli chronić – tego wszystkiego nie ma. Ich szefowie przypominają faceta, którego znalazłeś z Edem na dole. – Wiesz – odparł – zmieniłaś się od czasu, kiedy ciebie spotkałem. Od paru dni, uświadomił sobie. Ulotniła się z niej ta porywająca witalność; dziewczyna zhardziła w sposób niemal ordynarny: nadal robiła sobie makijaż, lecz teraz przerodził się on w kompletną maskę, nieruchomą i martwą. Zwrócił na to uwagę wcześniej, lecz obecnie przyczyna tego była o wiele głębsza. Wszystko w Charley, nawet kiedy rozmawiała albo poruszała się, wydawało się pozbawione życia. Jakby przestała doznawać uczuć, pomyślał. Ale trzeba wziąć pod uwagę, co się wydarzyło: wpierw atak na drukarnię przy Szesnastej Alei, później to straszne spotkanie z będącym w rui Willisem Gra-/- mem, a potem śmierć Denny'ego. Teraz to. Źródło jej wzruszeń wyszło. 284 Jak gdyby czytając w myślach Nicka, Charley powiedziała:

– Nie umiem prowadzić jej tak jak Denny. Był mistrzem w pilotażu; mógł wyciągnąć do dwustu... – W mieście? – przerwał jej. – Podczas ruchu? – Lecąc zygzakiem wielkimi trasami przelotowymi. – Zabilibyście się oboje do tej pory. – Jej sposób pilotażu przejmował go strachem; stopniowo zwiększała prędkość. Licznik wskazywał 220. To było dla niego aż nadto. – Wiesz – powiedziała, ściskając obiema dłońmi drążek i patrząc nieruchomo przed siebie – Denny był intelektualistą. Prawdziwym. Przeczytał wszystkie książeczki i artykuły Cordona, wszystkie jego prace. Był z tego cholernie dumny; czuł się przez to lepszy od innych. Wiesz, co często mówił? Że on – Denny – jest nieomylny, i z dowolnej przesłanki potrafi wyciągnąć absolutnie pewny wniosek. Zwolniła, skręcając w boczną ulicę biegnącą pomiędzy niższymi budynkami. Obecnie zdawała się lecieć do określonego celu – wcześniej prowadziła dla samej przyjemności lotu, teraz jednakże zwolniła, zeszła niżej... spojrzął w dół i zobaczył skwer pozbawiony domów. – Central Park – poinformowała Nicka, patrząc na niego. – Byłeś tu kiedy? – Nie – odparł. – Nie sądziłem, że jeszcze istnieje. – Większości już nie ma. Został jedynie ten skrawek. Ale to ciągle trawa; ciągle park. Natrafiliśmy na l 8 285

niego z Dennyem któregoś dnia – mówiła ze smutkiem – kręcąc się późno w nocy po mieście, około czwartej nad ranem. Aż nas przytknęło, serio. Wylądujemy tu. Statek zniżył lot zwalniając, dopóki omal nie stanął w miejscu, a wtedy Charley pozwoliła gumowym oponom dotknąć ziemi. Po wciągnięciu skrzydeł szmermel w jednej chwili stał się pojazdem naziemnym. Otworzywszy drzwiczki po swojej stronie, Charley wysiadła. Nick zrobił to samo i zaskoczyła go miękkość trawy pod stopami. Nigdy w życiu nie chodził po trawie. – Jak opony? – zapytał. – Co? – Zajmuję się pogłębianiem rowków, pamiętasz? Jeśli mi podasz latarkę, to obejrzę je i sprawdzę, czy któraś nie ma pogłębionego bieżnika. To mogło cię kosztować życie, chyba rozumiesz. Mieć oponę z pogłębionym bieżnikiem i nie wiedzieć o tym. Charley położyła się, wyciągnęła się na murawie z rękami pod głową. – Moje opony są w porządku – powiedziała. – Latamy Syreną tylko w nocy, kiedy jest dużo miejsca. Nie wykorzystujemy jej w dzień jako pojazdu naziemnego, najwyżej w krytycznej sytuacji. Takiej, która zabiła Denny'ego. – Ucichła, leżała na wznak w wilgotnej, zimnej trawie, patrząc na gwiazdy, i jej milczenie przedłużało się. – Nikt tu nie przychodzi – powiedział Nick. – Nigdy. Zlikwidowali park kompletnie, ale 286

Gram ma słabość do tego miejsca. Pewnie bawił się tu jako dziecko. – Podniosła głowę i powiedziała podniecona: – Czy wyobrażasz sobie Willisa Grama jako bobaska? Albo Provoniego, na przykład? Wiesz, po co cię przywiozłam? Żeby się kochać z tobą. – Ocho – westchnął. – Nie jesteś zaskoczony? – Myśl o tym kołacze się w obu naszych głowach od chwili, kiedy się poznaliśmy – odparł. Była to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o niego; ją też o to podejrzewał, ale oczywiście mogła wszystkiemu zaprzeczyć. – Czy mogę sama zdjąć ci ubranie? – spytała, przetrząsając kieszenie jego kurtki, by sprawdzić, czy nie ma w nich czegoś cennego, co mogłoby wypaść i zgubić się w trawie. – Kluczyki od szmermela? –

pytała. – Identyfikatory? A niech tam, do diabła. Siadaj. – Wykonał polecenie. Charley zdjęła mu kurtkę i położyła ostrożnie na ziemi obok jego głowy. – Teraz koszula – powiedziała i tak to szło dalej. Póki nie zabrała się w końcu do własnego ubrania. – Masz takie drobne piersi – powiedział, przyglądając się Charley w nikłym świetle gwiazd. – Słuchaj no – rzuciła szorstko. – Nie podchodź do tego tak, jakby cię to coś kosztowało. Serce mu stopniało na te słowa. – Nie, oczywiście, że nie – odparł. – Nie musisz tego robić... – Położył dłoń na jej ramieniu. – Rzecz w tym, że robiliście to tutaj, z Dennyem. – Tobie, myślał, może to przypomnieć stare czasy, ale nade mną unosi się widmo: dionizyjska twarz 8 287 młodego chłopaka... taki spryciarz, a dał się załatwić jak dziecko. – Przypomniałem sobie – powiedział – fragment wiersza Yeatsa. – Pomógł jej ściągnąć alliforgiczny sweterek; łatwo je było zakładać, a trudno zdejmować, kiedy się dopasowały do kształtu ciała. – Powinnam się tylko spryskiwać farbą – powiedziała po zdjęciu sweterka. – Nie uzyskasz w ten sposób struktury materiału – odparł. Milczał przez chwilę, a potem dodał z nadzieją: – Lubisz Yeatsa? – Czy on był przed Bobem Dylanem? – Tak. – Wobec tego nie chcę o nim słyszeć. Dla mnie poezja zaczęła się wraz z Dylanem i odtąd chyli się ku upadkowi. We dwoje zdjęli resztę jej ubrania. Jakiś czas leżeli nago na zimnej, mokrej trawie, aż wreszcie potoczyli się równocześnie ku sobie; on wtoczył się na nią, przytulił ją i wpatrywał się z góry w jej twarz. – Jestem brzydka. Prawda? – zapytała. – Tak myślisz? – Był przerażony. – No wiesz, jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. – Nie jestem kobietą – zaproponowała spokojnie. – Nie potrafię dawać. Umiem jedynie brać, nie dawać. Więc nie spodziewaj się po mnie niczego, musisz się zadowolić tym, że tu jestem. – To się nazywa karalny gwałt – stwierdził po chwili. – Daj spokój – odpowiedziała Charley – nadszedł koniec świata; jesteśmy przejmowani i niszczeni 288 neurologicznie przez stworzenie, którego nie da się zabić. Jakiemu gliniarzowi przyjdzie do głowy podać cię do sądu w takiej chwili? Przecież musieliby mieć skargę, a kto by ją złożył? Gdzie świadkowie? – Świadkowie – powtórzył, przez chwilę tuląc ją mocno do siebie. Systemy monitorujące SBP... na pewno ustawili jakiś w Central Parku, choćby i zapomnianym. Odsunął się od dziewczyny i zerwał na nogi. – Ubieraj się szybko – zawołał, sięgając po swoją odzież. – Jeśli myślisz o policyjnym monitorze w parku... – Myślę. – Wierz mi, wszyscy obserwują Times Square. Z wyjątkiem Nowych, takich jak Dyrektor Barnes. Będą się zajmować zdefektowanymi. – Błysnęła jej myśl. – Czyli Willisem Gramem. – Usiadła prosto, ukryła dłonie w zmierzwionych, mokrych od trawy włosach. – Przepraszam, ale chyba trochę go lubiłam – powiedziała i zaczęła się ubierać, po czym rzuciła swoje rzeczy na murawę i dodała błagalnie: – Słuchaj, Nicku, SBP nie przyjdzie po nas. Powiem ci, co zrobimy, weź mnie trochę dłużej, może przez jakieś pięć minut, a potem będziesz mógł mi przeczytać ten – co to jest? – ten wiersz. – Nie mam przy sobie książki, wiesz przecież. – Znasz go na pamięć? – Chyba tak.

Drżał ze strachu, który wzbierał falami w jego sercu, gdy odkładał ubranie i zbliżał się do leżącej na wznak dziewczyny. Wziąwszy ją w ramiona powiedział: 8 289 – To smutny wiersz; myślałem o Dennyem i o tym parku, który lubiliście odwiedzać Syreną.

To tak, jakby spoczywał tutaj duch Denny'ego. – Sprawiasz mi ból – poskarżyła się. – Nie spiesz się. Jeszcze raz podniósł się na nogi. Zaczął się metodycznie ubierać. – Nie chcę ryzykować. Mogę wpaść w łapy tych morderców, tych czarnych glin, którzy za mną wąż. Leżała nieruchomo. Po jakimś czasie odezwała się:

–Powiedz mi wiersz.

–Ubierzesz się? Kiedy będę mówił?

–Nie – odpowiedziała; patrzyła w górę na gwiazdy, z rękami za głową. – Prowni przyleciał stamtąd – dodała. – Boże, jak ja się cholernie cieszę, że nie jestem w tym momencie Nową... – Zaciśnęła pięści i cedząc słowa przez zęby powiedziała ochryple: – On robi dobrze, ale... trzeba im współczuć, Nowym. Poddani lobotomii. Zniknęły im Węzły Rogersa i Bóg wie co jeszcze. Chirurgia z przestrzeni kosmicznej. – Roześmiała się. – Zrobmy z tego reportaż i dajmy tytuł KOSMICZNY CHIRURG Z DALEKIEJ GWIAZDY. Dobrze? Przykucnął i pozbiarał jej rzeczy. Torebkę, sweterek, bieliznę. – Powiem ci wiersz, a wtedy zrozumiesz dlaczego nie mogę bywać z tobą w miejscach, które odwiedzałaś z Denny; nie mogę go zastąpić niczym nowy Denny. Potem zechcesz mi podarować jego portfel, na pewno wykonany ze skóry strusia, jego zegarek, Criterion, jego agityczne spinki do mankietów... 19ŚNasi przyjaciele... 290

–Urwał. – Już nie ma mnie; gdzieś stoi grób wśród astrów fal i lilii mór, ucieszy... – Zamilkł jeszcze raz. – Mów dalej – poprosiła. – Słucham. – Ucieszy się nieszczęsny faun, gdy będą mnie chowali tam, btazeńską pieśnią budząc brzask. – Co to jest faun? Zignorował jej pytanie. – Koszmarne dni uwieńczy śmiech; i we śnie go widzę pośród traw; upiornie rosą wiedzie krok... Przeszyty przez mój śpiewny głos* – dokończył w myślach. Nie mógł jednak powiedzieć tego na głos; coś go ścisnęło za gardło. – Podoba ci się? – spytała Charley. – Takie starocie? – To mój ulubiony wiersz. – A lubisz Dylana?

–Nie.

–Powiedz mi jeszcze jeden wiersz. – Siedziała obok niego, już ubrana, z podciągniętymi kolanami i zwieszoną głową. – Nie znam innych na pamięć. Zapomniałem nawet, jak ten idzie dalej, a czytałem go z tysiąc razy. – Czy Beethoven był poetą? – Kompozytorem. Muzyki. – Jak Bob Dylan.

–Świat się zaczął przed Dylanem.

–Chodźmy już – powiedziała. – Zmarzłam. Było ci dobrze?

* przekł. Wojciech Orszulak

–Nie – odparł szczerze.

–Dlaczego?

–Jesteś zbyt spięta.

–Gdybyś przeszedł to, co ja...

–Może właśnie o to chodzi. Wiesz za dużo. Za dużo i za wcześnie. Ale ja cię kocham.

– Wziął ją w objęcia, przytulił mocno i pocałował w skroń. – Naprawdę? – Odzyskała trochę swojego dawnego wigoru; podskakiwała, rozkładając szeroko ramiona i z wyciągniętymi rękami kręciła się w kółko. W powietrzu za nimi pojawił się policyjny statek patrolowy szybujący z wyłączonym sygnałem i wygaszonymi światłami, lądując bezszelestnie. – Syrena! – zawołała Charley. Pobiegli szybko w kierunku pojazdu, wgramolili się do środka; Charley usiadła za drążkiem. Zapuściła silnik. Syrena potoczyła się naprzód i jej skrzydła rozsunęły się. Zapaliły się czerwone światła policyjnej suki; włączył się jej sygnał. I przez megafon zagrzmiały słowa, których nie mogli odcyfrować; odbijały się i odbijały echem, aż Charley zaczęła pisać z bólu. – Zgubię ich – jęknęła. – Denny zrobił to tysiąc razy; nauczyłam się od niego. Docisnęła gaz do dechy. Za plecami Nicka rozległ się grzmot z otwartych do końca dysz i w tej samej chwili odskoczyła mu do tyłu głowa: to Syrena gwałtownie przyspieszyła. – Przy okazji pokażę ci silnik! – zawołała Charley, miała rozbiegane oczy. A Syrena dalej nabierała szybkości; nigdy nie leciał tak podrasowanym szmermelem choć widział wiele podrasowanych po-292 jazdów przeprowadzanych na plac dla dalszej odsprzedaży. Tamte jednak były całkiem inne. – Denny wkładał w Syrenę każdego popsa, jakiego miał – powiedziała Charley. – Zbudował ją właśnie po to, dla ucieczki przed glinami. Uważaj. Trąciła przełącznik i odchyliła się do tyłu, puszczając przyrządy sterownicze. Syrena raptownie opadła, niemal do samej ziemi; Nick zeszywniał – to wyglądało na pewną katastrofę – i nagle, dzięki jakiemuś systemowi autopilota, którego nie znał, szmermel wleciał z ogromną prędkością w labirynt wąskich uliczek wśród starych drewnianych domów towarowych – szybując około metra nad jezdnią. – Nie możesz opuszczać się tak nisko – powiedział do Charley. – Jesteśmy niżej, niż gdybyśmy wypuścili koła i ślizgali się po ziemi. – Uważaj teraz. – Odwróciła głowę, wbijając wzrok w statek SBP za tylną szybą – gonił ich, pozwolił sobie lecieć na tej samej wysokości co oni – a potem gwałtownie szarpnęła dźwignią wznoszenia na pozycję dziewięćdziesięciu stopni. Wystrzelili do góry, w ciemność, a statek policyjny za nimi. I w tym momencie, od południa, nadciągnęła druga suka. – Musimy się poddać – powiedział Nick, kiedy oba statki policyjne dołączyły do siebie. – W każdej chwili mogą otworzyć

ogień i trafić nas. Zaraz to zrobią, jak nie zareagujemy na to pulsujące czerwone światło. – Ale jak nas złapią, to zabiją ciebie – odparła. 8 293

Zwiększyła kąt lotu, a mimo to za nimi wyły wciąż sygnały obu patrolowców i błyskały czerwone światła. Syrena zniżyła lot jeszcze raz, spadając jak kamień, dopóki układ automatyczny nie zatrzymał jej metr nad chodnikiem. Statki policyjne zrobiły to samo. Również odbyły pikowanie. – O Boże – jęknęła Charley. – Oni też mają system rezerwowy Reevesa-Fairfaksa. Zobaczmy. – Twarz jej się wykrzywiła jak w napadzie szału. – Denny! – zawołała. – Co teraz? Co mam teraz robić? Skręciła na rogu ulicy – ścinając latarnię, zauważył Nick. A potem tuż przed nimi pojawiła się buchająca ogniem chmura. – Granaty albo pociski termotropiczne – domyślił się Nick. – Strzał ostrzegawczy. Włącz radio w paśmie policyjnym. – Sięgnął do pulpitu, ale Charley chwyciła ze złością jego rękę i odepchnęła. – Nie będę z nimi rozmawiać – warknęła. – I nie zamierzam ich słuchać. – Rozwałą nas przy następnym strzale. Mają do tego prawo; i skorzystają z niego. – Nie – upierała się. – Nie zestrzelą Syreny. Obiecuję ci to, Denny. Syrena wzbiła się, zrobiła immelmana, jeszcze jednego, potem beczkę... ale oba patrolowce dalej siedziały jej na ogonie. – Lecę... wiesz, gdzie lecę? – spytała. – Na Times Square. Tego się spodziewał. 294 – Nie – zaprotestował. – Nie wpuszczają w tamten rejon żadnych statków; urządzili blokadę. Wpadniesz w zbitą masę glin. Ale dziewczyna robiła swoje. Zobaczył w oddali światła reflektorów i kilka maszyn wojskowych, krążących nad ziemią. Byli prawie na miejscu. – Pójdę do Provoniego i poproszę o azyl – oznajmiła. – Dla nas obojga. – Chciałaś powiedzieć, dla mnie. – Poproszę go wprost, aby nas wpuścił pod swoją siatkę ochronną. Wpuści nas; wiem, że nie odmówi. – Być może – powiedział. Nagle zamajaczył przed nimi jakiś kształt. Powolny transportowiec wojskowy z ładunkiem amunicji do wyrzutni rakietowych z głowicami wodorowymi; na całej długości statku paliły się światła ostrzegawcze. Charley krzyknęła: – O Boże, nie mogę... – Po czym uderzyli.

Oślepił go błysk światła. Słyszał – wyczuwał – ruch wokół siebie. Światło sprawiało ból i chciał podnieść dłoń, by je odegnąć, nie mógł jednak ruszyć ręką. Przecież nic mi się nie stało, mówił do siebie. Czuł, że rozumuje logicznie. Jesteśmy na ziemi, mówił do siebie. To funkcjonariusz SBP świeci mi latarką w oczy, żeby sprawdzić, czy straciłem przytomność, czy umarłem. – Co z nią? – spytał. – Z dziewczyną, która leciała w statku razem z panem? – Spokojny, opanowany głos. Zbyt opanowany. Obojętny. Otworzył oczy. Stał nad nim funkcjonariusz SBP w zielonym mundurze, miał latarkę i broń. Wszędzie leżały rozrzucone szczątki statków, głównie transportowca; spostrzegł karetkę i krzątających się ludzi ubranych na biało. – Dziewczyna nie żyje – powiedział funkcjonariusz. – Mogę ją zobaczyć? Ja ją muszę zobaczyć. Z wysiłkiem usiłował podnieść się na nogi; gliniarz pomógł mu wstać, po czym wyciągnął notes i pióro. – Pańskie nazwisko? – spytał. – Niech mi pan pozwoli ją zobaczyć. 296

–W porządku, koleś. – Poprowadził go przez rumowisko, przyświecając sobie latarką. – Oto ona. To była Purpurowa Syrena. Charlotte wciąż znajdowała się w kabinie. Od samego początku nie mogło być wątpliwości co do tego, czy żyje: czaszka dziewczyny została starannie przepełowiona drążkiem, na który wpadła z ogromną siłą po zderzeniu Syreny z wielką, starą balią amunicyjną. Ktoś jednak wyciągnął z niej rumpel, zostawiając wybity otwór. Widać było korę mózgową, mokrą od krwi, skręconą, rozdartą na pół. Przeszyta, jak u Yeatsa, pomyślał; Przeszyta przez mój śpiewny głos. – To się musiało stać – powiedział do gliniarza. – Jeśli nie w ten, to w jakiś inny sposób. Szybki. Może po alkoholu. – Z jej identyfikatora wynika, że miała dopiero szesnaście lat. – To prawda. Rozległ się straszliwy huk, od którego zatrzęsła się pod nimi ziemia. – Działo wodorowe – wyjaśnił zajęty pisaniem policjant. – Dodatkowy strzał w tego frolixiańskiego stwora. – Wyprężył się. – Nic nie pomoże. Tu chodzi o ludzki umysł na całym świecie. Pańskie nazwisko? – Denny Strong – odparł Nick. – Proszę pokazać identyfikator. Nick odwrócił się i zaczął uciekać, najszybciej jak mógł. Policjant zawołał za nim: – Zwolnij pan. Nie będę do pana strzelał. Co 297

–mnie to teraz obchodzi? Przykro mi tylko z powodu dziewczyny. Nick zwolnił, przystanął i odwrócił się. – Dlaczego? – spytał. – Dlaczego ona pana obchodzi? Nie znał jej pan. Dlaczego nie zainteresuje się pan mną? Jestem na liście do odstrzału u czarnych glin; obchodzi to pana? – Ani trochę. Od czasu jak spojrzałem przez wideofon na mojego szefa; od czasu jak go zobaczyłem. Nowy, wie pan. Jak małe dziecko. Bawił się różnymi rzeczami na biurku, układał je w kupki, bodaj według kolorów. – Mógłby mnie pan podrzucić? – spytał Nick. – Gdzie? – Do Budynku Federalnego.

–Ależ tam jest teraz dom wariatów. Ci wszyscy Nowi w swoich klitkach, niech pan

tam nie leci. – Chcę się zobaczyć z Przewodniczącym Gramem. – Jest pewnie taki sam jak reszta, jak inni Nowi i Niezwykli. – Policjant zamyślił się, a potem dodał: – Chociaż właściwie nie wiem, czy on coś robi Niezwykłym. Tu chodzi o Nowych. – Niech mnie pan tam zabierze – nalegał Nick. – W porządku, kolego, ale jest pan ranny – ma pan złamaną rękę i możliwe, bardzo możliwe, że obrażenia wewnętrzne. Nie poleciałby pan raczej do Miejskiego Szpitala? – Chcę się zobaczyć z Przewodniczącym Gramem. – Dobrze – odparł policjant – polecę tam z pa-298

nem. I po prostu wysadzę pana na dachu. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – nie chcę, aby mi to zaszkodziło. – Pan jest Stary? – Tak, jasne. Jak i pan. Jak większość ludzi. Jak to całe miasto prócz lokatorów Budynku Federalnego, gdzie Nowi... – To panu nie zaszkodzi – przerwał mu Nick. Ruszył chwiejnie, ale bez niczyjej pomocy, w stronę zaparkowanej nie opodal suki SBP. Pieszko – i starając się nie zemdleć. Nie teraz, powiedział do siebie. Najpierw Gram; potem to już wszystko jedno. Być może go oszczędzono; jak wspomniał policjant, to było wymierzone przede wszystkim w Nowych, nie w Niezwykłych. Policjant wszedł bez pośpiechu do statku, zaczekał na Nicka, po czym wystartowali. – Szkoda dziewczyny – przerwał milczenie funkcjonariusz. – Ale zauważyłem jakie on miał gary, podrasowane jak wszyscy diabli. Należał do niej? Nick nie odpowiedział, trzymał się za prawą rękę, w głowie miał pustkę. Ledwie wyczuwał domy w dole, kiedy statek mknął w kierunku Budynku Federalnego, osiemdziesiąt kilometrów od śródmieścia Nowego Jorku, w satrapii Waszyngtonu. – Dlaczego leciała tak szybko? – spytał policjant. – Ze względu na mnie – odparł. – Dlatego leciała tak szybko. To ją właśnie zabiło. Statek gnał przed siebie charcząc, wydając jak zwykle znajomy dźwięk odkurzacza.

Lądowisko na dachu Budynku Federalnego roilo się od świateł startujących i lądujących statków. Było wszakże widać tylko służbowe maszyny; najwyraźniej port był zamknięty dla ludności... Bóg wiedział, na jak długo. – Mam zezwolenie na lądowanie – powiedział policjant, wskazując pulsujące zielone światełko na skomplikowanym pulpicie swego statku. Osiedli na lądowisku. Nick wygramolił się przy pomocy policjanta i chwiejnie stanął na nogach. – Powodzenia, kolego – zawołał agent i po chwili go nie było; statek policyjny zniknął na niebie, jego migające czerwone światła mieszały się z gwiazdami. Przy rampie wejściowej na drugim końcu pola zagroził mu drogę rząd agentów SBP w czarnych mundurach. Wszyscy nosili karabinki o piórkowatych jęczyczkach spustowych. I wszyscy patrzyli na niego jak na śmiecia. – Przewodniczący... – zaczął. – Zabieraj się stąd – warknął jeden z policjantów. – ...Gram prosił mnie, abym tu przyleciał i spotkał się z nim – dokończył Nick. 300 – Nie wiesz, że mamy na karku Obcego, który waży czterdzieści tysięcy ton i... – Jestem tu w nagłej sprawie – przerwał mu Nick. Stojący obok czarny gliniarz powiedział coś do mikrofonu na przegubie, poczekał chwilę w milczeniu, słuchając głośniczka w uchu, a potem skinął głową. – Może wchodzić. – Zaprowadzę pana – powiedział trzeci policjant. – Ten cały pieprzony gmach obrócił się w ruinę. – Funkcjonariusz szedł pierwszy, a Nick starał się nadążyć za nim najszybciej jak mógł. – Co z panem? – spytał gliniarz. – Wyglądasz pan, jakbyś się rozbił szmermelem. – Nic mi nie jest – odparł. Minęli Nowego, który stał z pisemną dyrektywą w dłoniach, najwyraźniej usiłując ją przeczytać. Jakaś resztką rozsądku podpowiadała mu, że musi to zrobić, ale w oczach tego człowieka nie było zrozumienia, tylko strach i zakłopotanie. – Tędy. – Ubrany na czarno agent SBP przeprowadził Nicka przez szereg maleńkich gabinetów; tu i tam widział przelotnie Nowych. Jedni spoczywali na podłodze, niektórzy usiłowali coś robić, manipulować jakimiś przedmiotami, inni po prostu siedzieli bądź leżeli, patrząc tępo przed siebie. Niektórzy zaś, jak widział, mieli ataki dzikiej furii. Pracujący w Budynku Starzy próbowali trzymać ich pod kontrolą. Otworzyły się ostatnie drzwi; policjant odsunął się i powiedział: 8 301 – Tutaj – po czym wrócił tą samą drogą, którą przyszli.

Willis Gram nie leżał w swoim wielkim, rozgrzebanym łóżku. Siedział natomiast w fotelu pod przeciwległą ścianą, najwyraźniej był spokojny; jego twarz wyglądała na rozluźnioną i opanowaną. – Charlotte Boyer nie żyje – odezwał się Nick. – Kto? – Gram zamrugał oczyma i odwrócił się, skupiwszy uwagę na swym gościu. – Ach tak. – Podniósł ręce w geście bezsilności. – Odebrali mi moje zdolności telepatyczne. Jestem teraz tylko Starym. Raptem przemówił interkom na jego biurku: – Panie Przewodniczący, uruchomiliśmy drugi system laserowy, ten na dachu Carriager Building, i za dwadzieścia sekund skoncentruje swoją wiązkę na tym samym celu, co system laserowy z Baltimore. – Provoni stoi tam jeszcze? – zapytał głośno Gram. – Tak. Wiązka baltimorska skierowana jest bezpośrednio na niego. Po dodaniu wiązki laserowej systemu z Kansas City, praktycznie podwoimy moc. – Informujcie mnie na

bieżący. Dziękuję – odparł Gram i odwrócił się do Nicka. Dzisiaj Gram był całkowicie ubrany: urzędowe pantalony, jedwabna koszula z plisowanymi rękawami, pantofle na łaćciatej podeszwie. Był wypielęgnowany, schludnie ubrany i spokojny. – Przykro mi z powodu dziewczyny – powiedział. – Przykro, ale nic więcej... kiedy się nad tym głębiej zastanowić. Może gdybym poznał ją lepiej. 302 – Ze znużeniem potarł twarz, była świeżo wypudrowana i zostawiła mu na skórze białą warstwę pudru; ze złością uderzył dłonią o dłoń. – Nie będę marnował łez dla Nowych – mówił dalej, wykrzywiając usta. – To ich wina. Słyszałeś o człowieku, Nowym, zwanym Amosem Udem? – Oczywiście. – „Absolutnie niemożliwe, że sprowadził ze sobą Obcego”. Neurologia, której nie rozumie reszta z nas, Starzy, Podludzie i Niezwykli. No cóż, nie ma czego rozumieć, to nie działa. Amos lid był zwyczajnie dziwakiem, który dłużył przy milionach elementów swojego Wielkiego Ucha. To był szaleniec. – Gdzie on jest teraz? – Bawi się gdzieś przyciskami do papieru. Buduje z nich zawile systemy równowagi, używając linijek na podpórki. – Uśmiechnął się, szczerząc zęby. – I będzie to robił przez resztę życia. – Jak bardzo rozszerza się proces niszczenia tkanki nerwowej, w sensie geograficznym? – spytał Nick. – Na całą planetę? Na Księżyc i Marsa? – Nie wiem. Większość ośrodków łączności jest nie obsadzona; po tamtej stronie nie ma nikogo, po prostu żywej duszy. To niesamowite. – Dzwonił pan do Pekinu? Moskwy? Ośrodka na Sumatrze? – Powiem ci, do kogo dzwoniłem – odparł Gram. – Do członków Nadzwyczajnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. – Ich też już nie ma. Gram skinął głową i dodał: 8 303

–On... tamten... ich zabił. Wypatroszył im czaszki, opróżnił. Z wyjątkiem międzymózgowia, Bóg wie dlaczego. To zostawili. – Funkcje wegetatywne – zauważył Nick. – Tak, możemy utrzymywać ich przy życiu niczym rośliny. Ale nie warto; gdy poznałem stopień uszkodzenia ich mózgow, od razu powiedziałem lekarzom, by pozwolili im umrzeć. Lecz to się odnosi wyłącznie do Nowych. W Komitecie mamy dwóch Niezwykłych, jasnowidza i telepatę. Ich talenty zniknęły, podobnie jak moje. Jednak żyjemy. Na razie. – Nie robi wam nic więcej – powiedział Nick. – Teraz kiedy stał się pan Starym, nie grozi panu większe niebezpieczeństwo niż mnie. – Po co chciałeś się ze mną spotkać? – spytał Gram, obracając się twarzą do Nicka. – Aby mi powiedzieć o Charlotte? Żebym miał poczucie winy? Chryste, miliony takich małych dziwek włóczy się po ulicach całego świata; w pół godziny możesz sobie znaleźć drugą. – Wysłał pan trzech czarnych gliniarzy, aby mnie zabili. Zamiast mnie zabili Denny'ego, a z powodu jego śmierci nie mogliśmy sobie poradzić z Syreną; skutkiem tego była katastrofa. Skutkiem tego była jej śmierć. Pan uruchomił łańcuch okoliczności; to wszystko przez pana. – Odwołam czarnych policjantów. – To za mało. Ożywił się interkom, trajkocząc:

–Panie Przewodniczący, obie wiązki laserowe są już skierowane na cel, na Thorsa Provoniego. 304 – Z jakim skutkiem? – spytał Gram, stając sztywno, opierając swoje wielkie cielsko o biurko. – Właśnie odbieram dane. Gram czekał w milczeniu. – Bez widocznych zmian. Nie, panie Przewodniczący. Żadnych zmian. – Trzy systemy

laserowe – powiedział jednym tchem Gram. – Gdybyśmy włączyli urządzenia z Detroit... – Panie Przewodniczący, my naprawdę nie możemy kierować jak należy tym, co już mamy. Choroba umysłowa, która atakuje Nowych, powoduje, że brak nam... – Dziękuję – przerwał Gram, wyłączając inter-kom. – Choroba umysłowa – powtórzył ze złośliwą drwiną. – Żeby to tylko to. Coś, co można wyleczyć w szpitalu. Jak na to mówią? Choroba psychogeniczna? – Chciałbym zobaczyć Amosa Uda. Ustawiającego przyciski do papieru na linijkach – powiedział Nick. Najwybitniejszy intelekt, jaki zrodził do tej pory rodzaj ludzki, pomyślał. Neandertalczyk, homo sapiens, Nowy – ewolucja. I zastosowawszy neutrologię Nowych, zawiódł; góra urodziła mysz. Może jednak Gram ma rację. Może Amos lid zawsze był szalony... ale nie dysponowaliśmy jakąkolwiek metodą badania takiego wyjątkowego mózgu, żadnego wzorca, mogącego służyć za podstawę ocen. Dobrze, że pozbyliśmy się Uda. Dobrze, że pozbyliśmy się ich wszystkich. Może każdy Nowy, w takim czy innym sensie, był szalony. To tylko 8 305 kwestia stopnia. Ich neutrologia zaś – to logika szaleńca. – Podle wyglądasz – zauważył Gram. – Lepiej skorzystaj z pomocy lekarskiej; widzę, że masz złamaną rękę. – W pańskiej klinice, jak ją pan nazywa? – spytał Nick. – Tam się znajdują na medycynie – odparł Gram. – Dziwne – dodał, częściowo do samego siebie.

–Cały czas nasłuchuję twoich myśli, a one wcale nie nadchodzą. Mogę się odnosić wyłącznie do twych słów. – Zadarł kudłatą głowę i przyglądał się Nic-kowi. – Zjawileś się tutaj, aby... – Chciałem, aby pan wiedział o Charlotte. – Ale nie masz broni; nie będziesz próbował mnie zabić. Zostałeś przeszukany; nie wiesz o tym, ale minąłeś pięć punktów kontrolnych. Będziesz próbował? – Z niezwykłą jak na człowieka o jego tuszy zwinnością obrócił się i nacisnął przełącznik na biurku. Natychmiast w pokoju było pięciu policjantów w czarnych mundurach; wydawało się, że w ogóle nie wchodzili; po prostu byli. – Sprawdźcie, czy ma broń – powiedział Gram. – Szukajcie czegoś małego, w rodzaju plastikowego nożyka albo miniaturowej płytki z bakteriami. Dwóch gliniarzy przeszukało Nicka. – Nie, panie Przewodniczący – poinformowali Grama. – Zostańcie na miejscu – polecił. – Trzymajcie go na muszce i zabijcie, jeśli się ruszy. Ten człowiek jest niebezpieczny. 20 – Nasi przyjaciele... 306

–Ja? – spytał Nick. – 3XX24J jest niebezpieczny? W takim razie niebezpiecznych jest również sześć miliardów Starych i pańscy czarni agenci nie zdołają ich powstrzymać. To wszystko są teraz Podludzie; widzieli Provoniego; wiedzą, że wrócił, jak obiecał; wiedzą, że wasza broń nie wyrządza mu krzywdy; wiedzą, co jego przyjaciel, Frolixianin, może zrobić – co zrobił – z Nowymi. Moja złamana ręka jest sparaliżowana; i tak nie mógłbym pociągnąć za spust. Dlaczego nie zostawił nas pan w spokoju? Dlaczego nie pozwolił jej pan przyjść do mnie i zostać ze mną? Dlaczego musiał pan wysłać za nami te czarne gliny? Dlaczego? – Zazdrość – odparł cicho Gram. – Zrezygnuje pan ze stanowiska Przewodniczącego? – spytał Nick. – Nie ma pan żadnych szczególnych kwalifikacji. Pozwoli pan rządzić Provoniemu? Provoniemu i jego przyjacielowi z Frolixa 8? Po chwili milczenia Gram powiedział: –

Nie. – A więc pana zabiją. Podludzie. Przyjdą tu, jak tylko zrozumieją, co się stało. A te czołgi i statki wyposażone bronią i czarne szwadrony nie zatrzymają więcej niż pierwszych kilka tysięcy. Sześć miliardów, Gram. Czy wojsko i czarne gliny zdołają zabić sześć miliardów ludzi? Oraz Provoniego i Frolixianina? Ma pan jakąkolwiek realną szansę? Czy już nie czas na przekazanie rządów, całej władzy, komu innemu? Jest pan stary i zmęczony. I nie wywiązał się pan za dobrze z obowiązków. Likwidacja Cordona... już samo to powinno zaprowadzić pana na szubienicę 8 307 z wyroku nowego trybunału. – I bardzo słusznie, dodał w myślach. Za te i inne decyzje, które podjąłeś w czasie swojej kadencji. – Polecę i pogadam z Provonim – powiedział Gram. – Skinął na gliniarzy. – Podstawicie mi statek policyjny; niech stoi przygotowany do lotu. – Nacisnął klawisz. – Panno Knight, niech pani poprosi łączność o nawiązanie kontaktu głosowego między mną a Thorsem Provonim. Proszę im powiedzieć, żeby zaraz się do tego wzięli. Bezwzględne pierwszeństwo. Rozłączył się, stał chwilę, po czym zwrócił się do Nicka: – Chcę... – zawahał się. – Piłeś kiedy szkocką whisky? – Nie – odparł Nick. – Mam tu trochę dwudziestoczteroletniej whisky. Nie otwierałem jeszcze tej butelki, czekała na specjalną okazję. Nie sądzisz, że to specjalna okazja? – Chyba tak, panie Przewodniczący. Zbliżywszy się do biblioteczki na prawej ścianie, Gram wyjął kilka książek, sięgnął za te, które pozostały, i wyciągnął wysoką butelkę z bursztynowym płynem. – Może być? – zapytał. – Może – odparł Nick. Gram usadowił się na biurku, zerwał metalowy kapsel, wyjął korek, a potem rozglądał się po zaśmieconym pokoju, póki nie zobaczył dwóch papierowych kubków. Opróżnił je do stojącego obok kosza na śmieci i nalał whisky. 308 – Za co wznosimy toast?

–To należy do rytuału picia alkoholu? – spytał Nick.

Gram uśmiechnął się.

–Wypijemy za dziewczynę, która wyrwała się z rąk czterech dwumetrowych żandarmów. – Milczał przez chwilę, nie pijąc. Nick także nie podnosił kubka. – Za lepszą planetę – rzekł w końcu Gram i wypił. – Za planetę, na której nie będziemy potrzebowali naszych przyjaciół z Frolixa 8. – Nie wypiję za to – oznajmił Nick, odstawiając kubek. – Trudno, no to po prostu pij! Przekonaj się, jak smakuje szkocka! Najlepsza whisky! – Gram spoglądał na Nicka z zakłopotaniem i niezadowoleniem... to drugie narastało, aż jego twarz zrobiła się ciemnoczerwona. – Nie rozumiesz, co ci zaoferowano? Zatraciłeś umiejętność widzenia spraw we właściwych proporcjach. – Stukał ze złością w orzechowy blat swojego potężnego, drewnianego biurka. – Przez to wszystko straciłeś swoje zalety! Musimy... – Specjalny szmermel jest gotowy, panie Przewodniczący – przemówił interkom. – Na dachu, port 5. – Dziękuję – powiedział Gram. – A co z kontaktem głosowym? Nie mogę lecieć, póki nie nawiążę kontaktu głosowego i wykażę, że nie mam zamiaru wyrządzić im krzywdy. Wyłączcie wiązki laserowe. Obie. 309 – Słucham?

Powtórzył rozkaz. W wielkim pośpiechu.

– Tak jest – odparł interkom. – I cały czas będziemy się starać o nawiązanie kontaktu głosowego. Tymczasem pański statek będzie stał gotowy do lotu. Gram wziął do ręki butelkę i dolał sobie whisky. – Nie rozumiem cię, Appleton – zwrócił się do Nicka. – Zjawileś się tutaj – po co, w imię Boże? Jesteś ranny, ale nie chcesz... – Może właśnie dlatego się zjawilem – odparł Nick. – W imię Boże, jak pan powiedział. – Żeby cię wzrokiem zmusić do spuszczenia oczu, pomyślał, aż zdechniesz. Bo ty i podobni do ciebie powinni zginąć; musicie zrobić miejsce dla tego, co nadchodzi. Dla tego, co my chcemy zrobić. Naszych własnych projektów w miejsce tych na pół psychotycznych konstrukcji jak Wielkie Ucho. Wielkie Ucho – co za wspaniałe urządzenie dla rządu do trzymania ludzi w ryzach. Szkoda, że nie będzie ukończone, pomyślał. Zajmiemy się tym, choć Provoni i jego przyjaciel już to faktycznie zrobili. Ale my doprowadzimy sprawę do końca. – Mamy łączność wizualną i dźwiękową, panie Przewodniczący – odezwał się interkom. – Linia pięć. Gram podniósł czerwoną słuchawkę wideofonu i powiedział: – Witam, panie Provoni. Na ekranie ukazała się nieregularna, koścista twarz Provoniego ze wszystkimi jej skazami, bruzdami, nierównościami i dziobami... w jego oczach była ta sama absolutna pustka, jaką odczuwał Nick, kiedy go przemknęła sonda... było w nich jednak coś więcej; błyszczały jak ślepią zaczerpującego oddech, upartego i wytrwałego stworzenia, które usilnie szuka czegoś, czego pożąda. Zwierzę, które wypadło z jaskini. Silne oczy, osadzone w silnej twarzy, zmęczonej, jaką niewątpliwie była. – Myślę, że byłoby korzystne dla pana, gdyby pan tu przybył – ciągnął Gram. – Wyrządził pan ogromne szkody; czy raczej towarzyszący panu nieobliczalny organizm wyrządził ogromne szkody. Tysiące mężczyzn i kobiet, ważnych dla rządu, przemysłu i nauki... – Powinniśmy się spotkać – przerwał mu ochryple Provoni – ale mojemu przyjacielowi trudno będzie przenieść się tak daleko. – W dowód dobrej wiary wyłączyliśmy wiązki laserowe – powiedział z napięciem Gram, powieki miał zupełnie nieruchome. – Tak, dziękuję za nie. – Przypominająca skałę twarz Provoniego otworzyła się, odsłaniając szczeci-niasty uśmiech. – Bez tego źródła energii nie mógłby spełnić swojego zadania. Przynajmniej nie od razu. W przeciągu kilku miesięcy – no cóż, w końcu udałoby się je spełnić; nasze zadanie zostałoby wykonane. – Pan to mówi poważnie? – spytał Gram, twarz miał zszarzałą. – O wiązkach laserowych? – Tak. On przetworzył energię laserów; a ta odnowiła jego siły witalne. 311 Gram odwrócił się na chwilę od monitora, najwyraźniej po to, by się opanować. – Dobrze się pan czuje, panie Przewodniczący? – spytał Provoni. – Tu mógłby się pan ogolić, wykapać, wziąć masaż, poddać się oględzinom lekarskim, odpocząć przez jakiś czas... a później moglibyśmy podyskutować – odparł Gram. – Pan tu przyleci – powiedział spokojnie Provo-ni. Po chwili milczenia Gram ustąpił. – Dobrze. Będę u pana za czterdzieści minut. Czy gwarantuje mi pan bezpieczeństwo i prawo swobodnego powrotu? – Pańskie bezpieczeństwo – powtórzył Provoni, kiwając głową. – Pan wciąż nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tego, co się stało. Tak, z przyjemnością zagwarantuję panu bezpieczeństwo. Odleci pan w takim samym stanie, w jakim się pan zjawi, przynajmniej co się tyczy naszych działań. Jeśli dostanie pan zawału... – W porządku – powiedział Gram. I tak w niecałą minutę Willis Gram ustąpił całkowicie;

on się uda do Provoniego, a nie przeciwnie... nawet nie do jakiegoś neutralnego punktu leżącego w równej odległości, i była to niezbędna, racjonalna decyzja; nie miał innego wyboru. – Tyle że nie będzie żadnego zawału – powiedział. – Jestem gotowy stawić czoła wszystkiemu, co konieczne. Każdemu warunkowi, który trzeba będzie spełnić. Na razie. – Odłożył słuchawkę. – Wiesz, 312 Appleton, co nie daje mi spokoju? Obawa, że mogą przybyć inni Frolixianie, że ten mógł być tylko pierwszym. – Nie potrzeba więcej – odparł Nick. – Ale jeżeli chcą zająć Ziemię... – Nie chcą.

–Już zajęli. W pewnym sensie.

–Lecz na tym koniec. Więcej szkód nie będzie. Provoni ma to, czego chce. – Przypuśćmy, że oni mają gdzieś Provoniego razem z tym, czego on chce. Załóżmy... Jeden z policjantów powiedział: – Panie Przewodniczący, jeśli chce pan być na Times Square za czterdzieści minut, to musimy już lecieć. – Miał galony: glina wysokiej rangi. Mruknąwszy coś w odpowiedzi, Gram wziął do ręki ciężki wełniskowy płaszcz i narzucił go sobie na ramiona. Pomógł mu jeden z policjantów. – Tego człowieka – powiedział Gram, wskazując Nicka – trzeba zabrać do kliniki i poddać hospitalizacji. – Skłonił głowę i do Nicholasa podeszło z groźną miną dwóch gliniarzy, spojrzenie mieli obojętne, a mimo to – stanowcze. – Panie Przewodniczący, mam prośbę – zwrócił się do Grama Nick. – Czy przed pójściem do kliniki mogę widzieć się na krótko z Amosem Udem? – W jakim celu? – spytał Gram, ruszając do drzwi w towarzystwie dwóch gliniarzy. – Chciałbym z nim po prostu porozmawiać. Zobaczyć go. Spróbować zrozumieć to wszystko, co się 8 313 stało z Nowymi. Dzięki temu, że go zobaczę. Na takim poziomie, na jakim teraz... – Na poziomie idioty – rzucił szorstko Gram. – Nie chcesz lecieć ze mną, kiedy się spotykam z Provonim? Mógłbyś wyrazić pragnienia... – zamachał ręką -...Barnes powiedział, że jesteś reprezentatywny. – Provoni wie, czego chcę – czego chcą wszyscy. Wasze spotkanie odbędzie się w prosty sposób; pan złoży urząd i pańskie miejsce zajmie Provoni. System Służby Publicznej zostanie radykalnie zmieniony; wiele stanowisk będzie raczej obieralnych niż z mianowania. Założy się dla Nowych obozy, gdzie będą szczęśliwi; musimy pomyśleć o nich, o ich bezradności. Właśnie dlatego chcę się zobaczyć z Amosem lidem. – Więc idź do niego. – Gram skinął głową na dwóch gliniarzy stojących po obu stronach Nicka. – Wiecie, gdzie jest lid – zaprowadźcie go tam, a jak skończy, weźcie go do kliniki. – Dziękuję – powiedział Nick. Gram przystanął przy drzwiach. – Ona naprawdę nie żyje? – Tak. – Przykro mi. – Gram wyciągnął do niego rękę, ale Nick uchylił się. – Pan jest człowiekiem, którego śmierć chciałem widzieć. Trudno... do wszystkich diabłów, teraz to nie ma znaczenia. No cóż, w końcu wyplątałem swoje osobiste życie z publicznego; moje życie osobiste się skończyło. 314 – Jak pan powiedział, miliony takich małych dziwek włóczy się po ulicach całego świata – przypomniał mu lodowato Nick. – To prawda – przyznał ze stoickim spokojem Gram. – Faktycznie tak powiedziałem. Potem wyszedł w towarzystwie dwóch agentów ochrony. Drzwi zasunęły się za nimi. – Idziemy – odezwał się jeden z dwóch pozostałych czarnych gliniarzy. – Będę szedł w takim tempie, jakie mi odpowiada –

odparł Nick; strasznie bolało go ramię i zaczynało mu się robić niedobrze. Gram miał rację – musi zaraz zejść do kliniki. Ale nie wcześniej, niż zobaczy na własne oczy Amosa Uda. Najwybitniejszy intelekt zrodzony z człowieka. – Tutaj. – Agent ochrony pokazał mu drzwi strzeżone przez funkcjonariusza SBP w zwyczajnym zielonym mundurze. – Odsuń się – powiedział czarny agent. – Nie jestem uprawniony do... Czarny gliniarz podniósł broń. Jakby zamierzał go uderzyć. – Jak sobie życzysz – powiedział strażnik w zielonym mundurze i odsunął się od drzwi. Nicholas Appleton wszedł do pokoju.

Na środku podłogi siedział Amos lid, jego wielką głowę podtrzymywał kołnierz z metalowych prętów. Otoczył się mnóstwem rozmaitych rzeczy: spinaczami, długopisami, przyciskami do papieru, linijkami, gumkami do wycierania, kartkami, kartonami, czasopismami, przedmiotami abstrakcyjnymi... wydierał kartki z magazynów, miał je i rzucał na bok. W tym momencie rysował coś na skrawku papieru. Nick podszedł bliżej. Patykowate ludziki, wielkie kółko na niebie wyobrażające słońce. – Ludzie lubią słońce? – zapytał. – Daje im ciepło – odparł Amos lid. – Więc wychodzą z domu, żeby z niego korzystać?

– Tak. – Amos lid wziął następną kartkę, zmęczył się już tamtą. Narysował coś, co wyglądało na zwierzę. – Koń? – spytał Nick. – Pies? Ma cztery nogi; może niedźwiadek? Kot? Amos lid powiedział: – To ja. Nickowi serce ścisnęło się z bólu. – Mam norę – powiedział lid, rysując brązową kredką spłaszczone, nieregularne kółko u dołu kart-316 ki. – Tutaj. – Położył wielki palec na owalnym, brązowym kółku. – Chowam się do niej, kiedy pada. I jest mi ciepło. – Zrobimy ci norę. Dokładnie taką. Amos lid zmiął rysunek, uśmiechając się. – Kim chcesz zostać, jak dorośniesz? – spytał Nick. – Jestem dorosły. – I kim jesteś?

lid zawahał się. Po czym odpowiedział:

– Buduję różne rzeczy. Patrz. – Wstał z podłogi, głowa kiwała mu się niebezpiecznie... Boże, pomyślał Nick, złamie mu kręgosłup. lid z dumą pokazał Nickowi zbudowaną przez siebie konstrukcję z przycisków do papieru i linijek. – Bardzo ładne – pochwalił Nick. – Jeśli zabierzesz któryś ciężarek, to się zawali. – Zrobił figlarną minę. – Wyciągnę jeden. – Nie chcesz przecież, żeby się zawaliło. Górujący nad Nickiem, dominujący wielką głową wraz z jej wymyślnym podparciem, Amos lid zapytał: – Czym jesteś? – Pogłębiam rowki w oponach – powiedział Nick. – Opona to jest coś takiego przy szmermelu, co się kręci dookoła? – Właśnie – odparł Nick. – Szmermel na niej łąduje. Na nich. – Mógłbym to kiedyś robić? P... – zająknął się. – Pogłębiam rowki – dokończył cierpliwie Nick. NASI PRZYJACIELE Z FROLDCA 8

Odzyskał już spokój. – To bardzo niedobra praca. Chyba byś jej nie polubił. – Dlaczego? – Bo widzisz, każda opona ma bieżnik... a ty musisz żłobić w nim głębsze rowki, aby wydawało się, że jest na niej więcej gumy niż w rzeczywistości. Ale klient może mieć przez to dziurę w oponie. I później ulec wypadkowi, a nawet się zranić. – Ty jesteś ranny – powiedział lid. – Złamałem sobie rękę. – Musi cię to boleć.

–Wcale nie. Sparaliżowało ją. Jestem jeszcze trochę w szoku. Otworzyły się drzwi i zajął jeden z czarnych gliniarzy, jego wąskie oczy zlustrowały scenę. – Mógłby mi pan przynieść z ambulatorium tabletkę morfiny? – poprosił Nick. – Moja ręka... – pokazał na nią. – Dobra, koleś – zgodził się policjant i odszedł. – Musi cię naprawdę strasznie boleć – powiedział Amos lid. – Nie tak bardzo. Proszę się tym nie martwić, panie lid. – Jak się nazywasz? – Appleton. Nick Appleton. Mów mi po imieniu i ja będę mówił do ciebie Amos. – Nie – powiedział Amos lid. – Nie znamy się aż tak dobrze. Będę nazywał cię panem Appletonem, a ty mnie panem Udem. Wie pan, mam trzydzieści cztery lata. W przyszłym tygodniu kończę trzydzieści pięć. 318 – I dostanie pan mnóstwo prezentów. – Chcę tylko jednego. Chcę... – zamilkł.

–W moim mózgu jest puste miejsce; chciałbym, żeby zniknęło. Nie było go tam nigdy. – Wielkie Ucho – powiedział Nick. – Pamięta pan to? Budowę Ucha? – O tak – przyznał lid. – Budowałem je. Będzie słyszeć myśli każdego człowieka, a wtedy... – znowu przerwał -...możemy posyłać ludzi do obozów. Dla zesańców. – Czy to ładnie tak postępować? – Nie... nie wiem. – lid położył dłonie na skroniach i zamknął oczy. – Jacy są inni ludzie? Może nie ma żadnych innych ludzi; może są tylko złudzeniem. Tak jak pan – może ja pana wymyśliłem. Może potrafię zmusić pana do zrobienia wszystkiego, co chcę. – Co mam zrobić? – Podnieść mnie – powiedział Amos lid. – Lubię, jak mnie się podnosi, a później jest zabawa – pan się kręci w koło, trzymając mnie za ręce. A siła od... środkowa... – zaciął się, nie mogąc skończyć zdania i dał za wygraną. – Puszczaj mnie pan poza horyzont... – znowu się zaciął. – Mógłby mnie pan podnieść? – spytał płacząco, patrząc w dół na Nicka. – Nie mogę, panie lid – odmówił Nick. – Z powodu złamanej ręki. – Dziękuję w każdym razie – powiedział lid. Podreptał do okna i spojrzał na nocne niebo. 8 319 – Gwiazdy – szepnął. – Ludzie do nich lecą. Pan Provoni tam był. – Tak – przyznał Nick. – Był tam z całą pewnością. – Czy pan Provoni jest miłym człowiekiem? – Jest człowiekiem, który zrobił to, co należało

–odparł Nick. – Nie, nie jest miły – to fałszywy człowiek. Ale chciał pomóc. – Czy to dobrze – pomagać? – Większość ludzi tak uważa. – Panie Appleton – pytał dalej lid – czy ma pan matkę?

–Nie, już nie żyje.

–Tak jak moja. Ma pan żonę?

–W zasadzie nie mam. Już nie.

–Panie Appleton, ma pan dziewczynę?

–Nie – powiedział chrapliwie.

–Umarła?

–Tak.

–Przed chwilą?

–Tak – zazgrzytał.

–Musi pan sobie znaleźć inną – powiedział lid. Nick był zaskoczony. – Naprawdę? – spytał. – Raczej nie, już nie chcę mieć dziewczyny. – Potrzebna jest panu taka, która będzie się martwić o pana. – Tamta się o mnie martwiła. I przez to zginęła. – Jakie to cudowne! – Dlaczego? – Nick wybałuszył oczy.

– Proszę pomyśleć, jak bardzo musiała pana kochać. Proszę sobie wyobrazić inną, która kocha pana równie mocno. Chciałbym, żeby mnie ktoś tak kochał. – Czy to takie ważne? – spytał Nick. – Czy tylko to się liczy? A inwazja Obcych, zniszczenie dziesięciu milionów najznakomitszych mózgów, oddanie władzy politycznej – całej władzy – przez oligarchię... – Nie rozumiem tych rzeczy – powiedział Amos lid. – Wiem tylko, jakie to cudowne, kiedy ktoś cię tak kocha. A skoro cię tak kocha, to musisz być wart miłości, wkrótce więc ktoś inny pokocha cię w podobny sposób i ty równie mocno będziesz kochał tę osobę. Czy pan rozumie? – Sądzę, że tak. – Czy jest coś wspanialszego od tego, kiedy człowiek oddaje życie za przyjaciela? – zapytał Amos lid. – Żeby to ja mógł tak postąpić. – Usiadł na obrotowym fotelu i zadumał się. – Panie Appleton? Czy są inni dorośli tacy jak ja? – W jakim sensie – tacy jak pan? – spytał wymijająco Nick. – Którzy nie potrafią myśleć. Którzy mają tutaj puste miejsce. – Przycisnęła dłoń do czoła. – Tak – odpowiedział Nick. – Czy któryś z nich mnie pokocha? – Tak.

Otworzyły się drzwi; stał w nich gliniarz w czarnym mundurze z papierowym kubkiem wody i tabletką morfiny w dłoni. 8 321 – Jeszcze pięć minut, kolego – oznajmił – a potem schodzimy do kliniki. – Dziękuję – odparł Nick, polykając natychmiast morfinę. – Brachu, ty naprawdę cierpisz – powiedział gliniarz. – I tak wyglądasz, jakbyś zaraz miał się przewrócić. Nie byłoby dobrze dla tego dzieciaka... – urwał i poprawił się – dla pana Uda, gdyby to zobaczył; to by go zmartwiło, a Gram nie życzy sobie, żeby go martwić. – Powstaną dla nich obozy – powiedział Nick. – Gdzie będą mogli współżyć na własnym poziomie. Zamiast starać się być takimi jak my. Agent odmruknął coś i zamknął za sobą drzwi. – Czy czerń jest kolorem śmierci? – spytał lid. – Tak – odparł Nick.

–Więc oni są śmiercią?

–Tak. Ale nie skrzywdzą pana.

–Nie bałem się, że mnie skrzywdzą; ma pan złamaną rękę i pomyślałem, że to może ich sprawka. – To sprawka dziewczyny – powiedział Nick. – Małego szczura ryszotkowego z nosem jak kartofel. Dziewczyny, za którą oddałbym życie – i za to, żeby to wszystko się nie wydarzyło. Ale już za późno. – To pańska dziewczyna, która zginęła? Kiwnął twierdząco głową. Amos lid wziął do ręki czarną kredkę i zaczął rysować. Nick obserwował, jak spod kredki wyłaniają się patykowate sylwetki. Mężczyzna, kobieta. Czarny, czworonożny zwierzak, kształtem przypominają-21ŚNasi przyjaciele... 322 cy owce. I czarne słońce, czarny pejzaż z czarnymi domami i szmermelami. – Wszystko czarne? – spytał Nick. – Dlaczego? – Nie wiem. – To dobrze, że czarne?

Po chwili milczenia Amos lid powiedział:

–Chwileczkę. – Zabazgrał rysunek, a potem rwał papier na paski, zwijał je i rzucał. – Nie umiem już myśleć – poskarżył się ze złością. – Lecz nie jesteśmy cali czarni, prawda? – spytał Nick. – Proszę mi to powiedzieć, a potem będzie pan mógł przestać myśleć. – Dziewczyna jest chyba cała czarna. Pan częściowo; czarne są pańska ręka i organy wewnętrzne, reszta chyba nie. – Dziękuję panu – powiedział Nick i wstał, czując oszołomienie. – Lepiej pójdę już do lekarza; zobaczymy się później. – Nie, nie zobaczymy się – odparł Amos lid. – Nie? Czemu? – Ponieważ znalazł pan to, czego pan szukał. Pan chciał, żebym narysował Ziemię i pokazał panu, jaki ma kolor, zwłaszcza jeśli czarny. – Sięgnął po kawałek papieru i narysował wielkie koło – barwy zielonej. – Żyje – stwierdził. I uśmiechnął się do Nicka. Nick powiedział: – Już nie ma mnie, gdzieś stoi grób wśród astrów fal i lilii mórz, ucieszy się nieszczęsny faun, gdy będą mnie chowali tam, błazeńską pieśnią budząc brzask. Koszmarne dni uwieńczy śmiech; i we śnie go widzę pośród 8 323 traw, upiornie rosą wiedzie krok, przeszyty przez mój śpiewny głos. – Bardzo panu dziękuję – powiedział Amos lid. – Za co? – Za wyjaśnienie. – Rozpoczął następny obrazek. Czerwoną kredką narysował kobietę, leżącą poziomo, pod ziemią. – Gdzieś stoi grób – powiedział, wskazując palcem. – Na który musi pan pójść. Tam ją pan odnajdzie. – Usłyszysz mnie? – pytał Nick. – Dowie się, że jestem? – Tak. Jeśli pan zaśpiewa. Tylko musi pan zaśpiewać. Ponownie otworzyły się drzwi i wszedł czarny gliniarz.

–Idziemy, mój panie. Do kliniki. Nick zwlekał.

–I mam tam położyć astry i lilie? – spytał Amo-sa Uda.

–Tak; i niech pan nie zapomni zawołać jej po imieniu.

–Charlotte.

–Tak – skinął głową lid.

–Chodźże pan – powiedział gliniarz, biorąc Nicka pod ramię i wyprowadzając go z pokoju. – Nie ma co gadać z bachorami. – Z bachorami? – spytał Nick. – Tak ich będziecie nazywać? – Cóż, już nawet zaczęliśmy. Są jak dzieci. – Nie – zaprotestował Nick. – Nie są jak dzieci. 324

Są jak święci i prorocy, pomyślał. Wróżbici, sędziwi mędracy. Tylko że musimy zatroszczyć się o nich, sami sobie nie poradzą. Nie będą się nawet potrafili umyć. – Powiedział coś ciekawego? – spytał gliniarz. – Że Charley mnie usłyszysz. Dotarli do kliniki. – Niech pan wchodzi – powiedział funkcjonariusz. – Przez tamte drzwi. – Dziękuję – odparł Nick. I dołączył do kolejki czekających już mężczyzn i kobiet. – Niewiele powiedział. – Dosyć – szepnął Nick. – Są żalosni, no nie? – dalej zagadywał gliniarz.

–Zawsze chciałem być Nowy, ale teraz... – Skrzywił się.

–Niech pan już idzie – powiedział Nick.

–Chciałbym skupić myśli.

Agent w czarnym mundurze odszedł wyciągniętym krokiem.

–A pańskie nazwisko? – zapytała Nicka pielęgniarka. Trzymała pióro w uniesionej ręce. – Nick Appleton – przedstawił się. – Pogłębiam bieżniki w oponach – dodał. – I chcę pomyśleć. Gdybym mógł tylko poleżeć... – Nie mamy wolnych łóżek, proszę pana – odparła. – Ale pańska ręka... – delikatnie jej dotknęła -...możemy ją złożyć. – W porządku – powiedział. I opierając się o pobliską ścianę, czekał. A w czasie, kiedy czekał, myślał. NASI PRZYJACIELE Z FROLDCA 8 325 Adwokat Horace Denfeld wkroczył dziarsko do sekretariatu Przewodniczącego Willisa Grama. Miał ze sobą aktówkę, a wyraz jego twarzy – nawet sposób, w jaki szedł – wskazywał na dalszy rozwój zmysłu prowadzenia pertraktacji z pozycji siły. – Proszę powiedzieć panu Gramowi, że jestem w posiadaniu nowych materiałów dotyczących jego majątku i alimentów... Panna Knight podniosła wzrok i oznajmiła: – Spóźnił się pan, mecenasie. – Co proszę? To znaczy, że jest zajęty? Będę musiał czekać? – Spojrzał na wysadzany diamentami zegarek. – Najwyżej piętnaście minut. Proszę mu to zakomunikować. – Nie ma go – powiedziała sekretarka, zagiąwszy palce pod swoim kościstym podbródkiem; leniwy gest świadczący o pewności siebie, której nie traciła w obecności Denfelda. – Wszystkie jego problemy osobiste, pan i Irma w szczególności – już po nich. – To znaczy z powodu inwazji. – Denfeld tarł ze złością nos. – Trudno, będziemy go ścigać nakazem sądowym – odparł, krzywiąc się i przybierając najstraszliwszą ze swych min. – Gdziekolwiek jest. – Willis Gram – powiedziała panna Knight – udał się tam, gdzie go żadne nakazy nie dościgną. – Czyli umarł? – Jest obecnie poza naszym życiem. Poza Terra, na której my żyjemy. Jest u wroga, u starego wroga, i u czegoś, co może być nowym przyjacielem. Przynajmniej miejmy taką nadzieję. – Odnajdziemy go – stwierdził Denfeld. 326 – Zakład? O pięćdziesiąt popsów?

–Ja... – zawahał się Denfeld. Wziąwszy się z powrotem do maszynopisania, panna Knight powiedziała wśród stukotu klawiszy: – Dobranoc, panie mecenasie. Denfeld zatrzymał się przy biurku – coś mu wpadło w oko i teraz sięgnął, aby wziąć to do ręki: mały plastikowy posążek mężczyzny w długich szatach. Trzymał go jakiś czas w dłoni – panna Knight starała się nie zwracać uwagi na mecenasa, ale jemu to nie przeszkadzało – i przesuwał po nim palcami, przyglądając mu się bacznie, z uwagą. Na twarzy malowało mu się zdumienie, jak gdyby z każdą chwilą dostrzegał coś nowego w plastikowej statuetce. – Kto to jest? – spytał. – To statuetka Boga – odparła panna Knight, przerywając pilną robotę, aby mu się przyjrzeć. – Wszyscy je mają, to najnowsza moda. Pierwszy raz pan widzi? – Czy tak wygląda Bóg? – Nie, naturalnie, że nie; to tylko... – Ale to Bóg.

–No dobrze, Bóg. – Przyjrzała się Denfeldowi; spostrzegła zdziwienie w jego oczach, jego świadomość zawężała się do tego jednego artefaktu... i nagle zrozumiała; oczywiście, Denfeld jest Nowy. I to się dzieje na moich oczach; Denfeld przemienia się w małe dziecko. Podniosła się z fotela i powiedziała: – Niech pan usiądzie, panie Denfeld. – Odprowadziła go do kanapy i pomogła się usadowić... zapomniał o aktówce, pomyślała. Zapomniał teraz; zapom-NASI PRZYJACIELE Z FROLIKA 8 327 niał na zawsze. – Coś panu podać? Trochę coki? Meskalu?

Denfeld patrzył na nią; oczy miał szeroko otwarte i ufne. – Czy mógłbym to wziąć? Na własność? – Proszę bardzo – odparła i poczuła dla niego litość. Jeden z najmniej znaczących i ostatnich Nowych, którzy zostali, pomyślała. Gdzie się podziała jego arogancja? Gdzie się podziała arogancja ich wszystkich? – Czy Bóg może latać? – spytał Denfeld. – Czy On może wyciągnąć ramiona i polecieć? – Tak – odparła. – Któregoś dnia... – Urwał. – Sądzę, że wszystkie żywe stworzenia zerwą się do lotu, w każdym razie zaczną pełznąć albo biec; niektóre będą poruszać się szybko, tak jak to robią w tym życiu, lecz większość będzie lecieć albo iść. Coraz wyżej i wyżej. Na zawsze. Nawet małże i ślimaki; te będą pełznąć najwolniej, ale dobrną wreszcie do celu. Każde ostatecznie do niego dotrze, obojętnie jak wolno będzie się poruszać. Pozostawiając za sobą dużo; dużo do zrobienia. Czy pani też tak myśli? – Tak – odparła. – Pozostawiając bardzo, bardzo dużo. – Dziękuję pani – powiedział Denfeld. – Za co?

–Za podarowanie mi Boga.

–W porządku – odparła. I spokojnie wzięła się do maszynopisania. A Horace Denfeld bawił się bez końca plastikową statuetką. Bezmiarem Boga.

(16.11.1928 – 2.III.1982) urodził się w Chicago. Debiutował 1952 opowiadaniem „Beyond Lies the Wub”. Pierwsze książki fantastyczne (wcześniej napisał 7 powieści współczesnych, ale zostały wydane dopiero po jego śmierci) opublikował 1955: tom opowiadań A Handful of Darkness i powieść Loteria słoneczna. Specjalnością Dicka, która przyniosła mu światową sławę i uznanie, jest kreacja światów „rozpętanej żywiolowo entropii, rozkładu atakującego nie tylko ład materii, lecz także przeżerającego nawet porządek upływającego czasu. (...) Wewnątrz świata rażonego obłędem normalność zachowują już tylko ludzie. Dick poddaje ich ciśnieniu przeraźliwej próby – walczą oni do końca, stoicko i zajadle, z napierającym z zewnątrz chaosem, którego źródła pozostają nie-docieczone (...). Środkami rozszczepiającymi i powielającymi jawę bywają substancje chemiczne (np. halucynogeny – tak jak w Trzech stygmatach Palmera Eldritch, 1965), czasem „technika lodowego snu” (Ubik, 1969), czasem kombinacja narkotyków i światów równoległych (Nów Waitfor the Last Year, 1966). (Cyt. za: Stanisław Leni: Fantastyka i Futurologia, wy d. 2). Do grupy powieści o rozpadzie/rozszczerpieniu rzeczywistości należą także: Oko na niebie (1957), Kosmiczne marionetki (1957), Czas poza czasem (1959), Martian Time-Slip (1964), Flow My Tears, the Policeman Said (1974), A

Scanner Darkly (1977). Odmienne tematy porusza Dick w powieściach: Człowiek z wysokiego zamku (1962; nagroda Hugo 1963), Klany księżycy Alfy (1964), Paszcza Wieloryba (1966, pełna wersja: Lies, Inc., 1984), The Zap Guń (1967), Łowca robotów (1968). Osobne miejsce w twórczości Dicka zajmuje tematyka teologiczna, metafizyczna, dominująca w nowszych utworach: Galactic Pot-Healer (1969), Labirynt śmierci (1970; dwa tłumaczenia), 8 (1970) oraz w trylogii Yalis (1981, w tłumaczeniu), The Divine Invasion (1981) i The Transmigration of Timothy Archer (1982, powieść współczesna). Ogółem napisał Dick 34 powieści fantastyczne (w tym 2 do spółki z innymi autorami) i ponad setkę opowiadań (The Collected Stories, 5 tomów, 1987), fantastykę dla dzieci (Nick and the Glimmung, 1989), Ubik: The Screenplay (1985) i autobiografię (The Dark-Haired Girl, 1989). W Polsce, łącznie z niniejszą, wydano zaledwie 12 powieści, a i to część jedynie w wąskim rozpowszechnianiu (tzw. obieg klubowy) oraz co najmniej 6 zeszytów z opowiadaniem (wszystkie w obiegu klubowym) oraz zbiór pt. Ostatni Pan i Władca (1990).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/